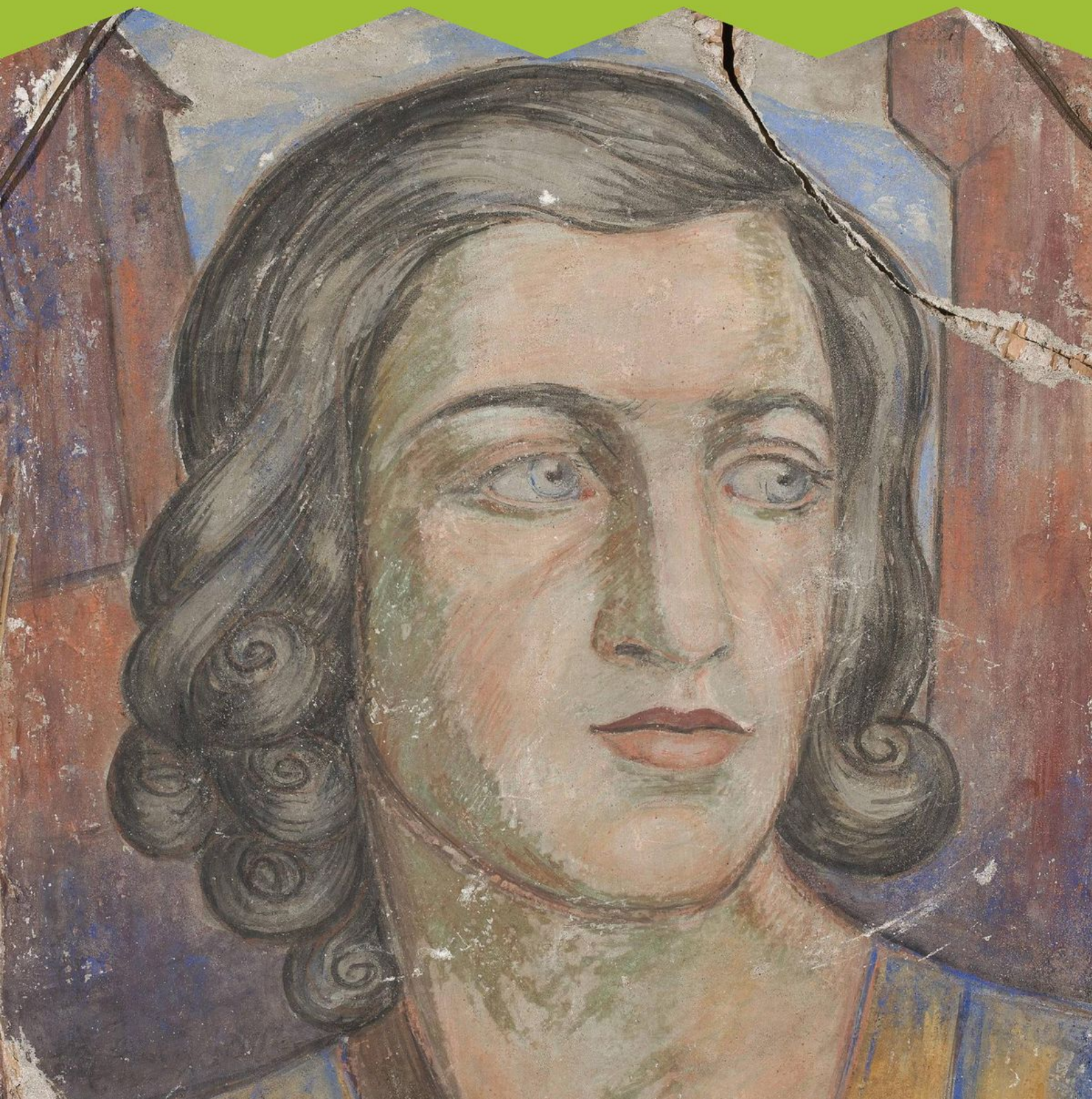


# Kapitanowie zuchy



RUDYARD KIPLING

# Kapitanowie zuchy

TŁUM. JÓZEF BIRKENMAJER

## ROZDZIAŁ I

Drzwi palarni okrętowej, wychodzące na pokład, stały otworem — w stronę, skąd słała się północnoatlantycka mgła. Potężny parowiec liniowy to się pochylał, to wznosił w swym biegu, gwizdząc dla ostrzeżenia statków rybackich.

— Ten żółtodziób Cheyne jest doprawdy największym utrapieniem całego okrętu — odezwał się mężczyzna z hałasem zatraskując drzwi. — Wcale go tu nie potrzeba... za smarkaty!

Jasnowłosy Niemiec pochwycił przekąskę i zagryzając ją pomrukiwał:

— Ja znam ten rasa. Ameriga jest pełni tego rodzaj szlowieki. Ja mówi wam, że wy powinni sprowacać harapi wolni od tarifa celna.

— Tfy! Bogiem a prawdą, on tu nic nie winien... owszem, bardziej godzien politowania niż ktokolwiek — wycedził przez zęby pasażer rodem z Nowego Jorku, leżący jak długi na poduszkach, tuż pod oknem sufitowym. — Jeszcze był brzdącem, a już go włóczono po hotelach. Dziś rano rozmawiałem z jego matką. Miła kobieta, ale nie daje sobie z nim rady... Teraz chłopak jedzie do Europy dla ukończenia edukacji.

— Edukacja jeszcze się nie zaczęła — zabrał głos filadelfijczyk zwinięty w kłębek gdzieś w kącie. — Ten chłopak, jak sam mi mówił, dostaje dwieście dolarów miesięcznie na drobne sprawunki... a nie ma jeszcze szesnastu lat...

— Jego ojciec to ten, co ma szelazni koleje? — zapytał Niemiec.

— Tak. Koleje, kopalnie, tartaki i przedsiębiorstwa okrętowe. Stary bogacz całą gębą! Jeden dom w San Diego, drugi w Los Angeles; z sześć linii kolejowych i połowa tartaków na wybrzeżu Pacyfiku należy do niego... więc nic dziwnego, że żona trwoni pieniądze — rozwodził się filadelfijczyk. — Mówi, że jej się nie podoba na zachodzie... dlatego włóczy się po świecie wraz z synalkiem, szukając (jak przypuszczam) czegoś, co by go mogło rozerwać... Floryda, Adirondacks, Lakewood, Hot Springs, Nowy Jork... i tak w kółko. Teraz to on umie niewiele więcej od kancelisty z drugorzędnego hotelu. Gdy ukończysz edukację w Europie, będzie z niego ananas, no!

— A cóż na to ten stary, który ma nad nim osobistą pieczę? — wydobył się głos z głębi.

— Stary sam piętrzy przeszkody. Ale coś mi mówi, że próżno się niepokoić. Za kilka lat sam pozna, że był w błędzie. Szkoda chłopaka, bo jest w nim sporo dobrego materiału... tylko trzeba umieć wziąć się do niego.

— Z harapem<sup>1</sup>! Z harapem! — burczał Niemiec.

Znowu rozległo się trzaśnięcie drzwiami i wychylił się chudy, słabowicie zbudowany chłopak, lat może piętnastu, z niedopaloną papierosem w kąciku ust. Bładożółtawa cera była złą oznaką u człowieka tak młodego, zaś spojrzenie kojarzyło w sobie brak stanowczości z zarozumiałością oraz fanfaronadą. Ubrany był w wiśniowego koloru spencerek<sup>2</sup>, krótkie spodenki, czerwone pończochy i cyklistowskie buty, a czerwoną flanelową czapkę

<sup>1</sup>harap — bicz myśliwski używany najczęściej na psy, zbudowany z krótkiej rękojeści, do której przymocowana jest długa, zwężająca się plecionka rzemienna, przechodząca na końcu w plecionkę z włosia. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>spencerek (daw.) — kurtka, zwykle z dwurzędowym zapięciem. [przypis edytorski]

zsunął na tył głowy. Przebiegł oczyma po zebranych towarzystwie, zagwizdał przez zęby i przemówił donośnym a piskliwym głosem:

— No, to ci dopiero gęsta mgła. Słychać jak na łodziach rybackich, to z tej, to z tamtej strony, wrzeszczą przerażeni ludzie. Czyż nie byłaby to wspaniała heca, gdybyśmy tak przejechali jedną z nich?

— Zamknij pan drzwi, panie Harvey — ozwał się nowojorczyk. — Zamknij drzwi i zostań z tamtej strony. Nie potrzeba tu ciebie.

— Kto mi zabroni wejść? — odparł chłopak stanowczym głosem. — Czy pan zapłacił za moją podróż, panie Martin? Podobno mam tu takie same prawa jak każdy z was.

Wziął kilka pionków z szachownicy i począł je przerzucać z jednej ręki do drugiej.

— Śmiertelne nudy! Czy nie zagralibyśmy partyjki pokera?

Nie było odpowiedzi, więc chłopak jął puszczać kłęby dymu z papierosa, zabębnił nie bardzo czystymi palcami po stole. Następnie wydobył plik papierów wartościowych jak gdyby zabierając się do ich przeliczania.

— Jakże się dziś miewa pańska mamusia? — zagadnął któryś z pasażerów. — Nie widziałem jej na drugim śniadaniu.

— Zapewne jest w swojej kajucie. Mamie trudno przyzwyczać się do morza... prawie każdą podróż przypląca chorobą. Dam pokojówce piętnaście dolarów, żeby się nią opiekowała. Nie schodzę głębiej, niż każe mi przezorność. Doznaję jakiegoś niesamowitego uczucia, gdy przechodzę przez tę piwnicę. Jestem dopiero po raz pierwszy na morzu!

— E, nie tłumacz się pan, panie Harvey!

— Kto się tłumaczy? Przepływam dopiero po raz pierwszy przez ocean, moi panowie, i pominąwszy pierwszy dzień żeglugi nie chorowałem ani troszkę. Dalibóg, że nie!

To rzekłszy trzasnął z triumfem pięścią w stół, zwilżył palec i jął w dalszym ciągu przeliczać banknoty.

— Oo! Z pana jest pierwszorzędna maszyna z napisem na samym froncie — ziewnął filadelfijczyk. — Jeżeli pan nie będziesz miał się na baczości, to zrobisz niezłą karierę.

— Wiem o tym. Jestem Amerykaninem... teraz, zawsze i po wszystkie czasy. Pokażę im to... jak tylko się dostanę do Europy. Pff! Papieros mi się wypalił. Nie mogę palić tego paskudztwa, które sprzedaje steward. Czy który z panów nie ma przy sobie prawdziwego tureckiego papierosa?

W tejże chwili do palarni wpadł naczelnny inżynier, rumiany, uśmiechnięty i zroszony od mgły.

— Panie Mac — zawołał Harvey radośnie — skąd by tu zdobyć coś podobnego?

— W sposób najzwyczajniejszy w świecie — brzmiała poważna odpowiedź. — Niech dzieci będą grzeczne względem starszych, to starsi postarają się je za to wynagrodzić.

Z kąta wydobył się przytłumiony chichot. Niemiec otworzył pudełko z cygarami i wręczył Harvey'owi cienkie jak palec cygaro.

— To jest szecz dobri do palić, mój mlodi przijaczel! — odezwał się. — Kce pan probirowacz? Tak? Pan bendże po tym tak samo zadowoloni bicz.

Harvey z junacką miną zapalił cygaro wyglądające niezbyt zachęcająco: czuł, że dostał się w towarzystwo ludzi dorosłych.

— Trzeba by czegoś mocniejszego, by zwalić mnie z nóg! — pochwalił się, nie wiedząc, że pali okropny produkt, zwany *Wheeling stogie*.

— To będziemy mi zaraz widzec — bąknął Niemiec. — Gdzie są mi teraz, pan Mac-tonal?

— We właściwym miejscu albo gdzieś niedaleko od niego, panie Schäfer — odpowiedział inżynier. — Dziś w nocy będziemy na Wielkiej Ławicy; ale teraz, mówiąc ogólnie, znajdujemy się wśród statków rybackich. Dziś od południa otarliśmy się o trzy baty i o mało co nie zerwaliśmy bomu ze statku francuskiego... widocznie podjechaliśmy za blisko...

— Szmakuje panu mój cygar? — zagadnął Niemiec widząc, że oczy Harvey'a napelniły się łzami.

— Doskonałe! Przemily zapach! — odpowiedział przez zaciśnięte zęby. — Zdaje mi się, żeśmy nieco zwolnili biegu... czy nie tak? Skoczę zobaczyć jak wygląda pław.

— I ja by zrobiłem to samo na pański miejsce — oświadczył Niemiec.

Harvey chwiejnym krokiem powlókł się poprzez mokre pokłady ku balustradzie. Czuł się bardzo niedobrze; atoli nieopodal widać było stewarda związującego krzesła stojące na pokładzie... Ponieważ chłopak chepił się przed nim niejednokrotnie, że nigdy nie uległ morskiej chorobie, przeto duma kazała mu iść na tył okrętu, na pokład przy jadalni drugiej klasy, kończący się wygięciem w kształcie żółwiej skorupy. Pokład był pusty, więc Harvey przyczołgał się aż do jego najdalszej krawędzi, niemal pod samą banderę. Tutaj skurczył się we dwoje w bezsilnej męczarni, albowiem w tejże chwili *Wheeling stogie* wraz z szumem rozbryzgów wodnych i trzaskiem śruby okrętowej poczęły jak młyński pytel wytrząsać zeń duszę. Głowa mu jakby obrzękła; ogniste skry płasały przed oczyma; ciało zdawało się tracić wagę, a pięty kręciły się jak chorągiewka pod tchnieniem bryzy. Morska choroba jęła odbierać mu stopniowo wszystkie siły, a kołysanie okrętu wyparło go poza balustradę na śliskie obrzeże burty. Naraz z ośrodka mgły wychynął poziomy, szary bałwan, niejako pochwylił Harvey'a pod ramię i uniośł go daleko od okrętu, hen w stronę nawietrzną; zwarł się ponad nim zielony przestwór — i chłopiec usnął spokojnie...

Obudził go dźwięk trąbki przypominający mu sygnał obiadowy, jaki wygrywano w szkółce letniej w Adirondacks, w której swego czasu przebywał. Stopniowo uprzytomnił sobie, że jest Harvey'em Cheyne, utopionym i pochłoniętym przez ocean... jednakowoż nazbyt był osłabiony, by wszystkie szczegóły pozbierać do kupy. Jakaś nieznana woń cisnęła mu się w nozdrza; ziab jakiś, wilgotny a kleisty, przebiegał mu drgawkami po plecach, a słona woda wciskając się we wszystkie pory czyniła go wprost bezradnym. Gdy otworzył oczy, spostrzegł, że znajduje się jeszcze na powierzchni morza, gdyż wokoło niego pędziły srebrzyste wzdórki fal, sam zaś spoczywał na stosie półżywych ryb wbijając oczy w szerokie bary jakiegoś człowieka, odzianego w błękitny wełniany kabat<sup>3</sup>.

„O źle — pomyślał sobie chłopak. — Nie ma co mówić, już zginąłem... a to wszystko zmierza właśnie do tego, by mnie zgubić!”

Jęknął. Postać siedząca tyłem do niego odwróciła głowę, ukazując parę kolczyków na pół schowanych w czarnej, kędzierzawej czuprynie.

— Aha! Już się czujesz trochę lepiej? — ozwał się nieznajomy. — Poleż jeszcze chwilę spokojnie; postaramy się wszystko lepiej urządzić.

To rzekłszy, nieznajomy zwinnym ruchem wiosła skierował dziób łodzi na niespioną przechybę morską, która uniosła łódź na całe dwadzieścia stóp wwyż, jedynie po to, by następnie zsunąć ją w dół, w zakłęśłość szklanej otchłani. Jednakże ta wspinaczka po wyniosłościach nie powstrzymała monologu człowieka w błękitnym kubraku.

— Pięknie się spisałem, powiadam ci, żem cię przyłapał. A co? Ale powiadam ci, jeszcze lepiej się spisałem, żem się nie dał złapać waszemu okrętowi! Jak to się stało, że wypadłeś do wody?

— Byłem chory — odpowiedział Harvey — byłem chory i nie mogłem sobie dać rady.

— W samą porę zdążyłem zatrzeć. Wasz okręt trochę się odsunął na bok... Patrząc ci ja, a tu ty spadasz z okrętu w wodę. A co-o-o? Już se myślę, że cię śruba poszarpała w drobne kawałeczki, a tymczasem wypłynąłeś... i płyniesz prosto na mnie... więc ja, co robię. Cap ciebie kiej<sup>4</sup> wielką rybę. Upiekło ci się tym razem... pożyjesz jeszcze żdziebko na tym świecie...

— Gdzież ja jestem? — spytał Harvey, nie mogąc jeszcze sobie uprzytomnić, że jego życie było najzupełniej bezpieczne.

— Jesteś ze mną na rybackim bacie... Nazywam się Manuel, a należę do załogi szonera *We're Here*<sup>5</sup> z Gloucester. Mieszkam w Gloucester. Wkrótce dostaniemy wiecezrę... A co-o-o?

Człowiek ten zdawał się mieć dwie pary rąk i głowę z lanego żelaza, bo nie poprzestając na trąbieniu na wielkiej muszli morskiej musiał wstawać na równe nogi i utrzymując równowagę na kołyszącej się płaskiej łodzi rzucał w gęstą mgłę chrapliwy, donośny okrzyk. Jak długo trwało to zajęcie, tego Harvey nie potrafił sobie uprzytomnić, gdyż niebawem przerażony widokiem dymiących wodnych fal, ułożył się z powrotem na wznak. Jak przez sen słyszał wystrzał armatni, granie trąbki i jakieś krzyki. Coś większego od łodzi

<sup>3</sup>kabat — rodzaj surduta, ubranie robocze. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>kiej (gw.) — niby; tak jak. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>we're here (ang.) — jesteśmy tutaj. [przypis tłumacza]

rybackiej, lecz równie ruchliwego i zwinnego jak ona zamajaczyło nieopodal. Odezwał się gwar kilku naraz głosów, po czym chłopak osunął się w jakąś ciemną, dudniącą czeluść, gdzie ludzie odziani w nieprzemakalne ubrania poczęstowali go jakimś ciepłym napojem i rozebrali go z wierzchniej odzieży... Wówczas zmorzył go sen.

Gdy się przebudził, zaczął nasłuchiwać, czy nie odezwie się pierwszy dzwonek ogłaszający śniadanie na parowcu... i dziwne mu się wydało, czemu to jego kajuta tak zmalala. Obróciwszy się, ujrzał ciasną, trójkątną klitkę, oświetloną kagankiem zawieszonym na sporej, prostokątnej belce. W głębi siedział chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co Harvey, o płaskiej, czerwonej twarzy i szarych, ruchliwych oczach. Był ubrany w błękitny kabat i wysokie, skórzane buty. Kilka par tego samego obuwia, stara czapka i parę zdartych wełnianych skarpetek leżało na podłodze, a czarne i żółte buksy<sup>6</sup> chybotaly się koło legowisk. Całe to miejsce było szczelnie wypełnione przeróżnymi zapachami. Buksy odznaczały się szczególnie zawieszistą wonią, która tworzyła jak gdyby fundament dla zapachów smażonej ryby, przypalonego tłuszczu, farby, pieprzu i zatęchłego tytoniu; wszystkie one zaś wiązały się w jedną całość z zapachem desek okrętowych i słonej wody.

Harvey ze zgrozą stwierdził, że na jego legowisku nie ma wcale prześcieradła; spoczywał na kawałku brudnej powłoczki wypchanej wiórami i gałganami. Na domiar złego ruchy statku zgoła nie były podobne do ruchów parowca: nie prześlizgiwał się i nie toczył gładko po falach, tylko podrygiwał i kręcił się w kółko bezcelowo i bezradnie jak żrebak przywiązany na postronku. Tuż nad uchem huczał mu rozgwar fal morskich, a wszędzie wokół i nad nim skrzypiały i jęczały belki okrętowe. Wszystko to przyczyniło się do tego, że nieborak począł chrząkać w sposób desperacki i rozmyślać o swej matce.

— Co? Już lepiej się czujesz? — zagadnął go chłopak, szczerząc zęby w uśmiechu. — Chciałbyś się napić kawy?

Przyniósł mu cynowy kubek napełniony tym płynem i dosypał do niego melasy.

— Czy nie macie tu mleka? — zapytał Harvey, rozglądając się w ciemności, jakby spodziewał się, że pomiędzy dwoma rzędami legowisk dostrzeże gdzieś krowę.

— O, nie! — odpowiedział chłopak. — I nie będziemy go mieli aż gdzieś koło połowy września. Ale to fajna kawa. Sam ją przyrządziłem.

Harvey wypił w milczeniu, po czym z wielką łapczywością dobrał się do półmiska pełnego płatków kruszej wieprzowiny podanej mu przez chłopca.

— Wysuszyłem ci ubranie, zdaje mi się, że się odrobinę skurczyło — mówił chłopak dalej. — Nie bardzo one tu do nas pasują... te twoje szmatki. Obróć no się i pokaż, czyś się gdzieś nie skaleczył.

Harvey wyciągał się w najróżniejsze strony, jednakże nigdzie na ciele nie stwierdził najmniejszego obrażenia.

— To byczo! — ucieszył się z całego serca chłopak. — Rozprostuj gnaty i chodź na pokład. Tato chce się zobaczyć z tobą. Ja jestem jego synem... mówią na mnie Dan... jestem też pomocnikiem kucharza... i spełniam na okręcie wszystko, do czego nie chcą się wziąć inni, starsi ode mnie. Prócz mnie nie ma tu innego chłopaka, odkąd Otto utonął w morzu... Był to Oleander i miał już dwadzieścia lat. A jakże to się stało, żeś podczas ciszy morskiej runął w wodę?

— To nie była cisza — odrzekł Harvey posępnie. — Dał siarczysty wiatr, a ja cierpiełem na chorobę morską. Zdaje się, że musiałem przelecieć przez balustradę.

— Wczoraj i zeszłej nocy morze było trochę rozkołysane — zauważył chłopak — ale jeżeli to uważasz za siarczysty wiatr... — (tu zagwizdał przez zęby). — Napatrzysz się jeszcze niejednego, zanim odbędziesz całą przeprawę! Ale śpiesz się! Tato czeka.

Jak wielu innych młodzieńców, tak i Harvey nigdy w dotychczasowym swym życiu nie otrzymał polecenia skierowanego wprost do siebie — a przynajmniej w podobnym wypadku na pewno nie obeszłoby się bez długich, a częstokroć łzawych, pouczeń o korzyściach płynących z posłuszeństwa i o powodach danego żądania. Pani Cheyne zawsze się bała prób łamania jego charakteru, co niewątpliwie było powodem, że sama znajdowała się na krawędzi rozstroju nerwowego. Toteż jej synkowi wydało się rzeczą niepojętą, iż miałby się śpieszyć dla czyjejś tam przyjemności; zdziwienia tego nie omieszkiał ubrać w słowa:

<sup>6</sup>buksa — mocna, gruba lina okrętowa; szczególnie lina używana do holowania statku. [przypis edytorski]

— Twój tato mógłby zejść tu do mnie na dół, jeżeli tak pragnie rozmowy ze mną. Życzę sobie, żeby mnie zaraz zawiózł stąd do Nowego Jorku... opłaci mu się to sowicie.

Dan otwarł szeroko oczy ze zdumienia.

— Słuchaj no, tato — krzyknął w stronę luku kasztelu przedniego — on powiada, że jeśli ci na tym zależy, możesz zleźć na dół i zobaczyć się z nim. Słyszysz, tato?

Na to zabrzmiała odpowiedź wypowiedziana głosem tak grubym, iż Harvey nigdy przedtem nie przypuszczał, by coś podobnego mogło się wydobyć z ludzkiej krtani.

— Nie błaznuj, Dan, ino przyslij go do mnie!

Dan zaśmiał się półgłosem i cisnął Harvey'owi jego pomarszczone i pokrzywione buciki. W głosie odzywającym się z pokładu było coś takiego, co nakazało paniczykowi zataić bezmiar kipiącej w nim wściekłości i pocieszać się myślą, że w drodze powrotnej do domu uda mu się z czasem zdać szczegółową relację o sobie i o bogactwach swego ojca. To ocalenie z pewnością uczyni go bohaterem wśród przyjaciół. Z pomocą drabinki sznurowej wygramolił się na pokład i przebywszy mnóstwo przeszkód, dowlókl się chwiejnym krokiem na tył okrętu, gdzie na schodach wiodących ku tylnemu pokładowi siedział mały, przysadzisty, wygolony mężczyzna. Wichura uspokoiła się podczas nocy, a morska toń, rozległa i gnuśna, upstrzona była wzdłuż widnokregu żaglami kilkunastu statków rybackich. Wśród nich widniały czarne punkciki łódek rybackich. Szoner, opatrzone trójkątnym żaglem na maszcie głównym, płaśał sobie niefrasobliwie na kotwicy, a oprócz człowieka przy daszku kabiny nie było na nim żywej duszy.

— Dzień dobry... dobre popołudnie, chciałem powiedzieć. Przespałeś bez mała całą dobę, młody smyku — brzmiało powitanie.

— Dzień dobry — odpowiedział Harvey. Nie podobało mu się, że mówiono doń: „smyku” i jako człowiek uratowany od zatonięcia oczekiwał, iż przyjmą go ze współczuciem. Matka cierpiała niewysłowione męki, ilekroć synek zamoczył sobie nogi, natomiast ten marynarz nawet się nie wzruszył jego przygodą.

— No, a teraz posłuchamy, jak to tam było. Cokolwiek kto o tym powie, była to, koniec końców, prawdziwa łaska Opatrzności. Jak ci na imię? A skądęś ty? Czy nie z Europy?

Harvey podał swoje nazwisko, nazwę parowca oraz krótki opis swej przygody, kończąc rzecz całą żądaniem, żeby go odwieziono natychmiast do Nowego Jorku, gdzie jego ojciec zapłaci im każdą sumę, jakiej sobie zażyczą.

— Hm! — ozwał się wygolony mężczyzna, bynajmniej niewzruszony ostatnimi słowami Harvey'a. — Nie powiem, byśmy mieli wielgi szacunek dla człeka, choćby nawet tak smarkatego jak ty, co podczas ciszy morskiej potrafi spaść z tak wielkiego okrętu w wodę... a jakby tego było mało, tłumaczy się, że miał morską chorobę!

— Tłumaczy! — krzyknął Harvey. — Czy pan sądzi, że wypadłem dla zabawy, ażeby dostać się na wasz brudny statek?

— Nie mogę ci, mój synku, na to odpowiedzieć, bo nie wiem, co ty uważasz za zabawę. Jednakże, kiejbym<sup>7</sup> był tobą, nie przeżywałbym tak brzydko tego statku, który za łaską Opatrzności przyniósł ci ratunek. Po pierwsze, jest to bezbożne bluźnierstwo; po drugie, obraża to mnie na moim honorze... a ja ci jestem *Disko Troop* ze statku *We're Here*, o czym pewnikiem jeszcze nie wiesz.

— Nie wiem ani też nie chcę wiedzieć! — odparł Harvey. — Ma się rozumieć, że jestem wam wdzięczny za ocalenie i inne wyświadczone mi przysługi, ale chciałbym, żebyście zrozumieli, że im prędzej odwieziecie mnie do Nowego Jorku, tym większa czeka was nagroda.

— Jak... mam to rozumieć? — zapytał Troop, podnosząc jedną z krzaczastych brwi, spod której wyjrzało niebieskie oko, łagodne a jednocześnie podejrzliwe.

— W dolarach i centach — odrzekł Harvey, myśląc z radością, jakie wrażenie wywołają jego słowa. — Dolary i centy w bitej monecie!...

To rzeklszy, włożył rękę do kieszeni i z lekka wyduł brzuch, co u niego było formą okazywania swej wspaniałości, po czym mówił dalej:

— Gdy dowieziecie mnie do domu, czeka was najlepszy zarobek, jaki się wam udało zdobyć w ciągu całego życia. Jestem jedynym synem Harvey'a Cheyne'a.

<sup>7</sup>kiejbym (gw.) — gdybym. [przypis edytorski]

— Wielki to honor dla niego — rzekł Disko oschle.

— Ale jeżeli nie wiecie, kim jest Harvey Cheyne, to jeszcze mało wiecie... i basta. Teraz zawróćcie swój statek i ruszajcie co tchu.

Harvey wyobrażał sobie, że większa część Ameryki to ludzie rozmawiający wciąż z zadością o dolarach jego ojca.

— Może zawrócę, a może nie! Nie żołądkuj się, smyku, bo to i we mnie porusza wątrobę.

Harvey posłyszał chichot Dana niby to zajętego jakąś robotą koło fokmasztu — i krew uderzyła mu do policzków.

— Zapłacimy i za to — ozwał się. — Jak pan przypuszcza, kiedy dostaniemy się do Nowego Jorku?

— Do chrzanu mi potrzebny ten Nowy Jork... a choćby i Boston! Gdziesik<sup>8</sup> we wrześniu może zobaczymy Eastern Point, a twój tatulo (naprawdę, bardzo mi przykro, że o nim nie słyszał) będzie łaskaw dać mi na łapę dziesięć dolarów, wedle tego, co mi tu pedasz<sup>9</sup>. Kto wie, może wtedy nawet mi ich nie da!

— Dziesięć dolarów! Co znowu! Przypatrz się, ja...

To mówiąc Harvey zagłębił rękę w kieszeni, szukając zwitka banknotów... lecz wyciągnął jedynie rozmokłe pudełko z papierosami.

— Szmugłowane i niezdrowe na płuća! Ciśnij je w morze, smyku.

— Ukradziono! — krzyknął Harvey zapalczywie.

— Więc chyba będziesz musiał czekać, aż się znów obaczysz ze swym tatą, ażeby mnie wynagrodzić?

— Sto trzydzieści cztery dolary... wszystko mi skradziono! — jęczał Harvey, przetrząsając zawzięcie wszystkie kieszenie. — Oddaj mi je!

Surowe oblicze starego Troopa dziwnie zmieniło się na chwilę.

— I cóż ty, smyku, w tak smarkatym wieku robił z tymi stu trzydziestu czterema dolarami?

— Była to część kwoty, jaką otrzymywałem miesięcznie... na drobne wydatki.

Harvey mniemał, że słowa te wywrą skutek piorunujący; tymczasem okazało się, że był to strzał chybiony.

— Ho ho! Sto trzydzieści cztery dolary, to ino<sup>10</sup> część kwoty przeznaczonej na drobne wydatki... i to ino na jeden miesiąc! Nie przypominasz sobie, czy nie uderzyłeś się o co, kiedy spadałeś z okrętu? Na ten przykład, czy nie rozbiteś się o jaki słupek? Stary Hasken z *East Wind* — mówił Troop jakby sam do siebie — potknął się o zapadnię i wyrzwał głową... i to jak setnie!... w maszt główny. W jakie trzy tygodnie później stary Hasken ubzdurał sobie, że *East Wind* jest okrętem wojennym, co ma niszczyć statki handlowe, więc wypowiedział wojnę Wyspie Sobolowej... bo ta należała do Anglików, a spadziny ciągnęły się tam trochę za daleko. Zaszli go wtedy w siennik, iż mu wystawały ino nogi i głowa, i tak odbywał resztę podróży; teraz siedzi w Essey, w swej chałupie, i bawi się lalkami z gałganów...

Harvey dławił się od wściekłości, ale Troop dalej przemawiał tonem pocieszającym:

— Litujemy się nad tobą... bardzo się litujemy... boś jeszcze taki młody. Przypuszczam, że już nie będziemy mówili o pieniądzach.

— Rozumie się, że nie chcecie o nich mówić... boście mi je ukradli.

— Uspokój się. Myśl sobie, żeśmy je ukradli, skoro chcesz. A teraz pomówmy o powrocie. My tu nie widujemy ani pół setki dolarów na miesiąc... cóż dopiero, gdyby szło o drobne wydatki... Jeżeli się nam poszczęści, to gdzieś mniej więcej w pierwszych tygodniach września dostaniemy się znów na ląd.

— Ale... ale teraz jest maj, a ja nie mogę siedzieć tu beczynnie tylko dlatego, że wy chcecie łowić ryby! Nie mogę, powtarzam!

— Słusznie i sprawiedliwie; sprawiedliwie i słusznie. Nikt nie każe ci tu siedzieć beczynnie. Jest tu dla ciebie huk roboty, bo niedawno zginął nam Otto... utonął w Le Have. Tak se miarkuję, że zmiotła go wichura, która nas tam przyłapała... w każdym razie nigdy

<sup>8</sup>gdziesik (gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>pedasz (gw.) — powiadasz, mówisz. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

już nie wrócił biedaczysko. Tyś się nam tu w sam raz nawinał, jakbyś spadł z nieba. Ale coś mi się widzi, że niewiele umiesz. Czy nie tak?

— Mogę w tym względzie oświecić cię i twoją hałastrę, gdy dostaniemy się na ląd — odciął się Harvey, kiwając złośliwie głową i mamrocąc płonne pogrożki pod adresem „korsarzy”, co na ustach Troopa wywołało uśmiech, niezupełnie zresztą szczery.

— Aha! Umiesz rzecz jedną: dużo gadać! Ale na pokładzie *We're Here* nikt ci nie każe zanadto mleć jęzorem. Miej oczy otwarte i pomagaj Danowi robić to, co mu nakazano, i tak dalej... a ja ci dam... może nie będziesz chciał przyjąć, ale ci wypłacę... dziesięć i pół dolara za każdy miesiąc; pod koniec wyprawy będziesz miał, powiedzmy, trzydzieści pięć. Trochę pracy zawdy<sup>11</sup> ci wybije te fupy z głowy, a potem będziesz mógł nam bajać o swym tatusiu, swej mamie i o forsie.

— Mama jest na parowcu — rzekł Harvey, mając łzy w oczach. — Zawieźcie mnie zaraz do Nowego Jorku.

— Biedne kobiecisko! Biedne kobiecisko! Ale kiedy już cię będzie miała z powrotem, zapomni o całym tym frasunku. Na *We're Here* jest nas ośmiu chłopów, a jeżelibyśmy teraz pojechali z powrotem (to przeszło tysiąc mil stąd), to byśmy zmitrężyli cały sezon łowu. Chciałbym ja się na to zgodził, to inni się nie zgodzą!

— Ależ mój ojciec wam to wynagrodzi.

— Będzie się starał. Nie wątpię, że się postara — odparł Troop — ale połów całego sezonu, to jedyny zarobek i utrzymanie ośmiu ludzi... a twojemu zdrowiu to nie zaszkodzi, gdy zobaczysz ojczulka dopiero w jesieni. A teraz ruszaj pomagać Danowi. Dostaniesz, jak już powiedziałem, dziesięć i pół na miesiąc, a nadto, ma się rozumieć, całkowite utrzymanie, pospołu z resztą załogi.

— Czy pan myśli, że będę czyścił garnki, rondle i inne graty? — zapytał Harvey.

— Tak i inne graty!... A nie wolno ci podnosić głosu, młokosie!

— Nie będę! Ojciec da wam tyle pieniędzy, że można by za to zakupić całą tę brudną kacz z rybami — tu Harvey tupnął nogą w pokład — nawet dziesięć razy więcej... jeżeli przewiezicie mnie cało do Nowego Jorku... a zresztą... zresztą... jesteście i tak mi winni sto trzydzieści dolarów!

— Ja-ak? — zapytał Troop, a twarz mu pociemniała.

— Jak? Pan wie doskonale, jak!... Na domiar wszystkiego chcecie, ażebym spełniał u was pracę służebną — (z tego przymiotnika Harvey był wielce dumny) — aż do jesieni. Mówię wam, że z tego nic nie będzie! Słyszeliście?

Troop przez chwilę z wielkim zajęciem przyglądał się wierzchołkowi masztu głównego, jakby nie zważając na Harvey'a, który łajał go zajadle, zachodząc raz z tej, raz z owej strony.

— Tfu! — ozwał się na koniec stary. — Wedle mego rozumienia ja tu za to nie ponoszę nijakiej odpowiedzialności. Zależy, co kto o tym sądzi...

Dan podkradł się chyłkiem i pociągnął Harvey'a za łokieć.

— Nie targuj się już z ojcem — radził mu poufnie. — Już ze dwa albo i trzy razy nazwałś go złodziejem, a takiego przezwiska on nie ścierpi, jako żywo, od nikogo.

— Nie ustąpię! — krzyknął Harvey głosem niemal rozzwierającym, puszczając mimo uszu radę.

Troop ważył jakąś myśl w głowie.

— Widzi mi się, że coś tu poczynasz nie bardzo po sąsiedzku — ozwał się w końcu, przenosząc wzrok na Harvey'a. — Nie gniewam się wcale na ciebie, młokosie, a i ty nie będziesz się na mnie gniewał, gdy się zółć w tobie uspokoi. Chyba zrozumiałeś, co mówię? Dostaniesz dziesięć i pół dolara na miesiąc, jako drugi chłopak okrętowy... i całe utrzymanie... podwójnie na tym zarobisz, bo się i czegoś nauczysz, i nabierzesz zdrowia. A więc: tak czy nie?

— Nie! — zawołał Harvey. — Odwieźcie mnie do Nowego Jorku albo postaram się, żeby was...

Nie zdołał pojąć, co się z nim w tej chwili stało. Zdawał sobie sprawę jedynie z tego, że leży jak długi koło burty i trzyma się za nos, z którego ciurkiem leje się krew... a Troop przygląda mu się, jakby nigdy nic, spokojnym wzrokiem.

<sup>11</sup>zawdy (gw.) — zawsze. [przypis edytorski]



— Danie — rzekł stary rybak do syna — on nie może być odpowiedzialny ani za przewiska, jakimi mnie obrzucał, ani za tamto inne gadanie... ani za skakanie z parowca... bo i to pewnikiem uczynił... jestem prawie przekonany o tym. Bądź dla niego wyrozumiały i grzeczny, Danie, bo inaczej poczęstuję cię dwa razy mocniej, niż jego poczęstowałem! Krwotoki czasem przywracają człowiekowi zdrowy rozsądek.

To rzekłszy, Troop z uroczystą powagą zszedł do kajuty, gdzie kwaterował wraz z resztą starszyny; Dana pozostawił na pokładzie, aby miał kto pocieszać nieszczęsnego dziedzica trzydziestu milionów.

## ROZDZIAŁ II

— Przestrzegałem cię — mówił Dan, gdy krople krwi broczyły na szerniałe, zatłuszczone deski pokładu. — Tato wcale nie jest porywczy, aleś ty sobie zarobił na to, co cię spotkało. Fe! Kto widział tak się wszystkim przejmować! — Ramiona Harvey'a to wznosiły się, to opadały w spazmach szlochania. — Znam i ja to uczucie! Gdy tata pierwszy raz sprawił mi lanie, jużem nie chciał więcej... wystarczyło mi to za wszystkie czasy, raz... Było to podczas pierwszej mej wyprawy... Człek się wtedy czuje chory i taki opuszczony! Wiem coś o tym.

— A jakże — jęknął Harvey. — Ten człowiek jest albo szalony, albo pijany... a ja jestem wobec niego bezsilny!...

— Nie mów tego tatkowi — szepnął Dan. — On nie cierpi nijakich trunków, a... no tak, on mi powiedział, że ty masz kielbie we łbie. Co cię podkusiło, żeby przezywać go złodziejem? Przecież to mój tato!

Harvey usiadł, wytarł sobie nos i opowiedział historię o zaginięciu paczki banknotów.

— Nie jestem wariatem — zakończył. — Tylko... tylko twój ojciec nigdy nie widział na raz więcej pieniędzy jak banknot pięciodolarowy, a mój ojciec mógłby co tydzień kupować taką łódkę jak ta i nawet nie sprawiłoby mu to różnicy.

— E, ty nawet nie wiesz, co wart jest nasz *We're Here*. Ale twój tato musi mieć kupę pieniędzy. Skąd je bierze?

— Ojciec ma kopalnię złota i inne przedsiębiorstwa na Zachodzie<sup>12</sup>.

— Czytałem o podobnych przedsiębiorstwach. I to na samym Zachodzie? Pewnikiem jeździ na koniu i ma przy boku pistolet jak to można widzieć w cyrku... o takich ludziach mówiono, że są z Dzikiego Zachodu... a słyszałem, że ostrogi i wędzidła mieli ze szczerzego srebra.

— O ty barania głowo! — zawołał Harvey mimo woli rozbawiony. — Mój ojciec nie potrzebuje koni. Gdy chce się przejechać, bierze wagon.

— Jak to? Wołowy?

— Ależ nie! Ma się rozumieć, że swój własny wagon... prywatny! Czy widziałeś kiedy prywatny wagon?

— Slatin Beeman ma taki... — rzekł Dan z pewną ostrożnością. — Widziałem ten wagon w bostońskim Union Depot... trzech Murzyni popychali go, żeby ruszył. Ale Slatin Beeman, jak mówią, jest właścicielem bodaj wszystkich kolei na Long Island; powiadają też, że zakupił prawie połowę New Hampshire, ogrodził to wszystko drutami i napchał tam kupę lwów, tygrysów, niedźwiedzi, bawołów, krokodyli i innych zwierzaków. Slatin Beeman to *milioner*! Widziałem jego wagon. No i cóż?

— No, w takim razie mój ojciec jest multimilionerem i ma dwa wagony prywatne. Jeden nosi moje imię „Harvey”, a drugi imię mojej matki: „Konstancja”.

— Poczekaj chwilkę! — przerwał Dan. — Tato nie pozwala mi się zaklinać, ale myślę, że tobie wolno to zrobić. Zanim pogadamy o dalszych sprawach, masz powiedzieć, że... bodajbyś zginął, jeżeli łiesz.

— Tak jest — odpowiedział Harvey.

— To nie wystarczy. Powtórz za mną: „Bodajbym zginął, jeżeli nie mówię prawdy.”

— Bodajbym zginął na miejscu — rzekł Harvey — jeżeli każde słówko, jakie powiedziałem, nie zawiera najszczerzej prawdy.

<sup>12</sup>Zachód — [tu:] Stany Ameryki Płn., położone na zachód od Missisipi. [przypis redakcyjny]

— Więc naprawdę miałeś przy sobie aż sto trzydzieści cztery dolary? — spytał Dan. — Słyszałem, jakieś o tym mówił... i tylko patrzyłem, czy cię nie połknie jakowaś ryba, jak Jonasza.

Harvey, czerwony na twarzy jak burak, jął<sup>13</sup> upewniać go o prawdziwości swych słów. Dan był — według własnego rozumienia — przebiegłym młodzieniaszkiem, więc parominutowe badanie przekonało go najzupełniej, że Harvey nie kłamie... przynajmniej nie za wiele. Zresztą tenże Harvey związał się najstraszniejszą przysięgą, na jaką zdobyć się może chłopak w jego wieku — a mimo to żywy i cały, tylko z mocno poczerwienionym nosem, siedział przy burcie, opowiadając różne rzeczy: jedne dziwniejsze od drugich.

— Na Boga! — wyrwało się Danowi z głębi duszy, gdy Harvey wyliczył już cały inwentarz wagonu nazwanego jego imieniem. Uśmiech pełen złośliwej radości rozlał się po szerokiej twarzy okrętowego chłopaka.

— Wierzę ci, Harvey. Tato pomylił się po raz pierwszy w swoim życiu.

— Pewnie, że się pomylił! — bąknął Harvey, przemyślując o rychłym odwecie.

— Ale będzie wściekły! Tato nie lubi mylić się w swych sądach. — Dan położył się na wznak i jął klepać się po łydce. — Ach, Harvey'u, tylko się nie wygadaj, bo zepsujesz mi cały figiel.

— Nie pragnę bynajmniej, by mnie znów obito. Ale i tak dam sobie jeszcze z nim radę.

— Nie słyszałem, żeby ktoś dał sobie radę z tatkiem. Ale że wytlukłby cię znowu, to rzecz pewna. Wytlukłby cię tym mocniej, im większa była jego pomyłka. Ale kopalnie złota i pistolety...

— O pistoletach nie mówiłem ni słówka — przerwał mu Harvey pomny przysięgi.

— Prawda! Nie mówiłeś... A więc dwa wagony prywatne, jeden nazwany od ciebie, a drugi od twojej mamy... dwieście dolarów miesięcznie na drobne wydatki... i wyróżnął nosem w ziemię... za to, że nie chciał pracować za dziesięć i pół fajgli miesięcznie! To najpyszniejszy połów całego sezonu!

I zatrzęsł się cichutkim chichotem.

— Zatem miałem rację? — zapytał Harvey, mniemając, iż znalazł życzliwą duszę.

— Nie miałeś racji; nie miałeś racji... nic a nic! Radzę ci, trzymaj się ze mną, bo inaczej jeszcze znowu oberwiesz, a ja też oberwę za to, żeś to niby był w spółce z tobą. Tata zawsze wymierza mi karę podwójnie, bo jestem jego synem, a on nie lubi nikomu okazywać szczególnych względów. Zdaje mi się, że się trochę gniewasz na mego tatula. I ja też tak się gniewałem czasami. Jednakże tato jest człowiekiem nadzwyczaj sprawiedliwym; wszystkie maszoperie to potwierdzą.

— Czy to tak wygląda sprawiedliwość? — obruszył się Harvey, wskazując na swój rozbity nos.

— E, to głupstwo! Trochę lądowej juszki pociecze ci z nocha... i koniec. Tato zrobił to dla twego zdrowia. Ale przyznaj sam, że nie mogę zadawać się z człowiekiem, który mnie, tatula albo kogoś z załogi *We're Here* uważa za złodzieja. Nie jesteśmy wcale jakąś tam zwykłą załogą żeglarską, pozbieraną w pierwszym lepszym porcie. Jesteśmy rybakami, a pływamy razem po morzach już sześć lat... może i więcej. Co do tego nie wolno ci się mylić! Powiedziałem ci, że tato nie pozwala mi się zaklinać... nazywa to traceniem słów po próżnicy i okłada mnie za to kulakami... ale jak mógłbym powiedzieć, co ty gadał o swoim ojcu i jego majątku, tak samo mógłbym ci powiedzieć i o twoich dolarach. Nie wiem wcale, co znajdowało się w twoich kieszeniach, kiedy suszyłem twój przyodziewek, bo do kieszeni nie zaglądałem, ale mogę powiedzieć, używając tego samego zaklęcia, co ty przed chwilą, że ani ja, ani tato, bo prócz nas dwóch nikt nie stykał się z tobą, odkąd wyciągnięto cię na statek, nie widzieliśmy nawet na oczy tych twoich pieniędzy. Tyle mam ci do powiedzenia! No i cóż ty na to?

Widocznie upływ krwi podziałał otrzeźwiająco na mózg Harvey'a, może przyczyniło się do tego i morskie osamotnienie — dość, że chłopak nagle jakby przewidział po długiej ślepotcie.

---

<sup>13</sup>jął — zacząć. [przypis edytorski]

— Masz zupełną rację — odrzekł, spuszczać oczy w zmieszaniu. — Zdaje mi się, że jak na człowieka dopiero co uratowanego od zatonięcia nie okazałem się nazbyt wdzięczny!...

— Ee, co tam! Byłeś po silnym wstrząsie i nie pomyślałeś, co mówisz — rzekł Dan. — Zresztą oprócz mnie i ojca nikt nie widział tej całej awantury przed chwilą. Kucharza można nie brać w rachubę.

— Powinienem być się domyślić, że pieniądze zginęły — mówił Harvey jakby sam do siebie — a nie nazywać pierwszego napotkanego człowieka złodziejem. Gdzie jest twój ojciec?

— W kajucie. Czegóż chcesz od niego?

— Zaraz się dowiesz — odpowiedział Harvey i zataczając się nieco, gdyż w głowie wciąż jeszcze mu szumiało, podszedł ku stopniom kajuty, gdzie na wprost koła sterowego wisiał mały zegar okrętowy. Troop rozsiadłszy się w izbie wymalowanej na żółto i czekoladowo pisał coś zawzięcie w notatniku, śliniąc od czasu do czasu ogromny czarny ołówek.

— Postąpiłem zupełnie niewłaściwie — przemówił Harvey zdumiony własną potulnością.

— No, cóż tam znów zbroił? — burknął szyper. — Pobiliś się z Danem, he?

— Nie, to chodzi o pana.

— Posłucham chętnie.

— Otóż... ja tu... ja tu przyszedłem naprawić całą sprawę — mówił Harvey bardzo prędko. — Jeżeli ktoś uratowany od zatonięcia... — tu się rozbeczał na dobre.

— Ho, ho! Będą z ciebie jeszcze ludzie, jeżeli tak pójdzie dalej!

— ...nie powinienem być zaraz na początku odpłacać się swym wybawcom obelgami.

— Słusznie i sprawiedliwie... święta racja! — odrzekł Troop, uśmiechając się z lekka.

— Dlatego przyszedłem tu powiedzieć, że żałuję swego postępku.

I znów rozległo się głośnie chlupanie.

Troop podniósł się powoli z kufra, na którym siedział, i wyciągnął dłoń szeroką na jedenaście cali.

— Miarkowałem zawczasu, że ci to napędzi rozumu do głowy, a teraz widzę, że się nie pomyliłem w rachubie.

Jakiś przytłumiony chichot dał się słyszeć na pokładzie.

— Trzeba ci wiedzieć, że rzadko mi się zdarza mylić się w rachubie. — Jedenastocalowa dłoń ścisnęła mocno jak w kleszczach rękę Harvey'a zdrętwiała aż po sam łokieć. — Jeszcze ci tu u nas stwardnieje trochę ta rączka, zanim rozstaniemy się z sobą, mój smyku... Co tam było, to było, ale ja nie mam złego wyobrażenia o tobie! Nie mogłeś odpowiadać za wszystko. Sprawuj dobrze swą robotę, a nikt cię tu nie skrzywdzi.

— Aleś zbieła! — ozwał się Dan, gdy Harvey znalazł się z powrotem na pokładzie.

— Nie czuję tego — odrzekł Harvey zapłoniony aż po koniuszki uszu.

— Nie to miałem na myśli. Słyszałem, co ci gadał tato. Gdy tato oświadczy, że nie ma o kimś złego wyobrażenia, to jakby serce trzymał na dłoni. A przy tym nie lubi się mylić w swych rachubach. Ho, ho! Gdy już tatulo ma o czymś wyobrażenie, to prędzej zostawi Anglikom swoją banderę, niż to odmieni. Cieszę się, że tak się wszystko dobrze skończyło i załagodziło. Tato ma rację, mówiąc, że nie może cię odwieźć. Jedną rzecz mamy tu tylko do roboty... Trudnimy się rybołówstwem. Za jakieś pół godziny nadciągną tu nasi ludzie jak rekiny za zdechłym wielorybem.

— Po co? — zapytał Harvey.

— Na wieczerę... a cóż by innego? Czy ci jeszcze kiszki marsza nie grają? Kupę rzeczy jeszcze musisz się u nas nauczyć.

— Podobno! — odparł Harvey żałośnie, spoglądając na gmatwaninę lin i takli wiązanych nad głową.

— Nasz okręt to cacko! — zawołał Dan z zapalem, opacznie zrozumiawszy to spojrzenie. — Zobaczysz, jak to będzie pięknie, gdy nasz grotzagiel poda się wiatrowi i statek z całym swym ładunkiem ruszy do domu. Ale wpierw trzeba popracować!

I wskazał ciemną czelusć otwartej komory głównej pomiędzy dwoma masztami.

— I na cóż to? Przecież tam nic nie ma — zauważył Harvey.

— Ty i ja, i kilku jeszcze innych, mamy napęlnić tę jamę — odrzekł Dan. — Tam właśnie składa się ryby.

— Żywe? — zapytał Harvey.

— Ale gdzie tam. Już zdechłe... i że tak powiem... to jest... nieżywe... splaszczone... i solone; w komorze leży sto okseftów<sup>14</sup> soli.

— A gdzie są ryby?

— W wodzie ryb mnóstwo... a chude rybobranie!... — odpowiedział Dan przytaczając przysłowie rybackie. — Wczorajszej nocy wraz z tobą przybyło ich około czterdzieści.

Wskazał na coś w rodzaju drewnianej komory na samym przodzie tylnego pokładu.

— Będziemy musieli obaj nalewać tam wody, gdy oni powrócą. Daj Boże, byśmy dziś mieli pełne komory! Widziałem jak okręt zanurzał się na pół stopy od ciężaru ryb czekających na wypatroszenie, a myśmy stali i stali przy stołach, aż nas nie zaczął taki sen morzyć, że krajałiśmy własne palce zamiast ryb... A jakże! To oni wracają!

I wychyliwszy się za niski parapet zaczął przyglądać się sześciu łódkom sunącym ku nim po błyszczącej, jedwabistej toni.

— Nigdy nie oglądałem morza z tak bliska — zauważył Harvey. — Ładnie wygląda!

Zachodzące słońce barwiło cały przestwór morza na paśowo i purpurowo, rzucając złote błyski na pasma długich grzbietów wodnych oraz modre i zielonkawe cienie na utworzone między nimi bruzdy. Każdy z szonerów, jakie było widać tu i ówdzie, zdawał się za pomocą niewidzialnych sznurków przyciągać ku sobie swoje czółna, a siedzące w czólnach czarne figurki wiosłarzy podobne były do małych, nakręcanych pajaców.

— Dopisało im szczęście! — ozwał się Dan, mrużąc powieki. — Manuel już nie ma gdzie ładować ryb. Prawda, jaki on się wydaje maciupeńki na tej morskiej gładzi? Jak liliput!

— Który z nich to Manuel? Nie wiem, jakim sposobem możesz każdego z nich rozpoznać i nazwać.

— W ostatniej łodzi na południe. To on wczoraj wyłowił cię z wody — mówił Dan wskazując palcem. — Ten Manuel wiosłuje po portugalsku... po tym go zawsze można poznać... Na wschód od niego jedzie Pensylwania... do innej roboty wiele zdutniejszy niż do wiosłowania. Wygląda, jakby był napęczniały od drożdży. Na wschód od niego... popatrz no, jak pięknie płyną niby za sznurkiem!... ten taki zgarbiony w łopatkach, to Długi Dżek. Jest to Galwajczyk, zamieszkały w południowym Bostonie, gdzie prawie wszyscy oni zamieszkują... są dobrze obeznani z łodzią. Na północ, na samym końcu, płynie Tomasz Platt... posłyszysz, jak on tu nam coś zaśpiewa. Służył w marynarce wojennej, na starym pancerniku *Ohio*, który, jak powiada, był pierwszym okrętem naszej floty, co objechał przylądek Horn. Ten chłop o niczym innym mówić nie umie, tylko o tym swoim statku... chyba że weźmie się do śpiewania... ale połów zawsze mu się udaje. Oho!... A co? Nie mówiłem?

Z czółna płynącego najdalej na północ popłynęły nad wodą dźwięki jakiejś pieśni nucej tubalnym głosem. Harvey wsłuchał się w jej słowa. Mówiła ona o czyichś zastygłych rękach i stopach, następnie zaś można już było wyróżnić słowa:

Wydobądź mapę, posępną mapę,  
Spójrz tam, gdzie góry się zbiegły!  
Chmury obsiadły gęsto ich czoła,  
Mgły ich podnóżne zaległy.

— Łódź pełna! — zauważył Dan, śmiejąc się z cicha. — jeżeli posłyszemy: „o, kapitanie”, znaczy to, że ryb nabrało się po same brzegi.

Śpiew huczał w dalszym ciągu:

A teraz zechciej o, *kapitanie*.  
Wysłuchać prośby pokornej:  
Niech mnie nie grzebią w szarej wrótni  
Kościelnej ani klasztornej!

<sup>14</sup>*okseft* — wielka beczka; miara objętości gł. wina, wynosząca 210–250 litrów. [przypis edytorski]

— Tom Platt ma podwójny połów. Jutro będzie ci opowiadał o starym pancerniku *Ohio*. Widzisz tę niebieską łódkę za nim? To mój stryj... rodzony brat mojego tatula... a jeżeli kto nie ma szczęścia na Ławicach, to będzie nim z pewnością stryj Salters. Przypatrz no się, jak słabiuchno wiosłuje. Założę się o mój part i moją płacę, że jest dziś jedynym człowiekiem, którego coś tam pokłuło... i to tego.

— Cóż by go miało kłuć? — zapytał Harvey zaintrygowany tym niezrozumiałym powiedzeniem.

— Najczęściej *poziomki*. Czasami melony, czasem znów *cytryny i ogórki*. Tak, kłuje go od samych łokci. A teraz bierzmy się do lin, trzeba im je cisnąć do łodzi. Czy to prawda, co opowiadałeś mi niedawno, że przez całe życie ani razu nie przyłożyłeś ręki do żadnej roboty? Chyba cię teraz trochę strach obleciał, co?

— Niech będzie, co chce! Spróbuję wziąć się do pracy — odparł Harvey wyniośle. — Tylko, że to wszystko tak diabelnie nowe dla mnie!

— A więc bierz tę linę. Tę za tobą!

Harvey pochwycił linę i długi żelazny hak, dyndający na jednym ze sztaków grotmasztu, a jednocześnie Dan ją opuszczać drugą linę zbiegającą z windy nazwanej przezeń „pomostową”; tymczasem Manuel podpływał już ku nim na łodzi obciążonej zdobyczą. Portugalczyk rozjaśnił twarz promiennym uśmiechem, z którym Harvey miał później tak dobrze się zaznajomić, i ująwszy w ręce widelki o krótkiej rękojeści zaczął nimi wyrzucać ryby do składowni na pokładzie.

— Dwieście trzydzieści dwie! — zawołał głosem donośnym.

— Podaj mu hak! — ozwał się Dan.

Harvey cisnął narzędzie do rąk Manuela. Ten zaczepił je o pętlicę powrózka z przodu łodzi, pochwycił z rąk Dana pęk liny, przytroczył ją do rufy i wdrapał się na pokład szonera.

— Ciągnij! — wrzasnął Dan.

Harvey zaczął ciągnąć i aż się zdumiał, przekonawszy się, z jaką łatwością łódź szła do góry.

— Stój! Nie na bocianim gnieździe jej miejsce! — zaśmiał się Dan.

Harvey przestał ciągnąć, gdyż łódź wisiała już w powietrzu ponad jego głową.

— Niżej! — krzyknął Dan.

Gdy Harvey nieco opuścił linę, Dan jedną ręką zaczął bujać lekką łódkę, aż osadziła się swobodnie tuż za masztem głównym.

— Gdy puste, to nic nie ważą. Dla pasażera to akurat fatyga... ale trudniej, gdy się tak puścić na morze.

— Aha! — ozwał się Manuel, wyciągając brunatną prawicę. — Już się dobrze czujesz? Wczoraj wieczorem ryby czatowały na ciebie, teraz ty czatujesz na ryby... co-o?... he?

— Jestem... jestem tak wdzięczny — wyjąkał Harvey i już znowu nieszczęsną dłońią sięgał do kieszeni, ale w czas uprzytomnił sobie, że nie ma pieniędzy i nie może wynagrodzić tego człowieka. Z czasem gdy już lepiej poznał Manuela, sama myśl o pomyłce, jaką mógł wówczas popełnić, powodowała gorące wypieki na twarzy.

— *Mnie* nie ma za co dziękować! — odparł Manuel. — Jakże cię miałem tak zostawić, żebyś dryfował dokoła Ławic? A czyś ty rybak...?

I przeginał się sztywno w biodrach to naprzód, to w tył, uchylając się od oplątujących go lin.

— Nie wyczyściłem dziś łodzi. Zanadto byłem zajęty, tak mi się to wszystko waliło. Danny, mój synusiu, wyczyść mi ją!

Harvey w te pędy ruszył naprzód. Oto przecie mógł czymś przysłużyć się człowiekowi, który uratował mu życie!

Dan rzucił mu szcztokę ryżową, on zaś pochylił się nad czółnem i jął szorować je z błota, wprawdzie niezdarne, ale z niemałym zasobem dobrej woli.

— Wyjmij podnóżki; one się wsuwają do rowków — upomniał go Dan. — Wyszoruj je i ulóż jak należy. Nigdy nie trzeba rozbijać podnóżka. Może ci się on jeszcze przydać kiedy w potrzebie. A oto Długi Dżek.

Z czółna, które nadpłynęło w tej chwili, posypała się w głąb komory kaskada błyszczących ryb.

— Manuel, chwytaj linę. Ja ustawię stoły. Harvey, wyczyść łódź Manuela. Długi Dżek winduje się na górę.

Harvey oderwawszy na chwilę wzrok od swej roboty, ujrzał tuż ponad głową dno jeszcze jednego czółna.

— Zasuwiają się jak indyjskie skrzynki magiczne... — ozwał się Dan, gdy jedna łódź nasunęła się na drugą.

— Idzie jak kaczątko na wodę — rzekł Długi Dżek, Galwajczyk o szpakowatym zaroście i dużych wargach, pochylając się to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jak poprzednio Manuel. Dysko warknął coś z głębi kajuty w stronę zapadni i słychać było, jak cmokał śliniąc ołówkę:

— Sto styrdzieści<sup>15</sup> dziewięć i pół... a bodaj cię, Dysko! — ozwał się Długi Dżek. — Ja tu się na śmierć zamęczam, żeby ci nabić kabzę. Gdyraj se, że się połów nie uda! Portugalczyk w kozi róg mnie zapędził!

Pac! Nowa łódź przybiła do okrętu i jeszcze obfitsza ulewa ryb spadła do komory.

— Dwieście trzy. Przypatrzcie się no pasażerowi!

Człowiek, który to rzekł, był większy nawet od Galwajczyka, a twarz jego była dziwnie naznaczona szkarłatną blizną biegnącą na ukos od lewego oka do prawego kącika ust.

Nie wiedząc, czym innym mógłby się zająć, Harvey szorował kolejno każdą łódź — w miarę jak nadchodziły — wyjmował podnóżki i układał je na dnie. Człowiek naznaczony blizną — a był to Tom Platt we własnej osobie — przyglądał mu się krytycznie, po czym odezwał się:

— Dobrze się wziął do rzeczy! Każda robota może być prowadzona na dwa sposoby. Jeden to sposób rybacki... najpierw zebrać wszystkie końce, a dopiero potem zadzierzgnąć silny węzeł... drugi zaś sposób...

— ...ten, jakiego używaliśmy na starym *Ohio*! — przerwał mu Dan, który właśnie w tej chwili, dźwigając wspartą na udach deskę, wpadł między stojących. — Usuń się, bo chcę ustawić stoły.

Wcisnął jeden bok deski w dwa wręby, wyrzucił naprzód nogę i przykucnął, uchylając się w samą porę przed zamaszystym ciosem z ręki byłego marynarza.

— Tak i tak też robili na starym *Ohio*, Danny! Zrozumiane? — odparł Tom Platt, śmiejąc się.

— Wobec tego chyba tam wszyscy byli zezowaci, bo nigdy nie umieli trafić do celu... a wiem, kto znajdzie swe buciory na wierzchołku masztu, jeżeli nie zostawi nas w spokoju. A teraz nie przeszkadzać, bo zaczynamy! Nie widzisz, że mam robotę?

— Ej, Danny, wylegujesz się na zwojach sznurów i wysypiasz przez cały dzień — rzekł na to Długi Dżek. — Przechwalasz się i brykasz do niemożliwości, a daję głowę, że w ciągu tygodnia zmarnujesz nam cały ładunek.

— Jemu na imię Harvey — ozwał się Dan wymachując dwoma nożami o dziwnych kształtach — a ino patrzeć, jak w kozi róg zapędzi pięciu południowobostońskich poławiaczy mięczaków!

To rzekłszy, ułożył noże zgrabnie na stole, zadarł czupurnie głowę do góry i puszył się wywołanym wrażeniem.

— Ja myślę, że czterdzieści dwie — rozległ się cienki głosik spoza burty. W chwilę później zahuczała istna nawałnica śmiechu, gdy inny głos odpowiedział:

— Więc *nareszcie* raz dopisało mi szczęście, bo mam styrdzieści<sup>16</sup> pięć, chociaż kłuje mnie cosik<sup>17</sup> ponad wszelkie pojęcie.

— Czterdzieści dwa czy czterdzieści pięć... Straciłem rachubę — odpowiedział piskliwy głosik.

— To Penn i stryj Salters obliczają połów. Co dzień mamy taką hecę — mówił Dan. — A przyjrzyj się im!

— Właźcie już... właźcie! — huknął Długi Dżek. — Mokro na dworze, dziatki!

— Czterdzieści dwie, sameś gadał<sup>18</sup>! — odpowiedział potulnie drugi głos.

<sup>15</sup>styrdzieści (gw.) — czterdzieści. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>styrdzieści (gw.) — czterdzieści. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>cosik (gw.) — coś. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>sameś gadał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: sam gadałeś. [przypis edytorski]

Oba czołna zakołysały się jednocześnie i uderzyły o bok szonera.

— O święta cierpliwości! — burknął stryj Salters, z pluskiem odbijając łódkę. — Co opętało takiego hreczkosieja jak ty, żeby wdepnąć do łodzi, która najeżdża na mnie. O mało co nie pogruchołaś mi łodzi!

— Bardzo przepraszam, panie Salters. Na morze wybrałem się ze względu na nerwową niedyspozycję. Zdaje mi się, żeś to ty mnie namówił.

— Bodajby wieloryb połknął cię wraz z tą nerwową niedyspozycją! — darł się stryj Salters, tłusty i krępy człeczyna. — Znowu najechałeś na mnie! A więc, co mówiłeś, czterdzieści dwa czy czterdzieści pięć?

— Porachujemy jeszcze raz.

— Nie wiem, jakim sposobem mogło być czterdzieści pięć. To ja mam czterdzieści pięć! — upierał się stryj Salters. — Kiepsko liczysz, Penn!

Z kajuty wyszedł Disko Troop.

— Salters, ładujże prędzej! — ozwał się tonem rozkazującym.

— Nie psuj połowu, tato! — mruknął Dan. — Ci dwaj dopiero zaczęli łowić.

— Matko Przenajświętsza! Toż on nabija jedną po drugiej! — ryknął Długi Dżek.

Tymczasem człowieczek w drugim czołnie przeliczał kreski na krawędzi burty.

— Taki był połów zeszłego tygodnia! — ozwał się, spoglądając żałośnie w górę i trzymając średni palec w tym miejscu, gdzie przerwał liczenie.

Manuel z lekka szturchnął Dana; ten skoczył ku linom i wychylając się daleko za burtę, zaczepił hak o pętlicę na rufie, jednocześnie zaś Manuel uwiązał czołno od przodu. Reszta poczęła ciągnąć zwinnie — i wyciągnęli do góry łódź wraz z wioślarem, rybami i resztą przynależności.

— Jedna, dwie, trzy, cztery... dziewięć — mruczał Tom Platt biegłym okiem przeliczając zdobycz. — Czterdzieści siedem. Penn, toś ty tego dokazał!

Dan pociągnął za takiel tylny, opuszczając łódkę wraz z rybakim z rufy na pokład środkowy, pomiędzy strugę nałapanych przezeń ryb.

— Stój! — wrzasnął stryj Salters dyndając. — Stać! Pomyliłem się krzynekę w rachonkach<sup>19</sup>.

Nie starczyło mu czasu na sprzeciwy, gdyż już go uniesiono na wysokość skrętu i postąpiono z nim tak jak z Pennsylvanią.

— Czterdzieści jeden — rzekł Tom Platt. — Hreczkosiej cię pobił, Salters. I to z ciebie taki marynarz!

— Niepiękny to był rachonek! — odgryzł się Salters gramoląc się z komory — a mnie cosik pokłuło i pocięło na kawałki.

Grubaśne jego ręce były obrzękłe i nakrapiane w białe i szkarłatne cętki.

— Coś mi się widzi — mówił Dan, zwracając się w stronę dopiero co wzeszłego księżycy — że niektórzy ludziska znajdują pole poziomkowe, jeżeli dadzą za nim nurka.

— A inni — odciął się Salters — w ciągłym próżniactwie obżerają się i wyśmiewają z najbliższych krewniaków.

— Siadajcie! Siadajcie! — zawołał z przedniego kasztelu głos, którego Harvey dotąd nie słyszał. Na dźwięk tych słów Disko Troop, Tom Platt, Długi Dżek i Salters ruszyli naprzód. Mały Penn pochylił się nad czworoboczną szpulą, jakiej używają na głębokich morzach, i poplątanymi linkami do łowienia dorszów. Manuel położył się jak długi na pokładzie, zaś Dann szedł do komory, skąd niebawem doszło do uszu Harvey'a głośne uderzenie młotkiem w beczki.

— Sól — rzekł powracając. — Jak tylko skończymy wieczerzę, rozpocznie się oprawianie ryb. Ty staniesz po stronie taty. Tom Platt i tato razem siadają do wieczerzy i usłyszysz, jak się będą klócić. My jesteśmy drugą zmianą... ty i ja, i Manuel, i Penn... sama młodość i uroda.

— I cóż mi z tego przyjdzie? — zapytał Harvey. — Jestem głodny.

— W minutkę tu będą. Miło dziś pachnie na okręcie. Tata wziął dobrego kucharza... byle ten tylko dogodził jego bratu! Ładny mamy dziś połów, co? — tu wskazał na komory zawałone sztokfiszami. — Jaką mieliście wodę, Manuelu?

<sup>19</sup>rachonkach (gw.) — rachunkach. [przypis edytorski]

— Dwadzieścia pięć sążni — odpowiedział sennie Portugalczyk. — Biorą dobrze i prędko. Którego dnia pokażę ci to.

Księżyc rozpoczął swą wędrówkę po cichej toni morskiej, zanim starszyzna poszła na tył okrętu. Kucharz nie potrzebował przywoływać „drugiej zmiany”. Dan i Manuel znaleźli się pod zapadnią i przy stole, zanim Tom Platt, ostatni i najbardziej rozważny ze starszyny, skończył wycierać sobie usta grzbietem ręki. Harvey poszedł za Pennem i usiadł przed cynową miską, wypełnioną dziwnie przyrządzoną rybą, okładaną skrawkami wieprzowiny i smażonymi ziemniakami, przed bochenkiem świeżo upieczonego chleba i blaszanką czarnej, mocnej kawy. Choć byli setnie wygłodzeni, jednakże czekali, póki Pensylwania nie odmówił uroczystej modlitwy o błogosławieństwo dla tych darów bożych, po czym w milczeniu prędko spożywali strawę, aż na koniec Dan, odsapnąwszy, odłożył od ust cynowy kubek i zapytał Harvey’a, jak się czuje.

— Doskonale, ale jeszcze by zdało się coś przekąsić.

Kucharzem był rosły Murzyn, czarny jak smoła, zgoła nie przypominający Harvey’owi Murzynów spotykanych dotychczas, gdyż nie odzywał się ani słowem, poprzestając na uśmiechach i niemych gestach zapraszających do dalszego jedzenia.

— Widzisz, Harvey’u — mówił Dan bębniąc widelcem po stole — że jest tak, jak powiedziałem. Młodzi i przystojni ludzie, tacy jak ja, Penn, ty i Manuel, stanowią „drugą zmianę”; do jadła zasiadamy dopiero wtedy, gdy pierwsza już się uwinie z wieczerzą. Ale tamci to stare i grube ryby... ludzie gruboskórni, więc też przychodzą do stołu pierwsi, choć na to nie zasługują. Czy nie tak, doktorze?

Kucharz kiwnął głową.

— Czy on nie umie mówić? — zapytał Harvey szeptem.

— Umie tyle, żeby się jako tako zgadać z ludźmi... ale, o ile nam wiadomo, nie bardzo jest w gębie tęgi... Jego naturalna mowa jest dość cudaczna. Pochodzi on z głębi Cape Breton, gdzie farmerzy mówią swoją własną szkocką gwarą. Cape Breton roi się od Murzynów, którzy tam zbiegli podczas wojny, a wszyscy mówią tak jak farmerzy... jakoś tak sapiąco i sepleniąco.

— To nie gwara szkocka — poprawił Pensylwania — ale galicka. Czytałem w jakiejś książce.

— Penn dużo czyta. Prawie wszystko, co mówi, wziął z książek... chyba że chodzi o liczenie ryb... co?

— Czy twój ojciec poprzestaje tylko na tym, co oni mówią o liczbie złowionych ryb i sam nie sprawdza rachunku? — zapytał Harvey.

— A jakżeby inaczej? Cóż kto na tym zyska, że nas oszuka o tych kilka starych sztokfiszów?

— Był raz człowiek, co kłamał, gdy szło o wielkość połowu — wtrącił Manuel. — Kłamał dzień w dzień. Podawał o pięć, dziesięć, dwadzieścia pięć ryb więcej, niż było naprawdę.

— Gdzie to było? — spytał Dan. — Chyba nie między nami.

— Był to Farnucz z Anguille.

— Aha! Te Francuzi z Zachodniego Brzegu nie umieją liczyć nic a nic. Wiadoma rzecz, że liczyć nie umieją. Jeżeli przejedziesz choć raz po jednym z ich miękkich haczyków, będziesz wiedział, Harvey’u, czemu to przypisać — mówił Dan z niepomierną wzdrganą.

Gdy przyjdzie nam patroszyć ryby,  
Nikomu pracy nie brak bez ochyby<sup>20</sup>!...

— ryknął przez luk Długi Dżek, a „druga zmiana” jak gdyby na komendę jęła się gramolić na górę.

Cienie masztów i olinowania wraz z nigdy niezwijanym żaglem wielkim przesuwają się to w tę, to w tamtą stronę po chybocącym się pokładzie, zalanym poświatą księżycową, a stos ryb koło rufy połyskiwał niby bryła płynnego srebra. W składowni, gdzie Disko Troop i Tom Platt się krzątali, słychać było szuranie i tupotanie. Dan podał Harvey’owi

<sup>20</sup>bez ochyby (daw.) — niechybnie, niewątpliwie. [przypis edytorski]



widły i zaprowadził go na zwrócony ku środkowi okrętu koniec nieheblowanego stołu, przy którym stał już stryj Salters, postukując niecierpliwie trzonkiem noża; u jego nóg stała kadź ze słoną wodą.

— Będziesz się trzymał koło taty i Toma Platta pod zapadnią, a miej się na baczności, ażeby stryj Salters nie wybił ci oka — rzekł Dan, wskakując z rozmachem do składowni. — Ja będę podawał sól tam z dołu.

Penn i Manuel stali w składowni zanurzeni po kolana w stercie dorszów i wywijali wyostrzonymi świeżo nożami. Długi Dżek mając przy nogach koszyk, a na rękach rękawice, stał za stołem, twarzą w stronę stryja Saltersa. Harvey wpatrzył się w ostrze widełek.

— Hej! — krzyknął Manuel, pochylając się nad rybami. Podniósł w górę jedną z nich, trzymając ją jednym palcem poniżej tchawicy, a drugim za oko; mignęło ostrze noża, rozległ się chrzęst... i ryba, rozplątana od gardzieli po brzuch, nacięta po obu stronach szyi upadła pod stopy Długiego Dżeka.

— Hej! — ozwał się Długi Dżek, machając dłonią niby szuflą. Wątroba dorsza plasnęła w koszyk. Jeden skręt i jedno machnięcie — odleciała głowa i bebechy, a wypatroszona ryba przeszła do stryja Saltersa, który parskał zajadle. Znowu rozległ się chrzęst rozdzierania, kręgosłup pofrunął za burtę, a ryba, wyczyszczona, chlupnęła na dno kadzi, rozbryzgując słoną wodę prosto w usta zdumionego Harvey'a. Po pierwszym okrzyku ludzie ucichli jak trusie. Dorsze jeden po drugim poruszały się jak żywe, a zanim Harvey przestał się dziwić cudownej wprost zręczności, z jaką wykonywano całą robotę, jego kadź była już pełna.

— Bierz na widły! — mruknął stryj Salters nie odwracając głowy. Harvey jął brać na widły po dwie lub trzy ryby i zrzucić je pod zapadnię.

— Hej! Bierz kupą! — krzyknął Dan. — Nie rozsypuj! Stryj Salters jest najlepszym płataczem w całej maszoperii! Przypatrz no się, jak medytuje nad swą książką.

Istotnie, wyglądało to, jak gdyby puciołowaty stryjasek rozcinał równomiernie stronicę miesięcznika. Ciało Manuela, skurczone powyżej lędźwi, znieruchomiało niby posąg, ale jego długie ręce bez przerwy zgarniały rybę. Mały Penn uwijał się zawzięcie, ale łatwo było poznać, że sił mu brakło. Manuel kilkakrotnie znalazł czas, by mu pomagać, nie przerywając łańcucha prac, przy czym raz zawył boleśnie, przebiwszy sobie palec haczykiem francuskim. Haczyki te bywają sporządzone z miękkiego metalu, tak iż zaginają się po zaczepieniu się o wnętrze ryby; jednakże często się zdarza, że dorsze uchodzą wraz z nimi i dają się znów złapać gdzie indziej, a jest to jeden z wielu powodów, że statki gloucesterskie mają w pogardzie Francuzów.

W dole niby chrobotanie mielących żaren rozbrzmiewał zgrzytliwy odgłos soli, ocierającej się o surowe mięso — wtórując szcękowi noży w składowni i pluskotaniu ukręcanych łbów, strącanych wątrób i fruwających wnętrzności, ciąglemu zgrzytowi noża w rękach stryja Saltersa wypruwającego ości; a wreszcie chlupotaniu mokrych, rozplątanych rybich tusz.

Po godzinie takiej pracy Harvey gotów był oddać świat cały za chwilę wypoczynku. Świeże, mokre jeszcze dorsze waży więcej, niż by się zdawać mogło, więc chłopaka bolały krzyże od ciągłego machania widłami. Jednakowoż po raz pierwszy w życiu miał świadomość, że był jednym z roboczej, pracowitej drużyny; na tę myśl rósł w dumę i pracował jak mruk, bezsłownie, cicho, nieustępliwie.

— Nóż — hej! — wrzasnął na koniec stryj Salters. Penn urósł w dwójnasób, ciężko dysząc pośród ryb, Manuel jął się przeginać to w tył, to naprzód, ażeby znów nabrać sprężystości, a Długi Dżek oparł się o burtę. Kucharz pojawił się znowu, bezszelestnie jak czarne widmo, zgarnął całą kupę łbów i ości — i odszedł z powrotem.

— Okrawki na śniadanie i galareta z rybiej głowizny — ozwał się Długi Dżek, obliżując wargi.

— Nóż — hej! — powtórzył stryj Salters, wymachując płaskim, zakrzywionym majchrem, służącym do oprawiania ryb.

— Uważaj na nogę, Harvey! — krzyknął Dan z dołu.

Harvey zobaczył pół tuzina noży tkwiących w poprzecznej belce koło wrót składowni. Obejrzał je dokładnie, odkładając te, które stępały.

— Wody! — zawołał Disko Troop.

— Beczka z wodą jest na przodzie okrętu, a czerpak zaraz koło niej. Dalej, Harvey'u! — rzekł Dan.

Za minutę Harvey był już z powrotem, niosąc olbrzymi czerpak, pełen wody, która wprawdzie była przytęchła i niezbyt czysta, jednakże miała smak nektaru, a przy tym rozwiązała język Diskowi i Tomowi Plattowi.

— To dorsze — prawil Disko — dorsze, nie żadne damarskie figi, Tomie Platt, ani też bryły srebra. Mówilem ci to za każdym razem, gdyśmy razem żeglowali.

— Toż dopiero siódmy raz, jak z sobą razem pływamy — odparł chłodno Tom Platt. — Dobry ładunek zawsze jest dobrym ładunkiem, a może być zły lub dobry sposób ładowania choćby nawet takiego balastu. Gdybyś tak kiedy widział czterysta ton żelaza naładowanych na...

— Hej! — rozległ się przeraźliwy krzyk Manuela. Było to hasło podjęcia roboty. Pracowano zawzięcie, bez przerwy, dopóki nie opróżniono całej składowni. Gdy już zrzucano na dół ostatnią rybę, Disko Troop wraz z bratem zatoczył się do kajuty na rufie, Manuel i Długi Dżek podążyli na przód okrętu, a jedynie Tom Platt przeczekał sporą chwilkę, po czym zasunął pokrywę luku i również zniknął. W pół minuty później Harvey posłyszał gromkie chrapania w kajucie. Tępym wzrokiem wpatrzył się w Dana i Penna.

— Czuję się już troszkę lepiej, Danny — ozwał się Penn, któremu porządnie ciążyły powieki snem zmorzone. — Ale sądzę, że powinienem pomóc w sprzątanui.

— Poszedłbyś spać, Penn! — rzekł Dan. — Nie masz powołania do spełniania obowiązków chłopca okrętowego. Przynieś no wiadro, Harvey'u. Aha! Penn! Zanim pójdziesz lulu, rzuć to wszystko do beczki. Czy wytrzymasz jeszcze bez snu tę chwilkę?

Penn podniósł ciężki kosz rybich wątróbek i wysypał całą jego zawartość do beczki z ruchomą pokrywą, przytroczonej do kasztelu przedniego, po czym i on zniknął z pokładu, zapadłszy w głąb kajuty.

— Chłopcy okrętowi zawsze sprzątają po patroszeniu ryb, a chłopak też pełni pierwszą wachtę na *We're Here* podczas ciszy morskiej — objaśnił Dan, po czym jął z rozmachem szorować stół, postawił blat na sztorc, by go osuszyć, garścią pakuł wytarł zakrwawione noże i począł je ostrzyć na niewielkim toczydle. Tymczasem Harvey, stosownie do jego zlecenia, zajął się wyrzucaniem rybich wnętrzności i kości za burtę okrętu.

Za pierwszym pluśnięciem wynurzyło się z mazistej wody jakieś srebrno-białe zjawisko i wydało dziwnie świszczące westchnienie. Harvey krzyknął na całe gardło i cofnął się z przerażeniem, ale Dan tylko się roześmiał.

— To kaszalot — wyjaśnił — żebrze o łby rybnie. Te bestie tak się wspinają w górę, gdy są głodne. Ale cuchnie od niego jak z grobu... co?

Okropny zaduch gnijącej ryby nappełnił powietrze wraz ze słupem białego oparu, a woda bulgotała jakimś rozmazanym głosem.

— Więc nigdy dotąd nie widziałeś kaszalota? Myśmy ich tu widywali całe setki, zanim się do nas dostał... Ale wiesz co? Dobrze, że mamy znowu chłopaka! Otto był za stary, a do tego Holender. Nieraz żeśmy porządnie poprzątkali się ze sobą... a ostrzegłby się tego, gdyby miał w gębie jakiś ludzki język. Co? Jesteś śpiący?

— Tak! Spać mi się chce piekielnie! — odrzekł Harvey, kiwając się ciałem w przód.

— Na wachcie spać nie wolno. Wstań i przypatrz się, czy świeci światło na kotwicy. Teraz twoja kolej, Harve.

— Phi! Cóż złego może się nam przytrafić? Jasno jak w dzień!

— Różnie się może zdarzyć. Zaśniesz sobie przy pięknej pogodzie i zanim się spostrzeżesz, już cię może pięknie wpół przeciąć liniowiec, a siedemnastu oficerów (wszystko wielkie pany z grosiwem w kieszeni) gotowi będą poręczyć słowem, że twoje światło zgasło i że była gęsta mgła! Wiesz, Harve, polubiłem cię bardzo, ale jeżeli jeszcze raz mi się kiwniesz, to dzielę cię pletnią.

Księżyc, który widuje przeróżne dziwy, spoglądał z góry na szczupłego młodzieniaszka w sportowych pluderkach<sup>21</sup> i czerwonym kubraku, włączącego się chwiejnym krokiem po rozklekotanych pokładach siedemdziesięciotonowego szonera, gdy poza plecami tegoż

<sup>21</sup>pludkerki — zdrobn. od: *pludry*; spodnie. [przypis edytorski]

młodzieniaszka podążał niby oprawca drugi chłopak poziewający i kiwający się w przewrach pomiędzy wymierzanymi przez siebie ciosami.

Uwiązane koło sterowe pojękiwało i postukiwało z lekka, żagiel koronny z cicha łopotał pod zmiennym tchnieniem wiatru, winda skrzypiała posępnie... a żaloszny pochód na pokładzie ciągnął się bez końca. Harvey prosił, wyrzekał, groził, a w końcu popłakiwał otwarcie, ale nieubłagany Dan, choć mu język zdrętwiał do reszty, wygłaszał bez przerwy kazanie o potrzebie czujności i chlastał przed siebie harapem, chłoszcząc równie często czółna jak i Harvey'a — jeżeli udało mu się go trafić. W końcu zegar w kajucie wybił dziesiątą — a za dziesiątym uderzeniem Penn wygramolił się na pokład. Znalazł obu chłopców skulonych — jednego przy drugim — koło głównego luku i tak głęboko uśpionych, że musiał pozanosić ich własnoręcznie na prytrze.

### ROZDZIAŁ III

Był to sen głęboki — czterdziestosąźniowy — taki, co to oczyszcza duszę, wzrok i serce, i daje człowiekowi wielki apetyt przy śniadaniu. Zbudzeni z niego, Dan i Harvey, wypróżnili do cna wielki cynowy półmisek, pełny soczystych resztek ryby — owych krwawych okrawków, które poprzedniego wieczora zebrał kucharz. Dokumentnie wyczyścili talerze i rondelki starszych biesiadników od dawna już zajętych połowem, pokrajali cieniuchno wieprzowinę do obiadu, wyszorowali pokład, podolewali nafty do lamp, nanieśli węgla i wody kucharzowi i przetrząsnęli szafarnię, gdzie znajdowały się zapasy okrętowe. Dzień był przepyszny — łagodny, jasny i miły, a Harvey oddychał pełną piersią.

W ciągu nocy ubiegłej nadciągnęło jeszcze parę innych szonerów; długi przestwór modrych wód roił się od żagli i czółen rybackich. Gdzieś daleko na widnokręgu jasny błękit nieba przyćmiewała smuga dymu, płynąca z niewidzialnego liniowca; na wschód od niego wyłamywała się w widnokręgu prostokątna szczerba — były to wzdymające się właśnie topzagle jakiegoś wielkiego okrętu. Disko Troop, ćmiąc tytoń, stał przy podbitce kabiny — jednym okiem rozglądał się po statku, a drugim obserwował małą chorągiewkę na głowicy grotmasztu.

— Gdy tato tak się zaduma — mówił Dan szeptem — to znak, że obmyśla coś ważnego dla całej załogi. Założę się o całą płacę i cały part, że wkrótce będziemy jak u Pana Boga za piecem. Tato zna się na dorszach... i wszystkie maszoperie o tym wieczą. Przypatrz no się, jak tam statki nadciągają jeden za drugim... Tam oto jest *Prince Leboo*... bat z Chat-ham. Wylazł tu ostatniej nocy. A widzisz ten wielgaśny okręt z cętką na fokzagle i nowym klinem? To *Carrie Pitman* z West Chat-ham... nie poniesie ci długo swych paruchów, chyba że mu się szczęście odmieniło od zeszłego lata! Na niewiele go stać, co najwyżej na dryfowanie! Nie ma takiej kotwicy, która by zdołała go utrzymać... Gdy dym fajki układa się w takie kółeczka, znaczy to, że tato myśli o rybach. Gdybyśmy teraz przemówili do niego, wściekłby się ze złości. Ostatnim razem, kiedy się do niego odezwałem nie w porę, cisnął we mnie butem.

Disko Troop, przygryzłszy fajkę zębami, patrzył przed siebie znieruchomiałymi oczyma, które jakoby nie widziały, co się święci. Zgodnie z tym, co mówił o nim syn, myślał o połowie, stawiając swą wiedzę i doświadczenie zebrane na Rewach, w zawody przeciwko dorszom wędrującym we własnym morzu. Obecność natrętnych, wścibskich szonerów na widnokręgu poczytywał za komplement dla swoich zdolności. Jednakże skoro go tym komplementem już obdarzono, pragnął dać drapaka i osiąść na kotwicy gdzieś z dala od ludzi, póki nie nadejdzie pora, gdy będzie mógł wrócić i uprawiać połów na ulicach zgiełkliwego miasta nad wodami. Toteż Disko Troop rozmyślał o pogodzie dni ostatnich, o burzach, prądach, dostawach żywności i innych wydarzeniach — zawsze z punktu widzenia dwudziestofuntowego sztokfisa; w takich razach sam bodaj na godzinę stawał się dorszem i nawet robił się uderzająco podobny do tej ryby.

Nagle wyjął fajkę z zębów.

— Tatulo — ozwał się Dan — już ukończyliśmy sprzątanie. Czy moglibyśmy trochę popływać po morzu? Dziś dobra pogoda na połów.

— Tylko nie w tym wiśniowym przyodziewku ani w tych brązowych przypalanych bucikach. Dajże mu jakieś bardziej odpowiednie ubranie.

— Tato zadowolony... dlatego nam się udało — rzekł Dan z radością, wciągając Harvey'a do kajuty, gdy Troop zrzucił jakiś klucz ze schodów. — Tata chowa moje zapasowe ubranie, bo mówi, że jestem niedbały.

Pogmerał w komodzie i w ciągu niespełna trzech minut Harvey był już przystrojony w długie, nieprzemakalne, zachodzące mu do połowy uda buty rybackie, w ciężki błękitny spencer wełniany, dobrze wycerowany na łokciach, w parę majtadrałów i kapelusz „zydwestera”.

— Teraz to przynajmniej wyglądasz na człowieka — zauważył Dan. — Śpiesz się!

— Trzymajcie się tu blisko, pod ręką — przykazał Troop — i nie zadawajcie się z nikim. Jeżeli was kto zapyta, co teraz planujecie, powiedzcie, że nic nie wiecie.

Przy rufie szonera było przywiązane małe czerwone czółno z napisem „Hattie S.”. Dan spuścił linkę holowniczą i zsunął się na dno łódki, za nim zaś niezgrabnie potoczył się Harvey.

— Tak to się nie schodzi do łódki — upomniał go Dan. — Gdyby to było na pełnym morzu, poszedłbyś pewno na dno. Musisz się nauczyć włożenia do niej.

To rzekłszy umocował kołeczki dulek, zajął przednią ławę i przyglądał się robocie Harvey'a. Chłopak kiedyś ćwiczył się w wiosłowaniu na stawach Adirondackich. Jest jednak pewna różnica między lekkimi łodziami sportowymi a ciężkimi, krępyimi, na osiemnaście stóp długimi czółnami — pomiędzy kołkami skrzypiących dulek a równo chodzącymi, dopasowanymi do uchwytów obręczkami. Pruli spokojną gładź, a Harvey wciąż postękiwał.

— Nie tak gwałtownie! Wiosłuj spokojnie! — ostrzegał go Dan. — Jak ci się tak wykręci wiosło na rozbujanym morzu, to na pewno wywalisz łódkę... Ale prawda, że łódka jest świetna... co?... moja!...

Łódka była nienagannie czysta. Na jej przodzie znajdowała się maluchna kotwiczka i dwa kubły z wodą. Cynowa trąbka obiadowa spoczywała w kojczyku tuż pod prawą ręką Harvey'a, obok jakiegoś brzydkiego tłuczka, krótkiego harpuna i jeszcze krótszego drewnianego kijka. Pęk lin opatrzonych nader ciężkimi ołowiankami i podwójnymi haczykami, jakich używa się do połowu dorszy, tkwił na właściwym swym miejscu koło klamburty.

— A gdzie masz i żagiel? — zagadnął Harvey, bo dłonie zaczęły mu już okrywać się bąblami.

Dan zachichotał.

— Nieczęsto będziesz żeglował na rybackich łodziach. Trzeba powiosłować... ale nie potrzebujesz tak się wysilać przy wiosłowaniu. Chciałbyś mieć taką łódkę na własność?

— No, no! Zdaje mi się, że ojciec dałby mi nie jedną, ale dwie takie łódki, gdybym go o to poprosił — odpowiedział Harvey. Dotychczas nazbyt był zajęty, by wiele czasu poświęcać myślom o rodzinie.

— Pewnie że tak. Twój tato jest milionerem. Teraz to nawet nie wyglądasz na milionera. Ale łódka i statek, i oporządzenie — mówił Dan, jak gdyby co najmniej był właścicielem wielorybnika — kosztują masę pieniędzy. Czy myślisz, że twój tato dałby ci taką łódkę dla... dla twojej zabawy?

— Nic by w tym nie było dziwnego. Byłaby to bodaj że jedyna rzecz, której dotychczas jeszcze nie zdołałem od niego wyprosić.

— Musiał być z ciebie w domu wielki rozrzutnik. Nie szarp tak wiosłem, Harve! Bierz krócej, bo morze nigdy nie jest do cna spokojne, a te ruchy mogą...

Trrach! Gryf wiosła uderzył Harvey'a w podbródek i przewrócił go na wznak.

— To właśnie chciałem ci powiedzieć. Ja też musiałem się wszystkiego uczyć, ale miałem nie więcej jak osiem lat, gdy rozpocząłem tę „szkołę”.

Harvey z obolałą szczęką i zmarszczonym czołem usiadł znów na dawnym miejscu.

— Nic z tego nie przyjdzie, że będziemy się złościć, powiada tato, bo (jak powiada), to tylko nasza wina, że sobie nie możemy dać rady. Spróbujmy tutaj. Manuel poda nam głębokość.

Portugalczyk chybotął się w łódce o milę od nich, ale kiedy Dan podniósł w górę koniec wiosła, natychmiast dał trzykrotny znak lewą ręką.

— Trzydzieści sążni — rzekł Dan, uczepiając do haka kawałek solonego mięsa. — Dalej w morze te placki! Zakładaj przynętę tak jak ja, Harvey'u, tylko nie rób wielkiego hałasu swym zwijadłem.

Dan już dawno rozwinął linę, zanim Harvey opanował tajemnicę zakładania przynęty i wyrzucania ołowianek. Łódka płynęła swobodnie z prądem. Nie warto było zarzucać kotwicy, póki nie byli całkiem pewni dobrego gruntu.

— Mamy go! — wrzasnął Dan; rzęsimy deszcz wodnych rozbryzgów zachrzęścił na plecach Harvey'a, a wielki dorsz zaczął rzucać się i trzepotać tuż koło niego. — Dawaj klipę, Harvey'u, klipę! Masz ją pod ręką! Prędzej!

Klipą oczywiście nie mogła być trąbka obiadowa, przeto Harvey podał mu tłuczek. Dan umiejętnie ogłuszył rybę, zanim wciągnął ją do wnętrza łodzi, po czym z pyska ryby wykręcił hak, posługując się krótkim drewnianym kijkiem, który nazywał „pędzelkiem do gardła”. Wtem Harvey poczuł szarpnięcie, więc z całą gorliwością ją ciągnąc sznur w górę.

— Ależ to poziomki! — krzyknął. — Przypatrz no się!

Haczyk istotnie uwikłał się w kępie poziomek czerwonych po jednej stronie, a białych po drugiej — doskonale naśladujących jagodę leśną, z tą tylko różnicą, że nie miały listków, a łodygi ich były wewnątrz puste, a z wierzchu ośliźle.

— Nie dotykaj! Wyrzuć je! Nie...

Ostrzeżenie przyszło za późno. Harvey już zerwał je z haka i przyglądał im się z podziwem.

— U-uch! — krzyknął i wstrząsnął palcami, jak gdyby pochwycił w rękę całą garść pokrzyw.

— Teraz już chyba wiesz, co oznacza „pole poziomkowe”. Tato powiada, że gołą ręką nie należy tykać niczego oprócz ryb. Wyrzuć je za burtę i załóż znów przynętę, Harve. Z gapienia się po próżnicy nikomu jeszcze nic nie przyszło. Tu każda chwila to pieniądz!

Harvey uśmiechnął się na myśl o dolarach, jakie miał otrzymywać miesięcznie, i starał się odgadnąć, co powiedziałyby jego matka, gdyby go tu zobaczyła wychylającego się przez krawędź łódki rybackiej pośrodku oceanu. Wszak cierpiała niewysłowione męki, ilekroć on — jej synek — wybrał się na przejażdżkę po jeziorze Saranaz... a i to Harvey dobrze pamiętał, że miał zwyczaj wyśmiewać się z jej niepokojów. Naraz — ni stąd ni zowąd — lina prześliznęła mu się w dłoni, obcierając skórę nawet pomimo „mitenek”, czyli wełnianych ochraniaczy na rękach.

— To ci wielki kłoc! Ustąp mu miejsca, bo widzisz, jaki z niego siłacz! — krzyczał Dan. — Ja ci pomogę!

— Nie, nie pomagaj — fuknął Harvey, całą siłą uczepiwszy się liny. — To moja pierwsza ryba. Czy... czy to wieloryb?

— Może płastuga?

Dan wlepił oczy w wodę i podniósł wielką „klipę”, gotów na wszystko, cokolwiek by się zdarzyło. Coś białego i owalnego zamigotało i zatrzepotało się wśród zieleni wód.

— Założę się o cały part i płacę, że ta bestia waży z górą sto funtów. Czy nadal jeszcze upierasz się, żeby ją wyciągnąć w pojedynkę?

Harvey'owi ścierpły przeguby rąk oparte o klamburtę — już nawet poczęły krwawić; twarz to czerwieniała, to siniała na przemian z podniecenia i wyczerpania; ociekał potem i był na poły oślepy od wpatrywania się w odbłaski słoneczne, rozbiegające się wokół szybko poruszającej się linki. Chłopcy zmęczeni się o wiele wcześniej niż płastuga, która przez jakieś dwadzieścia minut miała przewagę nad nimi i łódką. W końcu jednak udało się ugodzić ościeniem i wyłowić wielką, płaską rybę.

— Poszczęściło ci się niezłe — przyznał Dan, ocierając czoło. — Waży przeszło sto funtów.

Harvey z niewymowną dumą spoglądał na ogromną, szaro nakrapianą bestię. Nieraz widywał płastugi na marmurowych ladach sklepowych, jednakże nigdy nie przyszło mu na myśl zapytać, jak się dostały w głąb łądu. Teraz już wiedział... i każde ścięgnięto w jego ciele było obolałe od zmęczenia.

— Gdyby tato był z nami — mówił Dan, ciągnąc linę do góry — odczytałby znaki tak dokładnie jak z drukowanej książki. Ryby teraz maleją i maleją, a tu tymczasem złapałeś taką superplastugę... bodajże największą, jaką uda nam się złowić w czasie tej wyprawy!

Wczorajszy połów, czyś to zauważył, dał same duże ryby, ale ani jednej płastugi. Tata umie pysnie odczytywać znaki. Powiada, że na Rewach wszystko ma w sobie jakieś znaki, które można odczytywać trafnie lub mylnie.

Gdy kończył mówić, na pokładzie *We're Here* rozległ się strzał.

— To jest hasło zwołujące całą załogę. Tata coś tam już obmyślił, inaczej nigdy by o tej porze nie przerywał połowu. Zwijaj linę, Harvey'u, wracamy.

Ustawili się pod wiatr ku okrętowi, gotowi powierzyć łódkę spokojnemu morzu, gdy naraz żalosne nawoływania rozlegające się o pół mili od nich skierowały ich w stronę Penna, który uganiał się bez ustanku dokoła jakiegoś stałego punktu, zupełnie podobnego do olbrzymiej pluskwy wodnej. Mały człeczyna to cofał się, to powracał znów z niezwykłą zawziętością na dawne miejsce, ale pod koniec każdego z tych manewrów czołno zakręcało w kółko i chybotало się bezradnie na linie.

— Musimy mu pomóc, inaczej utknie tam na dobre — rzekł Dan.

— A cóż się stało? — zapytał Harvey. Był to jakiś nowy świat, dotąd mu nieznan, w którym on już nie dyktował praw ludziom starszym od siebie, ale musiał z pokorą pytać o wszystko. A morze było przerażająco ogromne i obojętne.

— Kotwica się zaplątała. Penn ciągle gubi kotwice. Już dwie stracił w czasie obecnej wyprawy... i do tego na piaszczystym dnie... a tata mu zapowiedział, że jeżeli straci jeszcze jedną... ma się rozumieć, podczas połowu... to mu da knagę. Byłoby to śmiertelnym ciosem dla Penna.

— Co to jest „knaga”? — zapytał Harvey, na pół domyślając się, że jest to zapewne jakiś rodzaj tortur marynarskich, o jakich czytał w powieściach.

— Wielki kamień, który ma zastąpić kotwicę. Taką knagę dyndającą na przodzie łodzi widać już z dala, a cała rybacka gromada zaraz wie, co to znaczy. Ej, ośmieszyłoby go to okropnie! A tego Penn nie potrafiłby znieść... To zupełnie, jak gdyby kto psu przywiązał warząchew do ogona... Taki już on zawsze wrażliwy! Hola, Penn! Znowuś ugrzązł? Nie próbuj już więcej swych zdolności. Podpłyn nieco dalej i trzymaj linę prostopadle.

— Nie mogę jej ruszyć — odpowiedział zasapany nieborak. — Nie mogę jej ruszyć, choć robię wszystko, co w mej mocy.

— Cóż to za wronie gniazdo na przodzie? — zapytał Dan, wskazując na gmatwaninę zapasowych wiosel i wszelakich lin poplątanych nieprawą ręką.

— To? — odpowiedział Penn z dumą. — To hiszpańska winda. Pan Salters pokazał mi, jak to się robi; ale i tak nie mogę jej ruszyć.

Dan pochylił się nad klamburtą, by skryć uśmiech, szarpnął kilkakrotnie za linę i — o dziwo! — kotwica puściła od razu.

— Ciągnij w górę, Penn! — zawołał, śmiejąc się — bo inaczej znów się zahaczy.

Pożegnali się z nim — jeszcze dziękował im z rozrzewnieniem i wielkimi, smętno-niebieskimi oczyma wpatrywał się w pazury małej kotewki, obwieszona zielskiem morskim, zwanym kidziną.

— Wiesz co, Harvey — mówił Dan, gdy już odpłynęli na odległość głosu — czasem przychodzi mi na myśl, że Penn nie wszystkie klepki ma w porządku. Nie jest niebezpieczny, ale w głowie mu czegoś braknie. Czy tego nie widzisz?

— Czy to naprawdę twoje spostrzeżenie, czy jest to tylko jeden z sądów twojego ojca? — zapytał Harvey pochylając się nad wiosłami. Czuł, że potrafi już nimi władać z większą łatwością.

— Tym razem tato się nie pomylił. Penn jest z pewnością pomyłony. Wzięło się to stąd... wiosłuj teraz uważnie, Harvey... a powiem ci to, bo trzeba, żebyś wiedział wszystko należycie. Najpierw był on morawskim kaznodzieją<sup>22</sup>. Na imię miał Jakub Boller (tak mi powiedział tato)... a mieszkał z żoną i czworgiem dzieci gdzieś w Pensylwanii. Otóż pewnego razu Penn wziął całą swoją rodzinę na jakiś tam ich wiec morawiański, i zatrzymali się na jedną noc w Johnstown. Słyszałeś kiedyś o Johnstown?

Harvey zamyślił się.

— Tak jest, słyszałem. Ale nie przypominam sobie w jakich okolicznościach. Nazwa ta utkwiała mi w pamięci tak samo jak Ashtabula.

<sup>22</sup>morawski kaznodzieja — wyznawca husytyzmu. [przypis redakcyjny]

— Jedno i drugie związane było z doniosłymi wydarzeniami... Otóż w ową właśnie noc, kiedy Penn ze swoją rodziną przebywał w hotelu, miasto Johnstown uległo zniszczeniu. Przerwała się grobla... ruszyła powódź... domy zostały uniesione prądem... gruchoły się jedne o drugie i toczyły. Widziałem to na obrazach... dalibóg, to było straszne! Penn, zanim zorientował się, co się dzieje, zobaczył potopioną całą swoją rodzinę. Odtąd już rozum mu się całkiem popsuł. Pamiętał, że coś się wydarzyło w Johnstown, ale przez całe swoje biedne życie nie mógł sobie przypomnieć, co to było... ino pływał tak sobie w kółeczko, uśmiechając się i dziwując. Nie wiedział, ani kim jest, ani kim był... Wówczas to spotkał stryja Saltersa, który właśnie zawitał do jakiegoś miasta w Alleghany. Połowa rodziny mojej matki tam żyje, a stryj Salters zimą jeździ tam w odwiedziny. Otóż stryj Salters, dowiedziawszy się, jakie nieszczęście spotkało Penna, zajął się nim prawie jak rodzonym synem... wziął go na wschód i dał zatrudnienie na swym folwarku.

— A jakże, wczoraj wieczorem, kiedy obaj zderzyli się łódkami, słyszałem, jak Penna nazwano hreczkosiejem. Czy stryj Salters jest farmerem?

— Farmerem! — wrzasnął Dan. — Całej wody od nas aż do Hatt'rus nie starczyłoby na to, żeby zmyć z jego butów glinę. On jest farmerem. Ba, Harvey'u, widziałem jak ten człowiek, na długo przed zachodem słońca, podstawił wiaderko i kręcił czop u beczki z wodą, zupełnie jakby to było wymię krowie. Do tego stopnia przesiąkł farmerskim życiem. Otóż on i Penn udali się na folwark... było to niedaleko od Exeter. Stryj Salters sprzedał go... niby ten folwark... jakiejś lafiryndzie z Bostonu, która chciała sobie postawić letniak... hej, dostał za to ładny kawał grosza! No i obaj, te dwa głuptaki, żyli sobie jako tako. Kiedyś stryj przyszedł do taty, prowadząc ze sobą Penna i mówiąc, że on i Penn muszą wybrać się, o tak dla zdrowia, na jedną choćby wyprawę rybacką. Wiadąc, wykalkulował sobie, że Morawianie nie będą ścigali Jakuba Bollera po Rewach. Tato się zgodził, bo stryj Salters wcześniej, przez trzydzieści lat, zajmował się rybołówstwem, gdy jeszcze nie wynajdował patentowanych nawozów, i zajmował kwaterę na *We're Here*. Wyprawa dobrze zrobiła Pennowi, więc tato zaczął go zabierać stale ze sobą. Ale kiedyś, powiada tato, Penn sobie przypomniał żonę, dzieci i miasto Johnstown, a wtedy, jak mówi tato, może to skończyć się śmiercią. Nie gadaj nigdy Pennowi o Johnstown ani o niczym podobnym, bo stryj Salters wyrzuci cię do morza.

— Biedny Penn! — mruknął Harvey. — Widząc ich tak razem we dwójkę, nigdy bym nie pomyślał, że stryj Salters jest jego serdecznym opiekunem.

— Mimo wszystko lubię Penna... i wszyscy go lubimy — mówił Dan. — Powinniśmy byli poholować go za sobą... ale chciałem ci najpierw wszystko opowiedzieć.

Znajdowali się już niedaleko od szonera; reszta łodzi sunęła za nimi w niewielkiej odległości.

— Nie trzeba teraz wciągać łodzi — odezwał się Troop z pokładu. — Weźmiemy się natychmiast do oprawiania ryb. Ustawcie stoły, chłopcy!

— Tata głębszy i posepniejszy niż paszcza wielorybia! — mówił Dan mrugnąwszy okiem, gdy czyniono przygotowania do oporzędzania ryb. — Przypatrz się tym statkom, które pojawiły się tu od rana. One wszystkie czekają na tatę. Czy widzisz je, Harvey'u?

— Dla mnie one wszystkie są jednakowe.

Istotnie, pierwszemu lepszemu szczurowi lądowemu mogło się wydawać, że wszystkie szonery chybocące się wokoło wyszły spod jednego hebla.

— Ej! Nie są one znów takie jednakowe! Tamto żółte, brudne pudło o takim wesołym bukszprycie, to *Hope of Prague*. Jego szyprem jest Nick Brand, najordynarniejszy człowiek na naszych Rewach. Powiemy mu to, gdy dotrzemy do Głównej Ławicy. Dalej za nim widać *Day's Eye*. Jego właścicielami są dwaj Jerauldowie. Ten statek pochodzi z Harovick; Te trzy następne, nieco z boku, to *Margi Smith*, *Rose* i *Edith S. Walen*; wszystkie przybyły prosto z chałupy. Chyba jutro zobaczymy *Abbie M. Deering*, co tatku? Wszystkie tu przyplwają z Queereau.

— Niewiele okrętów zobaczysz jutro, Danny! — Ilekroć Troop nazywał swego syna „Danny”, była to oznaka, że stary jest z czegoś zadowolony.

— Chłopcy, zaczyna się nam tu robić krzyżę ciasno — ciągnął dalej, zwracając się do załogi gramolącej się po jednym na pokład. — Pozwólmy im, niech zastawiają wielką przynętę i biorą małą zdobycz!

Rzucił okiem na zdobycz i smutno było patrzeć, jak szczupły był połów tego dnia. Oprócz płastugi złowionej przez Harvey'a na pokładzie nie było ryby ważącej ponad piętnaście funtów.

— Czekam na zmianę pogody — rzucił mimochodem.

— Będziesz musiał chyba sam ją sprawić, Dysko, ja tam nie mogę dostrzec ni znaku! — odparł Długi Dżek, wodząc okiem po jasnym widnokregu.

A jednak w jakie pół godziny później, gdy zajęci byli patroszeniem, nagle „pomiędzy jedną rybą a drugą” — jak to powiadają — spadła na nich gęsta „doka”. Waliła kłębami, nieustannie, wijąc się i dymiąc nad bezbarwną tonią. Ludzie, nie mówiąc ni słowa, zaniechali oprawiania ryb. Długi Dżek i wuj Salters poprawili osł kołowrotu w łożysku i jęli podnosić kotwicę. Kołowrót obracał się zgrzytliwie, nawijając z wolna na bęben mokrą, konopną linę. W końcu Manuel i Tom Platt przyłożyli ręki do dzieła — i kotwica, jazgocąc, wydostała się ponad wodę. Jeden z żagli wzdął się, jednocześnie Troop ruchem steru osadził okręt w miejscu.

— Rozpiąć kliwer i fok! — rozkazał.

— Walić nimi w mgłę — wrzasnął Długi Dżek umocowując skrzydło kliweru, gdy tymczasem inni podnosili szczękające i chrzęstliwe pierścienie fokżagla. Zatrzeszczał bum przedni; *We're Here* rozejrzał się w wietrze i dał nurka w kłębowisko matowo-srebrzystej mgły.

— „Stryj” sunie za „mamką” — zauważył Troop.

Wszystko to było dla Harvey'a niewymownie dziwne, ale największym dziwem przejmowało go to, że nie słyszał wcale rozkazów, co najwyżej niekiedy coś tam mruknął Troop, kończąc zawsze:

— Dobrze, synku!

— Nigdy dotąd nie widziałeś, jak podnoszą kotwicę? — odezwał się Tom Platt do Harvey'a gapiącego się na wilgotny paruch fokżagla.

— Nie. Gdzież to płyniemy?

— Łowić ryby, szukać nowego stanowiska... sam zrozumiesz, jak pobędziesz tydzień na okręcie. Dla ciebie wszystko to nowość... ale człek nigdy nie wie, co mu kiedy przypadnie. Na ten przykład weź mnie... Toma Platta... nigdy bym ci nie pomyślał... że...

— Lepsze to niż czternaście dolarów miesięcznie i kulka w brzuch — ozwał się Troop stojący przy kole sterowym.

— Niech no dostojna osoba tym się pocieszy!

— Lepsze dolary i centy — odparł były marynarz coś tam manipulując koło dużego kliwru, do którego przywiązany był drewniany drążek. — Ale o tym nie myśleliśmy wcale, jakeśmy obracali kołowrót na *Miss Jim Buck*, kiedy to z Fort Macon prano pociskami armatnimi w naszą rufę, a na dobitkę szarpała nami wściekła wichura. Gdzież był w tedy, Dysko?

— Tutaj albo gdzieś w tych stronach — odpowiedział Dysko — zapracowywałem sobie na chleb powszedni na morskich głębiach i wymykałem się okrętom korsarskim. Szkoda, że nie mogłem ci dogodzić gorącą kulką, Tomie Platt... trudno!... Ale coś mi się widzi, że dostaniemy się pod wiatr, zanim ujrzymy Eastern Point.

Teraz już na przedzie okrętu rozbrzmiewały niecichnące pogwarki, poszmary, chlupoty, co pewien czas urozmaicane twardym dudnieniem oraz świstem rozbryzgów wdzierającymi się na kasztel przedni. Liny i żagle ociekały kroplami, a ludzie snuli się jak senni wzdłuż lewej strony kwatery mieszkalnej — jedynie wuj Salters siedział nieporuszenie na głównym włazie, kurując obolałe dłonie.

— Można by rozpiąć sztakżagiel — ozwał się Dysko, strzelając jednym okiem w stronę brata.

Koło sterowe drgało prawie niezauważalnymi ruchami w ręku Dyska. W parę sekund później syczący czubek gwałtownej fali chlusnął z ukosa po pokładzie, trzepnął stryja Saltersa między łopatki i zmoczył go od stóp do głów. Salters zerwał się z miejsca, ociekając wodą, i ruszył na przód okrętu, po to tylko, by zetknąć się z drugą falą.

— Patrz no, jak tata gania go po całym pokładzie! — rzekł Dan. — Stryj Salters myśli sobie, że inni będą za niego chodzili koło żagli. Tata już na dwóch zesłych wyprawach dawał mu wycisk.



Stryj Salters schronił się pod fokmasztem, ale nowa fala podcięła mu kolana. Twarz Dyska była chłodna i matowa jak żelazna obręcz koła sterowego.

— Podobno okrętowi lepiej by było pod sztakżaglem, Salters — ozwał się Dysko, jak gdyby nie był zauważał niczego.

— Penn, idź natychmiast na dół i napij się kawy. Powinieneś mieć na tyle rozsądku, żeby się nie wałęsać po pokładzie w taką pogodę.

— Teraz będą żłopać kawę i grać w warcaby, dopóki „krowy nie wrócą do domu” — wyjaśnił Dan, gdy stryj Salters pchnął Penna do kajuty. — Mnie się tak widzi, jak gdybyśmy tu wszyscy byli zaczarowani. Nie ma na całym świecie większych leniuchów jak Rewiaki, gdy nie łowią ryb.

— Cieszę się, że to powiedziałeś — krzyknął Długi Dżek, który dotąd kręcił się w kółko, szukając zajęcia. — Zapomniałem zupełnie, że mamy tu pasażera... tego, co ma taki piękny kapelusik na głowie. Ej, nie ma próżnowania dla tych, co jeszcze się nie nauczyli majdrować koło lin. Przyprawdź no go, a będziemy go uczyć.

— Nie był ci to mój pomysł tym razem — roześmiał się Dan. — Powinieneś być sam wziąć się do tego. Mnie to tatulo nauczał harapem.

Przez całą godzinę Długi Dżek oprowadzał swego jeńca po cnie pomyślałbym okręcie, ucząc go, jak się wyraził, „spraw morskich, które znać powinien każdy człowiek, czy ślepy, czy pijany, czy śpiący”. Na siedemdziesięcotonowym szonerze, co dźwiga na sobie ledwo krótki fokmaszt, niewiele jest osprzętu, jednakże Długi Dżek miał dar wyrazistego przedstawiania rzeczy. Gdy chciał zwrócić uwagę Harvey’a na gary, wbijał palce w kark chłopaka, zmuszając go do wytrzeszczania oczu przez całe pół minuty.

Różnicę pomiędzy przodem i tyłem okrętu unaocznił pocieraniem Harvey’owego nosa o kilkustopową rejkę, a kierunek każdej liny utwierdzał w pamięci Harvey’a za pomocą smagania końcem tejże liny.

Nauka ta byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby pokład był całkiem wolny; jednak tam właśnie można było zmieścić wszystko prócz człowieka. Na przodzie znajdowała się winda ze swym taklem, łańcuchem i konopnymi linami, o które niezbyt przyjemnie było się potykać; dalej komin pieca na galardzie i beczki ustawione koło luku przedniego, służące do składania rybich wnętrzności. W tyle za nimi podbieg fokmasztu i potrzask głównego wjazdu zajmowały całą przestrzeń wolną od pomp, zwojów lin, takłów oraz składowni, czyli zsyków, gdzie składano i płatano ryby. Dalej były stanowiska czółen przywiązanych do punktów na kwaterze; za nimi znowu wznosiła się wyżka obwieszona wszelakimi różnościami; a wreszcie sześćdziesięciostopniowy bum grotmasztu osadzony w widelkach i tłukący całą swą długością wszystko, co mu się nawinęło, jako że nie pozostawał w spokoju ani na chwilę.

Tom Platt, ma się rozumieć, również nie pozostawał beczynny, ale siedł razem z nimi, wtrącając przydługie, a zgoła zbyteczne opisy żagli i olinowania na starym okręcie *Ohio*.

— Ej, nie zważaj na to, co on tam bręczy; słuchaj, co ja ci powiem, kochasiu! Tom, nasza kanciarą to nie *Ohio*, więc niepotrzebnie chłopakowi zwracasz tym głowę! — zrzędził Dżek.

— On się zmarnuje na całe życie, rozpoczynając od takiego tarabanienia się po okręcie — tłumaczył Tom Platt. — Daj mu sposobność poznania paru zasadniczych prawideł. Żeglarstwo to sztuka prawdziwa, Harvey’u... ej, pokazałbym ci wszystko jak należy, gdybym cię miał przy sobie na...

— Wiem, jakby to było. Zamęczyłbyś go na śmierć swoim gadulstwem. Cicho, Tom! A teraz po wszystkim, co ci nagadałem, Harve, powiedz no mi, jakbyś związał fokżagiel? Daję ci czas do namysłu.

— Trzeba to wciągnąć do środka — odrzekł Harvey wskazując na lej.

— Co za „to”? Północny Atlantyck?

— Nie! Ten drąg. Potem pochwycić linę, którą pan mi pokazał tam w tyle...

— Ależ tak nie można — przerwał Tom Platt.

— Cicho! On dopiero się uczy i jeszcze nie zna wszystkich nazw. No, dalej, Harve!

— Aha, to się nazywa sztrop. Więc mam przyczepić takiel do sztropu, a potem spuścić...

— Zniżyć żagiel, chłopcze! Zniżyć! — krzyknął Tom Platt z prawdziwą zajadłością.

— Zniżyć tryski i halzy — ciągnął dalej Harvey, któremu te nazwy mocno utkwily w pamięci.

— Weź no się do nich — rzekł Długi Dżek.

Harvey spełnił rozkaz.

— Zniżyć, aż ta pętka... tam w tyle... nie, to kluczka... aż ta kluczka dojdzie do bumy... Wtedy mam podwiązać ją w sposób... podany mi przez pana... a potem znów podciągnąć gorycle i halzy.

— Ominąłeś ucho linki... ale mamy dość czasu i jeszcze czegoś się nauczysz z naszą pomocą. Każda lina na okręcie ma swoją funkcję, inaczej dawno bylibyśmy ją cisnęli w morze. Cóż, pójdiesz za mną? Przecież nabijam ci w kabzę dolary i centy, tumanie jeden... a gdy już swoje odrobisz, będziesz mógł jeździć od Bostonu do Kuby i wszędzie rozpowiadać, że Długi Dżek cię uczył!

Zaczął wymieniać kolejno nazwy różnych lin — a Harvey, już po trosze zmęczony, włókl się pomału kolejno to do tej, to do owej. Koniec powroza często gęsto łaskotał go po żebrach niemal zapierając mu dech w piersi.

— Gdy będziesz już panem własnego baty — mówił Tom Platt, spoglądając surowo — będziesz mógł chodzić, jak ci się podoba... ale teraz masz wszystkie rozkazy wykonywać biegiem. No, jeszcze raz... dla pewności!...

Całe to ćwiczenie ogarniało płomieniem duszę Harvey'a, a ostatni cios dołał oliwy do ognia. Wszak był on młodzieńcem zgoła do rzeczy, synem człowieka nadzwyczaj mądrego i nader wrażliwej kobiety, i miał usposobienie bystre i rezolutne, które wskutek ciągłego psucia przez otoczenie przemieniło się niemal w uporczywą zawziętość. Spojrzał na resztę ludzi i zobaczył, że nawet Dan się nie uśmiecha. Widocznie wszystko to, acz tak dotkliwe, wchodziło w zakres codziennych zajęć. Wobec tego — z westchnieniem i cierpkim uśmiechem — przelknąć musiał tę pigułkę. Ta sama bystrość, która dawała mu taką przewagę nad matką, przekonywała go aż nadto, że na całym statku nikt, oprócz jednego chyba Penna, nie zniósłby najmniejszego głupstwa. Można wiele się nauczyć z samego tylko tonu mowy. Długi Dżek wywołał jeszcze przeszło pół tuzina nazw najrozmaitszych lin, a Harvey skakał po pokładzie jak węgorz podczas przyprływu, wciąż spoglądając na Toma Platta.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! — uznał Manuel. — Po kolacji pokażę ci mały szoner zrobiony przeze mnie... ze wszystkimi linami. Taka nauka pójdzie nam gładko.

— Nieźle, nieźle... jak na pasażera — rzekł Dan. — Tato przyznał, że twarzo zetniesz się z morzem, zanim pozwolisz się utopić. Jak na ojca, to duża pochwała. Nauczę cię więcej na najbliższej naszej warcie.

— A teraz nauczę cię czegoś, na czym Długi Dżek się nie rozumie — huknął Tom Platt, wydobywając ze skrzyni na rufie ołowiankę głębinową, przewierconą na jednym z końców; dziurę tę wysmarował baranim łojem i ruszył naprzód.

— Nauczę cię, jak się w lot puszcza błękitnego gołąbka. Szu-u-u!

Disko wykonał sterem jakiś zwrot, który zatrzymał okręt w miejscu, a jednocześnie Manuel z pomocą Harvey'a (z czego chłopak wielce był dumny) opuścił kliwer, który upadł na rejkę. Ołowianka obracana przez Toma Platta w kółko, ruchem wirującym, buczała i grała jak organy.

— Wał naprzód — ozwał się Długi Dżek niecierpliwie. — Nie ciągniemy przecie we mgłę na dwadzieścia pięć stóp od Wyspy Ognistej. Przecie to znowu nie tak wielka sztuka.

— Nie bądźże zazdrosny, Galway!

Wypuszczona ołowianka chlupnęła gdzieś w morzu; szoner dążąc jej śladem, ruszył pomału naprzód.

— Sondowanie to *jednak* wielka sztuka — mówił Dan — gdy głębinowa ołowianka ma być przez cały tydzień jedynym okiem żeglarza. No, na ile obliczasz głębię, tato?

Twarz Dyska rozpozogodziła się. Całą swą zdolność i całą ambicję opierał na długości kursu, który go chłocem oddalił od reszty flotylli — a stary rybak zażywał rozgłosu jako mistrz nie lada, znający na wylot, choćby z zamkniętymi oczyma, wszystkie Rewy.

— Będz z jakie sześćdziesiąt... o ile potrafię jako tako sądzić — odpowiedział, rzucając okiem na kompas.

— Sześćdziesiąt — zawołał przeciągle Tom Platt, wciągając zwoje namokłej liny.

Szoner szarpnął się i ruszył w dalszą drogę.

— Rzucaj! — przemówił Disko po upływie kwadransa.

— Na ile oceniasz głębokość? — szepnął Dan i spojrzął z ciekawością na Harvey'a. Jednak Harvey był zbyt dumny z tego co robił, by słowa te mogły uczynić na nim wrażenie.

— Pięćdziesiąt! — ozwał się ojciec. — Wydaje mi się, że jesteśmy akurat poza wrębem Zielonej Rewy, na starej głębi 50–60.

— Pięćdziesiąt! — huknął Tom Platt ledwo widzialny we mgle. — Dostaliśmy się w pyszne miejsce... jest ich tu tyle, co muszli koło Fort Macon.

— Nakładaj przynętę, Harve — rzekł Dan, skoczywszy po linę na szpuli.

Szoner na pozór wałęsał się bezplanowo i na oślep wśród doki. Fokżagiel łomotał zawzięcie. Starszyzna wyczekująco przyglądała się chłopcom, którzy przystąpili do połowu.

— Heja! — linki Dana zachrobotyły na pokarbowanej i połupanej klamburcie. — Skądże, u pierona, tata tak dobrze wiedział? Chodź no tu, Harve, z pomocą. To jakaś wielka sztuka. I to jeszcze nadziana na hak!

Jęli ciągnąć razem i wywlekli krągłookiego, dwudziestofuntowego dorsza, któremu przynęta uwięzła aż w brzuchu.

— Ależ on cały jest pokryty małymi krabami — krzyknął Harvey, przewracając go na grzbiet.

— Disko, ty widocznie masz pod kilem drugą parę oczu — ozwał się Długi Dżek.

Z pluskiem spadła kotwica i wszyscy pozarzucali linki w morze, zajmąwszy wyznaczone sobie miejsca przy burcie.

— Czy to dobre do jedzenia? — sapnął Harvey, wyciągnąwszy również dorsza obwieszzonego krabami.

— A pewnie! Gdy są „zawszawione”, to znak, że szły tysięczną gromadą, a gdy biorą przynętę jak teraz, to muszą być głodne. Przynęta może być byle jaka... będą kąsały i sam hak.

— Patrzcie no, jaka wielka! — zawołał Harvey, wyciągnąwszy trzepocącą się rybę o szeroko rozdziawionej paszczy, prawie całkowicie „nadzianą na hak”, jak wyraził się Dan. — Czemu nie możemy zawsze łowić ryb wprost z okrętu, zamiast wypływać na połów łodziami?

— Możemy je łowić z okrętu, dopóki nie rozpocznie się patroszenie... potem to wyrzucanie łbów i wnętrzości płoszy nam ryby. W każdym razie połów z okrętu bywa uważany za niezbyt korzystny, chyba że się ktoś na nim zna tak jak tata. Zdaje się, że dzisiaj nocą opuścimy nasze łowisko. Ale prawda, że od takiego łowienia bardziej plecy bolą, niż tam na łódce?

Prawdę powiedziawszy, to od tej roboty nie tylko bolało, ale i łamało w plecach. Gdy połów odbywa się z łodzi, woda aż do ostatniej niemal chwili ujmuje ciężaru rybie, a zdobycz znajduje się niejako, tuż pod ręką; rzeczą natomiast niesłychanie żmudną jest wyciąganie zdobyczy po opławie szonera, wysokiej na stóp parę, a przeginanie się przez burtę wywołuje dotkliwie kurcze żołądka. Jednakowoż, póki trwały łowy, prowadzono je z całą zaciekłością i rozpędem, a gdy na koniec ryby przestały brać, już spora ich kupa leżała na pokładzie.

— Gdzie Penn i stryj Salters? — zapytał Harvey, otrzepując szlam ze swych buksów i zwijając linkę, przy czym dokładnie naśladował innych.

— Przynieś nam kawy i zobacz!

W żółtym blasku lampy stojącej na hołubce kotwicznej, za stołem czeladnym siedzieli obaj mężczyźni, zgoła niepomni pogody ni rybołówstwa; pomiędzy nimi stała szachownica, a stryj Salters warczał za każdym ruchem Penna.

— I cóż nowego? — rzekł pierwszy z nich, gdy Harvey, trzymając się jedną ręką za skórzane strzemiączko u szczytu drabinki, jął nawoływać kucharza.

— Wielkie ryby i „wszawe”... mnóstwo, mnóstwo! — odparł Harvey, przytaczając słowa Długiego Dżeka. — Jakże idzie gra?

Małemu Pennowi wyciągnęła się twarz.

— Penn nic nie winien — fuknął stryj Salters. — Przecie on jest głuchawy.

— I cóż tam? Warcaby? — zagadnął Dan, gdy Harvey chwiejnym krokiem podszedł na tył okrętu, niosąc dymiącą kawę w cynowym imbryku. — To nas uwalnia od

obowiązku sprzątanania dzisiaj w nocy. Tata jest człowiekiem sprawiedliwym. Tamci dwaj zajmą się sprzątananiem... za karę...

— A gdy tamci będą zajęci sprzątananiem, wtedy dwaj młodzi ludzie, dobrze mi obaj znani, nałożą jeszcze na wędę całą putnię przynęty — ozwał się Disko, pokręcając kołem sterowym.

— Um! Wolalbym sprzątać, tatulu!

— Juści, że tak! Ale nie będziecie tego robić! Brać się do poprawiania ryb!

— Czemuż to te przeklęte chłopaki nie powiedziały nam, że będziecie płatali rybę? — ozwał się stryj Salters, pomykając na swoje miejsce przy stole. — Ten nóż jest tępy jak guma, Danie.

— Harvey'u, nie zechciałbyś zejść na dół i przynieść przynętę?

— Dawać przynętę, jaka jest pod ręką — rzekł Disko. — Myślę, że gdy tak dalek pójdzie, to się lepiej wam opłaci łowienie „kosmate”.

Miało to oznaczać, że chłopcy mają zakładać na przynętę odpadki ryb pozostałe z paktroszenia — co było lepsze od grzebania gołymi rękami w małych baryłkach z przynętą na spodzie okrętu. Niecki były pełne pięknie zwiniętej liny, zaopatrzonej co parę stóp w wielki haczyk; sprawdzanie każdego haczyka z osobna i nabijanie nań przynęty było sztuką nie lada — zwłaszcza że cała lina winna mieć takie obciążenie, by wyrzucona z łodzi biegła bez żadnych przeszkód. Dan mógł tę pracę wykonywać choćby po ciemku, nie patrząc na nią wcale; natomiast Harvey zaczął sobie palce o zadziory i użalał się nad swym losem — na co jednakże nie było rady, bo haczyki przesuwają się Danowi przez palce jak robótka w rękach służącej.

— Pomagałem w nabijaniu przynęty jeszcze na lądzie, gdym jeszcze nie umiał dobrze chodzić. Bądź co bądź, jest to trudna robota!... Tato — krzyknął w stronę włazu, gdzie Disko i Tom Platt zajęci byli soleniem ryb. — Ileż to rekinów, wedle twej rachuby, będzie nam potrzeba?

— Ze trzy! Śpieszcie się!

— W każdej kadzi jest trzysta sążni tego interesu — wyjaśnił Dan — starczy nam roboty na całą noc. U-uch! Alem się capnął! — To rzekłszy wetknął palec do ust. — Mówię ci, Harvey'u, że za żadne pieniądze w całym Gloucester nie najalbym się do prawdziwego trolowania na żadnym okręcie... Może to się nazywa postępem, ale w każdym razie jest to najprzykrzejsze, najpaskudniejsze zatrudnienie na świecie.

— Nie wiem, jakie tam ono jest, ale jest to chyba prawdziwe trolowanie — rzekł Harvey posepnie. — Palce mam pokłute jak rzeszoto.

— Phii! To jeden z tych przeklętych pomysłów ojca. Ale on nigdy nie używa troli, jeżeli nie ma po temu ważnego powodu. Tatulo zna się na rzeczy... dlatego tak zakłada przynętę, jak właśnie teraz. Będziemy mieli okręt naładowany pełnusięńko, aż się będzie pochylał... albo też nie uświadczymy ani pletwy!

Penn i stryj Salters stosownie do zarządzenia Dyska zajęli się sprzątananiem, ale chłopcy mało na tym zyskali. Ledwo niecki zostały zaopatrzone, już Tom Platt i Długi Dżek, którzy z latarnią w ręku oglądali wnętrza czółna, porwali je wszystkie, załadowali wraz z kilkoma kolorowymi a niezbyt wielkimi bojami i spuścili łódź na morze, które Harvey'owi wydawało się nadzwyczaj burzliwe.

— Ależ oni utoną! Przecież łódź jest załadowana jak wagon towarowy! — zawołał.

— Wrócimy! — odrzekł Długi Dżek — a jeżeli nie będziecie na nas uważać i jeżeli trola się zaplącze, to na was obu się skrupi.

Łódź wspięła się na czub fali i właśnie gdy zdało się niepodobieństwem, by mogła uniknąć roztrzaskania o bok szonera, przemknęła się krawędzią i została pochłonięta przez wilgotną dokę.

— Uważaj i raz po raz dzwoń — ozwał się Dan, podając Harvey'owi sznur do dzwonu wiszącego tuż za wijadłem.

Harvey dzwonił ochoczo, czując, że ma w ręku życie dwóch ludzi. Disko, który siedząc w kapitance, coś tam gryzmołił w dzienniku okrętowym, nie wyglądał wcale na mordercę, ba nawet, idąc na wieczerzę, uśmiechnął się oschle do zahukanego Harvey'a.

— *Deń! Deń! Deń!* — kołatał Harvey przez dobre pół godziny, urozmaicając sobie od czasu do czasu ten pobrzęk silniejszym werblem. W pobliżu rozległ się głuchy stuk.

Manuel i Dan pobiegli cwałem ku hakom utrzymującym takiel łodzi. Długi Dżek i Tom Platt pojawili się jednocześnie na okręcie, dźwigając na plecach — tak się zdawało — bodajże pół Atlantyku, a łódź podążała za nimi w powietrzu, ładując z głośnym hałasem.

— Danny — rzekł Tom Platt ociekający wodą — jeszcze będą z ciebie ludzie!

— Miło nam będzie jeść w waszym towarzystwie — mówił Długi Dżek, wylewając wodę z butów, przy czym podskakiwał jak słoń i naoliwionym rękawem zawadzał o twarz Harvey'a. — Raczmy dziś zaszczyścić „drugą zmianę” naszą obecnością.

I we czwórkę potoczyli się na kolację; Harvey opchał się rybą faszerowaną i pierożkami, po czym zasnął co rychlej, właśnie w chwili, gdy Manuel wyciągnął ze skrzyni piękny, na dwie stopy długi, model swego batu zwanego *Lucy Holmes* i zamierzał metodą pogładową zaznajomić go z nazwami lin. Chłopak nawet palcem nie kiwnął, gdy Penn wepchnął go na pryczę.

— Musi to być przykro... bardzo przykro — ozwał się Penn, przyglądając się twarzy chłopaka — przykro musi być matce i ojcu, którzy myślą, że on nie żyje... Stracić dziecko... stracić chłopaka!...

— Dałbyś spokój, Penn — rzekł Dan. — Idź na tył okrętu i skończ partię szachów ze stryjem Saltersem. Powiedz tatkowi, że jeśli nie ma nic przeciwko temu, będę odbywał wachtę za Harvey'a... on się okrutnie zmachał!

— Bardzo dobry chłopak — rzekł Manuel, zzuwając buty i znikając w czarnych mrokach dolnej pryczy. — Czekaj no, będzie z niego człowiek, Danny. Wcale mi się nie widzi, żeby on miał być takim wariatem, za jakiego z początku uważał go twój tato... A co-o-o? He?

Dan zaczął się śmiać, ale śmiech przeszedł wkrótce w chrapanie.

Na dworze pogoda zapowiadała się nieszczerólnie. Wzmagał się wiatr. Starszyzna rozciągnęła warty. W kajucie zegar wyraźnie wybijał godziny; zadarta sztaba okrętu z pluskiem rozbijała toń morską; blaszany komin na galardzie syczał i przyskał obryzgiwany pianą. Chłopcy wciąż spali jak zabici, natomiast Disko, Długi Dżek, Tom Platt i stryj Salters jeden po drugim wstępowali z tupotem to na rufę, by dopilnować steru, to znów na przód okrętu, by sprawdzić, czy kotwica mocno się trzyma, lub nieco naprężyć kabel.

## ROZDZIAŁ IV

Gdy Harvey się obudził, zastał „pierwszą zmianę” już przy śniadaniu. Drzwi czeladni były zamknięte, a po całym okręcie rozbrzmiewały jakieś dziwne głosy — w każdym niemal kwadratowym calu inną przybierające nutę. Za maluchną kambuzą, rozświetloną jaśkrawym blaskiem ogniska, chwiała się i migotała czarna, przysadzista postać kucharza, a garnki i rondle umieszczone na podziurawionej półce kuchennej chrzęściły i podskakiwały za każdym pochyleniem się okrętu. Galarda raz po raz wspiwała się wzwyż, trzeszcząc, trzęsąc się i hucząc poszumem, po czym ruchem stanowczym, łukowatym osuwała się znów w morze. Słysząc było, jak sztaba okrętowa zamasyżycie, z wysoka przecinała kipiącą toń — i nastawała chwila dłuższej przerwy, po której rozdzielone wody zwierzały się znów z sobą, spadając na pokład statku niby gradem rozsyanego śrutu. Tuż potem szedł miękki, oślizgły szelest kabła przesuwającego się w kluzie, zgrzyt i skwierczenie windy kotwicznej — potem nagły wstrząs i silne, przykre szarpnięcie — *We're Here* znów zbierał się w sobie, by powtórzyć wszystkie opisane ruchy.

— Na lądzie — posłyszał Harvey głos Długiego Dżeka — jak ma się jaką robotę, to trzeba ją wykonać w każdą pogodę. Tutaj pozbyliśmy się gromady rybackiej i nie mamy nic do roboty... całe szczęście! Dobranoc!

Przechołał się niby wielki wąż od stołu na pryczę i począł ćmić fajkę. Tom Platt poszedł za jego przykładem; stryj Salters wraz z Pennem jał gramolić się po drabinie, żeby odbyć swoją wachtę, a kucharz nakrywał jedzenie dla „drugiej zmiany”.

„Druga zmiana” wypełzła z prycz, przeciągając się i poziewając, skoro tylko starsi ułożyli się na swe legowiska. Gdy już pożywiono się do syta, Manuel nabił fajkę jakimś ohydny tytoniem, rozparł się między słupem schodowym a jedną z prycz, położył nogi na stół i jał uśmiechać się tkliwie, głupawo do puszcanych kółek dymu, Dan ułożył się jak długi na swej pryczy i jał borykać się z pstrokatą harmonią o wyłaczanych klawiszach, której tony biegly to w górę, to w dół, zlewając się w jedną całość z przeróżnymi dźwięka-

mi napelniającymi okręt. Kucharz, oparłszy się plecami o kredens, gdzie przechowywał pierożki (Dan był ich szczególnym amatorem), obierał ziemniaki, zerkając w stronę pieca i bacząc, by przypadkiem zbyt wiele wody nie wdarło się do komina. Zapach i zaduch panujące w całym pomieszczeniu były wprost nieopisane.

Harvey zdziwił się, że się dotąd śmiertelnie nie rozchorował, w końcu wgramolił się znów na pryczę, poczytując ją za najbezpieczniejszy i najwygodniejszy dla siebie przytułek; tymczasem Dan, w miarę jak mu na to pozwalały dzikie podrygi okrętu, wygrywał skocznie:

Nie chcę się bawić na twym podwórku.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — zapytał Harvey Manuela.

— Aż się trochę uspokoi i będzie już można podплыnąć łódką ku troli. Może jeszcze dziś w nocy... może za dwa dni to się skończy. Tobie się to nie podoba? Co-o?

— Tydzień temu byłbym się wściekle rozchorował, ale teraz nie bardzo to mnie prze-  
raża.

— A to dlatego, że teraz już jesteś rybakiem. Na twoim miejscu, gdybym powrócił do Gloucester, dałbym na ołtarz ze dwie lub trzy grube świece za to, że mi się tak udało.

— Komuż bym miał je dać?

— A pewnie... że Świętej Paniency z naszego kościoła na Górcie. Ona zawsze jest łaskawa dla rybaków. Dlatego to tak mało nas, Portugalczyków, topi się w morzu. Co-o?

— Jesteś obrządku rzymskokatolickiego?

— Jestem rodem z Madery... nie z Porto Pico. Mamże więc być baptystą? Co-o? Ile razy przyjadę do Gloucester, zawsze daję dwie lub trzy świece. Łaskawa Panienska nigdy nie zapomina o mnie, Manuelu.

— Ja całkiem inaczej patrzę na te rzeczy — wtrącił Tom Platt ze swej pryczy, zapalając celem rozjarzenia fajki zapalną, która jaskrawym blaskiem oświeciła mu naznaczone bliźną oblicze. — Rozum sam mówi, że morze to morze... a można by się jeszcze spierać o to, co się bardziej przyda w tym wypadku, świece czy nafta.

— Jednakże — ozwał się Długi Dżek — dobrze to mieć przyjaciela w sądzie. Ja to myślę tak jak Manuel. Model starej brudnej *Kathleen*, który dłużyłem cały miesiąc, dałem księdzu, a on go powiesił nad ołtarzem. Lepiej dać model, który przecież wymaga jakiejś takiej sztuki, aniżeli jakąś tam świecę. Świec można kupować na funty, zaś model daje świadectwo, żeś zadał sobie trudu i że jesteś Bogu wdzięczny.

— Czy ty w to wierzysz, Irlandczyku? — zapytał Tom Platt, obracając się na łokciu.

— Czy bym tak zrobił, gdybym nie wierzył, mój Ohio?

— No tak! Enoch Fuller zrobił model starego *Ohio*... dziś znajduje się w muzeum salemskim. Bardzo piękny model... ale tak mi się widzi, że Enoch nie zrobił tego na ofiarę; co do mnie zaś...

Zanosilo się na całogodzinną rozprawę, w jakich lubują się rybacy — kiedy to gwar gawędy biegnie hałaśliwie wokoło i gdy — koniec końców — nikt z rozmawiających niczego nie potrafi dowieść... na szczęście Dan uderzył silniej w tony i zaczął wesołą śpiewkę:

Skoczyła makrela — a grzbiet miała w prądku;  
Hej, zwijajcie grotzagieli, ciągnąć liny, drążki! —  
Bo na morzu szaruga...

W tym miejscu do śpiewu przyłączył się Długi Dżek:

I wichura silna;  
Zwołać ludzi świstawką — sprawa bardzo pilna!

Dan ciągnął dalej, rzucając okiem ostrożnie na Toma Platta i trzymając harmonię nisko ponad pryczą:

Wyskoczył i sztokfisz — matoł wśród matołów,  
Podszedł do kabestanu — rzucać w morze ołów.  
Bo na morzu szaruga...

Tom Platt wyglądał w tej chwili, jak gdyby na coś polował. Dan przygiął się niżej, ale podniósł wyżej głos:

Wyskoczyła flądra z morskich głębin jądra  
Patrz, gdzie rzucasz sondę, bestio niemądra!

Potężna, cholewista skórcznia Toma Platta przeleciała furcząc poprzez czeladnię i ugodziła w podniesione ramię Dana. Pomiędzy Tomem a chłopcem toczyła się wiekuista wojna, odkąd Dan odkrył, że samo gwizdanie tej melodii podczas zarzucania sondy pobudzało starego marynarza do wściekłego gniewu.

— Doprawdy, jest o co się dąsać! — rzekł Dan, oddając mu pięknym za nadobne. — Jeżeli ci się nie podoba moja muzyka, to wyjmij swoje skrzypce. Nie mam ochoty wylegiwać się beczynnie przez cały dzień i słuchać, jak wy obaj z Długim Dżekiem swarzyć się o świecę czy o naftę. Zagraj nam co albo naucz Harvey'a jakiejś melodii.

Tom Platt pochylił się nad jedną ze skrzyń i wydobył stamtąd stare białe skrzypce. Manuelowi zabłyśły oczy — i za chwilę wyciągnął mały instrument o metalowych strunach, podobny do gitary a nazwany przezeń *machette*.

— To ci koncert! — ozwał się Długi Dżek, promieniejąc wśród kłębow dymu. — Zupełnie jak w Bostonie!

Przez uchyloną zapadnię chlusnęła kaskada rozbryzgów. Po schodach zszedł Disko ubrany w żółte buksy.

— W samą porę przychodzisz, Disko. Jak tam na dworze?

— A tak sobie! Nie najlepiej!

I, nie mogąc utrzymać się na nogach, przy pierwszym wstrząsie okrętu osunął się na skrzynię z zapasami.

— My tu sobie śpiewamy, ażeby jakoś wytrząść z siebie śniadanie. Ty poprowadzisz śpiew, Disko — rzekł Długi Dżek.

— Zdaje mi się, że znam tylko dwie stare śpiewki, a wyście słyszeli już obie!

Jego wykręty przerwał Tom Platt, wyrzuciwszy znienacka melodię wielce żałośliwą, podobną do jęków wichury i trzeszczenia masztów. Disko, utkwiwszy wzrok w belki pułapu, rozpoczął nucić starą śpiewkę; Tom Platt uwijał się ze swymi skrzypkami tuż koło niego, by choć z grubsza pogodzić słowa z melodią:

Jedzie od Nowego Jorku hen w szeroki świat  
Stary *Dreadnought* — hyrny statek — choć już stary grat!  
Chwalcie sobie *Czarną Kulę* i *Jaskółkę* śmigłą,  
Lecz *Dieadnoughta* pudło stare wnet by je prześcigło!

Teraz *Dreadnought* wypoczywa koło rzecznych ujść,  
By niebawem z holownikiem znów na morze pójść.  
Lecz na głębi, zobaczycie, jak będzie szybować...

Hej, to statek liverpoolski — Ty go, Boże, prowadź!  
Teraz *Dreadnought* hen się wlecze wzdłuż Fundlandzkich Łach,  
W wodzie ciągle tam snadzizny, na dnie — szczerzy piach...  
Małe rybki nadpływają, by mu się dziwować:  
Hej, to statek liverpoolski — Ty go, Boże, prowadź!

Było tych zwrotek na tuziny, gdyż śpiewak prowadził *Dreadnought*, mila za milą, od Liverpoolu do Nowego Jorku z taką świadomością rzeczy, jak gdyby znajdował się na pokładzie statku; dudniła mu do wtóru harmonia i zawodziły skrzypce. Z kolei Tom Platt coś tam nucił o „durnym, czupurnym M'Gine, który chciał być retmanem”. Potem

zawołano Harvey'a (któremu to bardzo pochlebilo), ażeby i on przyczynił się do ogólnej zabawy; jednakże jedyną rzeczą, jaką mógł sobie przypomnieć, było parę wyjątków z „Wyprawy szypra Iresona”, których go nauczono w szkole w Adirondacks. Zdawało mu się, że byłyby stosowne do czasu i okoliczności. Jednakże zaledwie wspomniał sam tytuł, Dysko tupnął głośno nogą i krzyknął:

— Daj spokój, młokosie! To bzdury i to najgorszego gatunku.

— Powiniennem być cię przestrzec — bąknął Dan. — To zawsze rozdrażnia ojca.

— I cóż to złego? — zapytał Harvey zdumiony i nieco rozgniewany.

— Wszystko, co chciałeś powiedzieć — odrzekł Dysko. — Wszystko od początku do końca jest wierutnym fałszem... a Whittier godzien jest potępienia. Nie moja to rzecz brać w obronę jakiegoś tam człowieka z Marblehead... w każdym razie to mogę powiedzieć, że na Iresonie nie ciąży żadna wina. Ojciec nieraz mi wyjaśniał wszystko, a ja wam to zaraz powtórzę.

— Już chyba setny raz! — szepnął Długi Dzek.

— Ben Ireson... był szyprem na okręcie *Betty*. Pewnego razu wracał z Ławic do domu... było to jeszcze przed wojną 1812 r., ale dopóki świat istnieje, sprawiedliwość zawsze powinna być sprawiedliwością... W drodze napotkał statek *Active*, gdzie szyprem był Gibbons z Portlandu. Statek ten rozharatał sobie bok koło blizy na Cape Cod i poczęła się do niego wlewać woda. Właśnie nadciągała okrutna nawałnica, więc biedni ludziska dobywali ostatnich sił, żeby dowlec *Betty* do domu... gnali jak opętani. No... i wtedy to Ireson zaczął namawiać załogę, żeby pozostała w bliskości koło *Active*, póki morze trochę się nie uciszy. Ale oni nie chcieli na to przystać, by przebywać w taką pogodę koło przylądka... Rozpięli sztakżagiel i popłynęli; oczywiście wzięli z sobą Iresona. Mieszkańcy Marblehead byli na niego źli, że nie zaryzykował... bo na drugi dzień, gdy morze już się uciszyło (o tym to nigdy nie przestali myśleć) kilku z załogi *Active* zostało wyciągniętych na ląd przez jakiegoś człowieka z Truro. Ci przyszli do Marblehead, bając, co im ślina na język przyniosła... jako że niby Ireson przyniósł hańbę swemu miastu... i tak dalej i dalej... Ludzie Iresona mieli pietra widząc, jako wszyscy są przeciwko nim, więc zaklinali się, że to on winien wszystkiemu. Kobiety go wprawdzie nie obsmarowały mazią i nie oblepiały pierzem (kobiety marbleheadzkie nie mają tego w zwyczaju), ale wyręczali je w tym chłopcy i mężczyźni; obwozili go dokoła miasta w starym czólnie, póki dno nie odpadło... Ireson zapowiedział, że kiedyś tego pożałują. Otóż później wyszło na jaw, jak było naprawdę, ale stało się to nazbyt późno, by z tego mógł mieć pociechę ten uczciwy człowiek... tymczasem znalazł się ten Whittier, powiązał jako tako całą tę kłamliwą opowieść i jeszcze raz oczernił Bena Iresona, który już był nieboszczykiem. Był to jedyny raz, że Whittier czymś się odznaczył... a i to niepięknie! Natarłem porządnie uszu Danowi, gdy mi przyniósł ze szkoły tę śpiewkę. Ty, ma się rozumieć, niewiele wiesz o tej sprawie; ale opowiedziałem ci szczerą prawdę, którą odtąd winienes na całe życie wryć sobie w pamięć. Ben Ireson nie był takim człowiekiem, za jakiego podaje go Whittier; mój ojciec znał go dobrze i przed tym, i po tym zdarzeniu... a ty, mój smyku, strzeż się sądów nazbyt pochopnych. Dalej, następny!

Harvey nigdy nie słyszał z ust Dyska tak długiej przemowy, więc opadł na legowisko, oblewając się gorącym rumieńcem. W każdym razie prawdą było, co skwapliwie zaznaczył Dan, że chłopak mógł wiedzieć tylko tyle, ile go nauczono w szkole... zresztą żyjemy nazbyt krótko, by móc zbadać prawdziwość wszystkich podań i plotek krążących po morskim wybrzeżu.

Potem Manuel dobył jakichś dziwnych dźwięków ze smętnie brzmiącej *machetty* i zaśpiewał piosnkę portugalską, w której powtarzała się zwrotka o *Nina innocente!*; pieśń zakończyła się wysokim trelem, przy silnym akompaniamentem wszystkich strun. Potem znów wystąpił Dysko z drugą śpiewką o staroświeckiej, zgrzytliwej nucie, a wszyscy przyłączyli się do chóru.

Harvey omal się nie rozplakał, słuchając pieśni. Sam nie wiedział, skąd mu się wzięło to rozrzewnienie. Jeszcze gorzej poszło, gdy kucharz porzucił skrobanie kartofli i ujął skrzypce. Opierając się plecami o drzwi kredensu, rozpoczął grać dziwną melodię. Wyczuć w niej można grozę jakiegoś nieszczęścia, jakiejś wielkiej niedoli, która spotkać nas musi niechybnie, na przekór wszelkim naszym staraniom. Po chwili zaczął śpiewać w jakimś nieznanym języku, przyciskając ogromny podbródek do siodełka skrzypiec i błyskając



w świetle lampy białkami oczu. Harvey uniósł się z pryczy, by lepiej słyszeć. Pośród trzeszczenia wręg i tarcic, pośród plusku wodnych wałów pieśń huczała i zawodziła jak nawietrzna dunuga<sup>23</sup> w nieprzebitej mgle... aż wreszcie zamknęła się przeciągłym, żalonym tonem.

— Na miły Bóg! Aż mnie ciarki przechodzą! — ozwał się Dan. — Cóż to jest, u pioruna?

— Pieśń o Finie M'Coula — odparł kucharz — jak odjeżdżał do Norwegii.

Murzyn mówił angielszczyzną dość poprawną, ale jakąś chrapliwą; miało się wrażenie, jakby głos wychodził ze starego gramofonu.

— Prawdę mówiąc, to i ja bywałem w Norwegii. Musi to być chyba jakaś starodawna pieśń — rzekł Długi Dżek, wzdychając.

— Zaraz tu będziecie mieć drugą — podchwycił Dan i jął wybijać na harmonii hałaśliwą, łatwo w ucho wpadającą śpiewkę.

— Przestań! — wrzasnął Tom Platt. — Czy chcesz nam, Dan, popsuć całą wyprawę? Toć pewny *Jonasz*... chyba że to zaśpiewasz wtedy, gdy już zasolimy wszystko, co potrzeba...

— Nie, to nie *Jonasz*! Czyżby tak było, tato? Nie, chyba że się dośpiewa do samego końca... Już ty *mnie* nie będziesz uczył, co to *Jonasz*!

— Cóż to znaczy? — zapytał Harvey. — Cóż to za *Jonasz*?

— *Jonaszem* jest wszystko, co przynosi nieszczęście. Czasem jest to dorosły człowiek... czasem chłopak... czasem wiadro — wyjaśniał Tom Platt. — Są najrozmaitsze *Jonasze*. Jednym z nich był Jim Bourke... póki nie utonął w Georges. Nie żeglowałbym nigdy z Jimem Bourke, nawet choćby mi przyszło przymierać głodem! Na *Ezra Flood* było zielone czółno, co też było *Jonaszem* i to najgorszego gatunku; utopiło czterech ludzi, a nocami świeciło siarczyście.

— To pan w to wierzy? — zapytał Harvey, przypomniawszy sobie, co Tom Platt mówił niedawno o świecach i modelach. — Czyż wszystko, co się nam przytrafia, nie jest przypadkiem?

Szmer sprzeciwu przebiegł wokół po pryczach.

— Gdzie indziej tak bywa, ale nie na okręcie... różnie się dzieje — odparł Disko. — Nie drwij sobie z *Jonaszów*, młokosie!

— No, ale Harvey nie jest *Jonaszem* — wtrącił Dan. — Dzień po tym, jakeśmy go wyłowili, mieliśmy doskonały połów.

Kucharz podniósł głowę i zaśmiał się nagle — dziwnym, przenikliwym śmiechem.

— Rety! — krzyknął Długi Dżek. — Nie rób tego drugi raz, doktorze. Nie jesteście do tego przyzwyczajeni.

— I cóżem powiedział złego? — zachnął się Dan. — Czyż on nie przyniósł nam szczęścia? I czy oni nie mieli dobrego połowu, jakeśmy go uratowali?

— Tak! — odpowiedział kucharz — wiem o tym, ale połów jeszcze się nie skończył!

— On nie ma zamiaru nam szkodzić — zaperzył się Dan. — Czego się go czepiasz? Jest nieszkodliwy i w porządku.

— Szkodzić nie będzie... nie! Ale kiedyś będzie twoim panem, Danny!

— To wszystko? — odrzekł Dan spokojnie. — On mi na to nie wygląda... wcale a wcale!

— To pan! — rzekł kucharz, wskazując na Harvey'a. — A to sługa! — dodał, wskazując na Dana.

— To ci nowina! A kiedyż to będzie? — zapytał, śmiejąc się, Dan.

— Za lat parę... jeszcze tego dożyję... Pan i sługa... sługa i pan!...

— Skąd ci to przyszło, u pioruna? — spytał Tom Platt.

— A z głowy... tak jakbym to wszystko widział.

— Jak? — zapytali naraz wszyscy obecni.

— Nie wiem, ale tak będzie.

Opuścił głowę i wziął się znów do skrobania ziemniaków. Nie można już było z niego wyciągnąć ni słówka.

<sup>23</sup>*dunuga* — spora fala morska, szczególnie przy brzegu. [przypis edytorski]

— No, no! — ozwał się Dan — jeszcze sporo się zdarzy, zanim Harvey będzie moim panem. Ale wydaje mi się, że w całej maszoperii najgorszym Jonaszem jest stryj Salters, jeśli chodzi o jego własne szczęście... żeby tylko to szczęście nie rozszerzało się jak ospa! On powinien być na *Carrie Pitman*; ten bat jest chyba sam dla siebie Jonaszem... i jego załoga ...wszystko do niczego! Jak Boga kocham! Jeszcze się kiedy rozbiją podczas ciszy morskiej!

— W każdym razie oddaliliśmy się od flotyli — zauważył Disko — nade wszystko zaś od *Carrie Pitman*.

Na pokładzie rozległo się stukanie.

— Stryjowi Saltersowi coś się udało! — odezwał się Dan po odejściu ojca.

— Przejrzało się! — krzyknął Disko.

Wszyscy jęli na wyścigi gramolić się w górę, chcąc lyknać choć odrobinę świeżego powietrza. Mgła rozproszyła się, ale morze było jeszcze posepne. *We're Here* dostał się jakby w długie, zapadnięte ulice i fosy, które wyglądałyby bezpiecznie i przytulnie, gdyby tylko chciały ustać spokojnie w jednym miejscu; one jednak zmieniały się bez wytchnienia i bez litości, raz po raz wyrzucając szoner na wierzchołek jednego z tysiąca szarych wzgórków, jednocześnie zaś wiatr, wijąc się wężykiem po stokach, huczał i wyl wśród olinowania. Gdzieś tam w oddali wzbijał się w górę co pewien czas pęk białej piany, a tuż za nią, jakby na dany znak, biegły inne. Cztery czy pięć „ptaszat matki Carey<sup>24</sup>” kołowało zawzięcie, wrzeszcząc wniebogłosy, ilekroć mijały sztabę okrętu.

— Zdaje mi się, że tam coś migoce — rzekł stryj Salters, wskazując w stronę północno-wschodnią.

— Chyba to nie ktoś z gromady maszopskiej — zauważył Disko, bacznie wytyżając źrenice spod zmarszczonych brwi. — Morze wygląda się. Danny, nie miałbyś ochoty wejść na maszt i zobaczyć, jak tam się trzyma nasz pław?

Danny, mimo że miał na nogach olbrzymie buciska, wszedł raczej, niż wdrapał się, po masztowiznie (zazdrość żarła serce Harvey'a), uczepił się zawrotnego szłagu i wodził wzrokiem, póki nie dostrzegł małego czarnego stojaka kołyszącego się na grzbiecie skłębionej fali, o jakąś milę opodal.

— Jest na swoim miejscu — oznajmił. — Hej, żagiel! Od północnej strony... wali, jak w dym, ku nam! I to jeszcze szoner!

Czekali pół godziny. Niebo miejscami się rozjaśniało mdlawym blaskiem słonecznym, który cętkami oliwkowozielonymi ostrzył wodę. Nagle nad fale wychynął krótki, krępy fokmaszt, dał znów nurka i zniknął — za chwilę, z następną falą, ukazała się poza nim wysoka rufa z drewnianymi, ślimakowato wygiętymi, starego typu krzywiami. Żagle były wyrudziałe od słońca.

— Francuz! — wrzasnął Dan. — Nie, chyba nie! Ta-a-to!

— To nie Francuz — rzekł Disko. — Salters, twoje kiepskie szczęście silniej się trzyma niż czop w becze!

— Mam przecie oczy gdzie potrzeza<sup>25</sup>. To stryj Abizaj.

— Chyba nie możesz jeszcze powiedzieć na pewno!

— To herszt i ojciec wszystkich Jonaszów — labiedził Tom Platt. — Oj, Salters, Salters, czemuż nie spał dzisiaj twardym snem!

Okręt, który się ukazał, miał zbutwiałe liny, zszargane i byle jak powiązane. Nie lepiej przedstawiały się jego belki, reje i maszty. Kwatera o mocno staroświeckim wyglądzie wysoka była na jakie cztery do pięciu stóp, a olinowanie powiewało luźno w powietrzu — powikłane i poplątane w węzły jak morskie trawy. Dryfował z wiatrem okrutnie; sztakżagiel opuszczono w dół, by stanowił coś w rodzaju zapasowego fok (nazywa się to „zgaszeniem”), a fokbum sterczał w bok. Bukszpryt był mocno zadarty w górę jak na staroświeckiej fregacie; bukszpir już tyle razy sztukowany, że dalsza jego naprawa była już wprost niepodobieństwem. To wspinając się wzwyż, jakby na palcach, to przysiadając na szerokim poślądku, cała ta nawa wyglądała wobec *We're Here* niby stare, złe babsko — paskudne i niechlujne — spoglądające ze złością i zazdrością na przystojną dziewczynę.

<sup>24</sup>ptaszęta matki Carey — Gatunek albatrosa. [przypis redakcyjny]

<sup>25</sup>potrzeza (gw.) — potrzeba. [przypis edytorski]

— To Abizaj — ozwał się Salters. — U niego zawsze pełno gorzałki, a ludziska prosto z *kryminahu*... Wyroki Opatrzności ciąży już nad nim... i niedobrze się dzieje. Naciąga tu, żeby zapuścić wędę z przynętą...

— On jeszcze zatopi swój statek — rzekł Długi Dżek. — Te liny nie wytrzymają w taką pogodę.

— Coś mi się widzi, jakby to on chciał nas zatopić. Czy nie uważasz, że jego statek zbyt szybko zanurza się w części przedniej — odparł Disko.

— Jeżeli ten drab ma taki sposób ładowania, to statek niezbyt jest bezpieczny — odrzekł Tom Platt. — Skoro już im się belki porozłaziły w okręcie i targał powypadał ze szczelin, to powinni co rychlej wziąć się do pomp.

Stara łajba Abizaja podbiła się w górę, z trzaskiem i pochrzęstem obróciła się wokół i stanęła frontem do wiatru — w odległości, skąd już można było posłyszeć ludzki głos.

Jakaś szpakowata broda zachwiała się nad burzą, a czyjś chrapliwy głos zakrzyknął coś, czego Harvey nie zdołał zrozumieć. Lecz Disko sposepniał.

— Doprawdy on gotów narażać wszystkie swoje graty, żeby tylko przynieść złowrogą wieść. Powiada, że czeka nas tu zawierucha. Jego czeka coś gorszego. Abizaj! Abi-zaj!

Wołając tak, to podnosił ramię, to opuszczał i wskazywał na przód statku. Załoga zaczęła drwić z niego i śmiać się.

— Śpieszcie się! Odcumować okręt i w drogę! — wrzeszczał stryj Abizaj. — Wściekła wichura... wściekła wichura! A ino! Wybieracie się w ostatnią podróż, głosterskie sztokfisz! Ej, nie zobaczycie już Gloucesteru... nigdy! nigdy!

— Nieprzytomny jak bela... u niego to normalne — ozwał się Tom Platt. — Wołałbym jednak, żeby nas tu nie wyszedził.

Statek oddalił się na odległość, skąd już nie było słyhać ludzkich głosów... jeszcze tylko ten siwy krzyczał coś o tańcu w Byczej Zatoce i o umrzyku na galardzie. Harvey poczuł dreszcz; przeraził go widok brudnych, porozbijanych pomostów i dziko wyglądającej załogi.

— Ależ ten okręt to istne piekło!... Oj, mają oni na sumieniu wiele grzeszków — mówił Długi Dżek. — Ciekaw jestem, co wyprawiali przedtem na lądzie!

— To troler — wyjaśnił Dan Harvey'owi — Uwija się wzdłuż wybrzeży i odbywa połów. Przebywa stale koło brzegów północnych i wschodnich... o tam! — i wskazał w stronę płaskowyżu nowofundlandzkiego. — Tato nigdy nie chce mnie tam wziąć na strąd. To zbieranina opryszków! Abizaj jest najgorszy! Czy przyjrzałeś się ich statkowi? Powiadają, że ma już bez mała siedemdziesiąt lat... ostatni ze starych gruchotów marbleheadzkich... Oni już nigdy nie uprzątą sobie kwater. Ale Abizaj nie bywa w Marblehead... wcale tam za nim nie tęsknią. Pływa bez przerwy, trolując i złorzecząc ludziom, jak słyszałeś przed chwilą. Od wielu, wielu lat, zawsze jest Jonaszem. Rzuca czary, sprzedaje wiatry i tym podobny towar.

— Dziś w nocy nie warto wyciągać troli — mówił Tom Platt z głuchą rozpaczą. — On tu przyłazł po to, żeby nas przekląć. Oddałbym cały mój part i całą płacę, ażeby go zobaczyć za śladem starego *Ohio*, zanim uporamy się z połowem.

Nagle rozległ się krzyk kucharza:

— Otóż i ściągnął na siebie śmierć tym gadaniem! On już stracony... stracony! Mówię wam! Patrzcie tylko.

Statek Abizaja wjechał w pręgę światła słonecznego odbijającego się na wodzie, w odległości trzech do czterech mil. Pręga właśnie ciemniała i przygasała, a jednocześnie ze znikaniem blasku znikał i okręt... Wreszcie zapadł w głębie i już go nie było widać.

— Zatonął koło cypla Wielkiego Haku! — wrzasnął Disko wybiegając na rufę. — Czy trzeźwych czy pijanych, powinniśmy ich ratować! Podnosić kotwicę i śpieszyć im z pomocą! Co żywo!

W chwilę potem, gdy rozpięto kliwer i fokżagiel, nagły wstrząs przewrócił Harvey'a na deski pokładu; oto bowiem zwinięto pośpiesznie kabel i dla oszczędzenia czasu wyszarpięto kotwicę niejako żywcem z dna morskiego, wciągając ją na pokład już podczas biegu okrętu. Sposób taki rzadko bywa stosowany — jedynie gdy chodzi o śmierć i życie — a mały *We're Here* współczuł całą duszą każdemu ludzkiemu nieszczęściu. Pędem

dopłynęli na miejsce, gdzie przed chwilą zniknął statek Abizaja; znaleziono parę niecek z wędami, pustą butelkę, dziurawe czółno i nic więcej.

— Zostawcie to wszystko — rzekł Disko, mimo że nikt nawet nie zdradzał ochoty, by wyciągać z wody te przedmioty. — Nie chcę mieć ani jednej rzeczy, która należała do Abizaja. Zdaje się, że okręt poszedł wprost na dno. Pewno już od tygodnia przeciekał i woda się lała wszystkimi szparami, a nikt nie pomyślał o tym, by ją wypompować. Nie pierwszy to okręt, który zginął z powodu niedbalstwa załogi.

— Chwała Bogu! — rzekł Długi Dżek. — Gdyby znajdowali się na powierzchni wody, musielibyśmy im pomagać.

— To samo i ja myślałem — odezwał się Tom Platt.

— Stracony! Stracony! — mówił kucharz wodząc wkoło oczyma. — I zabrał z sobą swoje szczęście!

— Myślę, że byłoby dobrze powiedzieć o tym maszoperiom, gdy je spotkamy. Co-o? — rzekł Manuel. — Jeżeli wiatr was kiedy pogna tym torem, a w okręcie zaczną się rozluźniać spojenia...

I niedającym się opisać gestem rozpostarł szeroko ramiona; jednocześnie Penn przysiadł na daszku galardy i jął szlochać. Harvey nie zdawał sobie sprawy z tego, że oto widział śmierć na przestworze wód. W każdym razie czuł się nieswojo.

Dan wdrapał się na szłag, a Disko jął sterować w kierunku powrotnym — aż na koniec, gdy już mgła ponownie spowiła powierzchnię morza, przybyli w miejsce, skąd było widać ich rybackie pławy.

Po południu morze było na tyle spokojne, że można było łowić wprost z pokładu. Penn i stryj Salters okazali tym razem niezwykłą gorliwość — połów był obfity i ryby okazałe.

— Abizaj na pewno utopił razem ze sobą swojego straszaka — odezwał się Salters. — Wiatr ani się nie odwrócił, ani nie wzmógł, ani też nijak nie odmienił. A co tam z wędą? W każdym razie ja nie zważam na przesady.

Tom Platt nastawał na to, że o wiele lepiej byłoby wyciągnąć trolę i wynaleźć nowe łowisko. Ale kucharz oświadczył:

— Szczęście z dwóch części się składa. Przekonacie się, gdy spróbujecie. Ja to wiem.

Słowa te tak polechtały Długiego Dżeka, że ostatecznie udało mu się przekabacić Toma Platta i wyruszyli we dwójkę na morze.

Przez „zatapianie” wędy rozumieć należy wyciąganie jej po jednej stronie łodzi, odziewanie ryb, powtórne zaopatrywanie haków w przynętę i kolejne przesuwanie ich z powrotem w morze — coś jakby jednoczesne zdejmowanie jednej sztuki bielizny i wieszanie drugiej na sznurze. Jest to czynność nużąca i dość niebezpieczna, gdyż długa, ostrzami najeżona lina może błyskawicznie wciągnąć łódź pod wodę. Ale gdy posłyszano słowa pieśni, huczące spośród mgły, natychmiast załoga *We're Here* nabrała otuchy. Czółno, suto załadowane, podплыnęło blisko, kręcąc się; Tom Platt krzyknął na Manuela, ażeby z drugą łódką pośpieszył im na pomoc.

— Szczęście dzieli się równiūsko na dwie części — ozwał się Długi Dżek, rzucając ryby widełkami na pokład.

Harvey podziwiał zręczność, z jaką ratowano od niechybnej zagłady łódź co chwila zanurzającą się w falach. — W pierwszej z nich były same *dynie*. Tom Platt chciał wyciągnąć całą trolę i na tym poprzestać, ale gdy wyciągnęliśmy drugą połówkę, lina cała nadziana była samymi wielgaśnymi rybami.

— Śpiesz się, Manuelu, i dawaj tu przynętę. Dziś szczęście nam sprzyja!

Ryby wciąż brały na haki świeżo zaopatrzone w przynętę, z których dopiero co zdjęto ich rodzeństwo. Tom Platt i Długi Dżek przesuwali regularnie trolę przez całą jej długość od jednego końca do drugiego, aż dziób łodzi chwał się pod ciężarem liny. Oddzielali strzykwę, zwane przez nich *dyniami*, zdejmowali złowione ryby, tłukąc nimi o dolban, nakładali nową przynętę i ładowali zdobycz na łódź Manuela. Trwało to aż do zmierzchu.

— Nie chcę ryzykować — odezwał się Disko — skoro on tu pływa wokoło... tak blisko... Abizaj nie zatonie przez cały tydzień! Wciągnijcie łodzie, a po kolacji będziemy patroszyć ryby.

Było to wspaniałe patroszenie. Przyglądały mu się aż trzy czy cztery tryskające wodą kaszaloty. Cała robota przeciągnęła się do godziny dziewiątej, a przez ten czas trzykrotnie dał się słyszeć głośny śmiech Dana uradowanego gorliwością i zwinnością, z jaką Harvey pakował rozplatanę ryby do magazynu.

— No, no! Bierzesz się do roboty w mig, jak stary! — mówił Dan, gdy po odejściu starszych wzięli się do ostrzenia noży na toczydle.

Harvey roześmiał się głośno:

— Dalibóg, wydaje mi się, jak gdyby statek był żywy! — zauważył.

— Hej, jest silny i pewny jak dom, a suchy jak śledź! — rzekł Dan z zapalem, w sam raz, gdy ulewa rozbryzgów popchnęła go na drugą stronę pokładu. — Odbija i odbija te przelewy i mówi do nich: „Nie podchodźcie do mnie za blisko!”. Przyjrzyj no mu się, przyjrzyj! A gdyby ci teraz tak przyszło spotkać się z którąś z *wykałaczek*, zobaczyłbyś, jakby tam czym prędzej podnoszono kotwicę na piętnastosążniowej wodzie.

— Cóż to za wykałaczkę, Dan?

— Tak nazywamy nowe baty używane do połowu dorszów i śledzi. Słyszałem, że sam Burgess robił dla nich parę modeli. Tato psioczy na nie, że tak chybocą się i trzęsą, ale i kosztują ładny kawał grosza. Tato zna się na wyszukiwaniu łowiska, ale nie jest postępowy... nie idzie z duchem czasu. Na tamtych statkach pełno jest bloków, wiader ułatwiających robotę. Czy widziałeś kiedy *Electora z Gloucester*? Ładna łódź, choć i to też wykałaczką.

— Ile taki statek kosztuje, Dan?

— Całą furę dolarów. Może piętnaście tysięcy... może i więcej. Ma wyzłacane brzegi i czego tylko dusza zapagnie...

Potem dodał półgłosem, sam do siebie:

— Nazwałbym ją chyba „*Hattie S.*”.

## ROZDZIAŁ V

Była to pierwsza z wielu rozmów, w których Dan zwierzał się Harvey'owi, dlaczego przedniósłby nazwę swej łódki na wymarzony statek rybacki wymyślony przez Burgessa. Harvey usłyszał wiele szczegółów dotyczących prawdziwej Hattie, która mieszkała w Gloucester; widział jeden z jej loków — który Dan „zahaczył” zesłej zimy, gdy ona siedziała przed nim w ławie szkolnej — oraz jej fotografię. Hattie miała około czternastu lat, a w duszy niezmierną wzdargę dla chłopców... to ona przez całą zimę niemiłosiernie deptała serce Dana. Wszystko to — pod kłutwą ścisłej tajemnicy — zostało wyjawione bądź na oświetlonych księżycem pokładach, bądź w trupiej ciemności nocnej, bądź w dusznej mgłę; chłopcy mieli wówczas za sobą trzeszczące koło sterowe, przed sobą — piętrzący się pokład, a nieopodal — rozbudzone, zgiełkliwe morze. Co prawda, razu pewnego, gdy chłopcy spoufalili się z sobą, wywiązała się między nimi bójka, która toczyła się na całej przestrzeni od sztaby do rufy, póki nie nadszedł Penn i nie rozłączył zapaśników. — Jednakże obiecał, że nie powie o tym Diskowi, który bójkę na wachcie uważał za rzecz gorszą niż spanie. Harvey siłą fizyczną nie mógł sprostać Danowi, ale dobrze to świadczyło o jego świeżo zdobytym harcie, że poniósłszy porażkę, nie próbował nawet pokątnych konszachtów ze zwycięzcą.

Było to w czasie, gdy dał się wykurować z wrzodziańek, których cały rząd utworzył mu się pomiędzy łokciami i przegubami ręki, gdzie mokry spencerek i skórzana kurta najbardziej wrzynały się w ciało. Słona woda, dostając się do nich, wywoływała przykre swędzenie, ale gdy już napęczniały, Dan poprzecinał je brzytwą Diska i zapewnił Harvey'a, iż odtąd może się uważać za „okrwawionego Rewaka” — jako że odparzenia są cechą kasty, do której został zaliczony.

Odkąd Harvey został chłopcem okrętowym i miał wiele zajęć, nie zwracał sobie głowy zbytecznym rozmyśleniem. Niezmiernie było mu żal matki; często tęsknił za nią, nade wszystko zaś, chciałby jej opowiedzieć o tym dziwnym trybie swego nowego życia, do którego tak wybornie potrafił się dostosować. Poza tym wolał nie zastanawiać się nad tym, jak matka znosiła cios zadany jej przez rzekomą śmierć syna. Pewnego dnia, gdy stał na schodach galardy, wyśmiewając się z kucharza, który obwiniał jego i Dana o zniknięcie

pierozków, przyszło mu na myśl, że bądź co bądź lepiej mu się tu dzieje niż w palarni pasażerskiego liniowca.

Obecnie — na *We're Here* — był osobistością szanowaną i mającą wpływ na bieg zdarzeń. Miał miejsce za stołem i na pryczy — i mógł też zapewnić je sobie w długich gawędach w burzliwe dni, gdy reszta towarzystwa zawsze gotowa była słuchać „czarodziejskich” (jak je nazywano) baśni o jego życiu na lądzie. W krótkim czasie zdał już sobie sprawę, że gdyby zaczął opowiadać o sobie samym (o, jakże odległe, dawno minione wydawały mu się teraz te czasy!), nie uwierzyłby mu nikt oprócz Dana. Wobec tego wolał opowiadać o pewnym, wymyślonym przez siebie, przyjacielu — był to więc chłopak, niby to mu znany ze słyszenia — który w Toledo (stan Ohio) jeździł w maluchnym powoziku zaprzężonym w cztery kuce, dysponował pięcioma garniturami i zapraszał tak zwanych kuzynów na zebrania towarzyskie, gdzie najstarsza panna nie miała więcej nad lat piętnaście... za to prezenty były ze szczerego srebra. Salters z niesmakiem stwierdzał, iż tego rodzaju opowieści są szalenie zdrożne, jeżeli nie bluźniercze; jednakowoż i on przysłuchiwał się im równie chciwie jak reszta towarzyszy. Bądź co bądź pod wrażeniem krytycznych uwag słuchaczy zaczął się ostatecznie w Harvey'u wyrabiać nowy pogląd na „kuzynów”, ubrania, papierosy o złożonych ustnikach, pierścionki, zegarki, pachnidła, przyjęcia towarzyskie, wina szampańskie, karty i wygodny hotelowe. Z czasem zmieniał już mu się ton głosu, gdy mówił o swym „przyjacielu”, którego Długi Dżek kiedyś ochrzcił „zwariowanym smarkaczem”, „wyzłaczanym brzdącem”, „lalusiem, co ma mleko pod nosem”, pominawszy już inne pieszczotliwe przydomki. Zadarłszy na stół obie nogi obute w ciężkie skórznie, wymyślał niestworzone historie o jedwabnych piżamach i specjalnie sprowadzanych szalikach, ażeby do szczętu pognać „przyjaciela”. Harvey nader łatwo dostosowywał się do swego otoczenia, umiając bystrym okiem i uchem uchwycić każdy wyraz twarzy i każdy ton głosu obecnych.

Już wcześniej odnalazł miejsce pod siennikiem na pryczy, gdzie Disko trzymał stary, zaśniedział kwadrant, który tu przezwano „świńskim jarzmem”. Ilekroć stary rybak wymierzał położenie słońca i odszukiwał szerokość geograficzną, Harvey zeskakiwał do kabiny, by na zardzewiałej rurze komina wypisać gwoździem obliczenia i datę. Doprawdy, sam nawet główny inżynier na pokładzie liniowca nie potrafiłby tu zrobić nic więcej; żaden też inżynier z trzydziestoletnią praktyką nie potrafiłby ani w połowie naśladować tej miny morskiego bywalca, z jaką Harvey (nie zapomniawszy nigdy splunąć wpierw za burte) ogłaszał wszem i wobec, gdzie w danym dniu znajduje się szoner — po czym (ale nigdy wcześniej) odbierał kwadrant z rąk Diska. We wszystkich tego rodzaju sprawach obowiązuje pewien rytuał.

Wspomniane „świńskie jarzmo”, mapa, *Retman Pobrzeżny* Blunta i *Żeglarz* Bowditcha — były to wszystkie przyrządy stanowiące dla Diska drogowskaz podróży, oprócz ołowianki głębinowej, która była dodatkowym przewodnikiem. Harvey o mało nie zabił nią Penna, pobierając od Toma Platta początkową naukę „wypuszczania siwego gołąbka”. Jakkolwiek nie posiadał siły dostatecznej do ustawicznego sondowania głębi przy każdej pogodzie, jednakże, gdy morze było spokojne, Disko zatrudniał go bez skrupułów do zapuszczania siedmioletniej ołowianki na płycznach.

— Nie takiego to sondowania potrzeba ojcu. To tylko dla wprawy. A namaść ją dobrze, Harve.

Harvey smarował łojem wglębie na jej końcu, a wszystko co wyłowił — piasek, muszle, namuł czy co innego — przynosił skrupulatnie Diskowi, który brał to w palce, wachał i oceniał. Ilekroć (jak już wspomniano) Disko myślał o dorszach, myślał tak, jakby sam był dorszem — dzięki jakiemś wypróbowanemu skojarzeniu instynktu i doświadczenia przerzucał swój statek z łowiska na łowisko, zawsze współ z rybą, jak ociemniały szachista przesuwają figury na niewidzianej szachownicy.

Lecz dla Diska szachownicą była Wielka Rewa — trójkąt o bokach mających po dwieście pięćdziesiąt mil długości — pustkowie sieczone nawałnicami, nawiedzane złowrogą krą lodową, poryte śladami liniowców i nakrapiane żaglami rybackich maszoperii.

Po całych dniach pracowali we mgle; Harvey stale pełnił służbę koło dzwonu — aż na koniec, oswoiwszy się już z przeciwnościami aury, wybrał się pewnego razu w towarzystwie Toma Platta, z niemalym lękiem w sercu, na pełne morze. Ponieważ jednak mgła ani rusz nie chciała się podnieść, a ryby chwyciły przynętę, przeto niepodobieństwem

było trwać w bezradnym lęku przez sześć godzin; toteż Harvey gorliwie zajął się linkami i ościeniem, czyli słuzownikiem, jak go zwał Tom Platt. Po sześciu godzinach ruszyli z powrotem ku szonerowi, kierując się dźwiękami dzwonu oraz instynktem Toma; niedaleko od nich głosem cichym i słabym pobrzmiwała trąbka Manuela. Była to wszakże próba niemal nad siły ludzkie, toteż w nocy po raz pierwszy w tym miesiącu śniły się Harvey'owi dymiące spiętrzenia wód dokoła łodzi, liny, które zapadały gdzieś w nicość, i to wiszące nad nim powietrze, które od spodu zlewało się z tonią morską — o jakie dziesięć stóp od wytężonych żrenic chłopca. W parę dni później wyprawił się w towarzystwie Manuela na większą głębię. Powinna mierzyć czterdzieści sążni — ale odwinęto już całą linkę, a kotwica jeszcze nie zahaczyła się o dno. Harvey śmiertelnie się przeraził, jakoby już stracił ostatnią łączność z ziemią.

— Jama Wielorybia — rzekł Manuel, zwijając linę. — To ci będzie z Dyskiem uciecha! W drogę!

I jęli wiosłować w stronę szonera, gdzie zastali Toma Platta i innych pokpiwających sobie z szypra, że przecież raz przyprowadził ich nad brzeg jałowej Jamy Wielorybiej — jak zwano czeluść pośrodku Wielkiej Rewy. Przebijając się przez mgły, obrali sobie nowe stanowisko. Tym razem włosy stanęły na głowie Harvey'owi, gdy w Manuelowej łodzi wypłynął znów na morze. W głębi białej mgły posuwało się coś białego, zięjącego tchnieniem grobowego chłodu. Było to pierwsze spotkanie Harvey'a ze straszliwą górą lodową, nawiedzającą latem Ławice. Z przerażenia ukrył się na dnie łodzi, natomiast Manuel zaczął się śmiać...

Trafiały się i dni jasne, ciepłe, gdy grzechem wydawało się czynić co innego, jak ciągać rybackie wędy i muskać wiosłem słoneczne wody; bywały też dni pełne rześkich wiatrów, a wtedy Harvey'a uczono, jak się steruje szonerem, by przerzucić go na inne położenie.

Serce i dusza drgnęły mu radością, gdy po raz pierwszy wyczuł, że kil statku jest posłuszny jego ręce złożonej na szprychach, prześlizgując się ponad długimi bruzdami wodnej powierzchni, w miarę jak fokżagiel, niby krzywiec srebrnego sierpa, siekał błękitny przestwór powietrza. Była to rzecz zaiste wspaniała! — chociaż Dysko zrzędził, że żmija połamałaby sobie kręgosłup, gdyby miała płynąć tym torem. Atoli jak to zwykle bywa, pycha stała się przyczyną klęski. Właśnie płynęli pod wiatr, rozpiąwszy sztakżagiel — na szczęście już stary; Harvey silnym zamachem wykręcił statek, chcąc pokazać Danowi, do jakiego stopnia opanował już sztukę sterowania. Fokżagiel z hukiem runął w morze, a gafla przednia przebiła i rozdarła sztakżagiel, który jednakże zabezpieczony sztakiem nie poszedł za tamtym do wody. W przerażającym milczeniu usunięto awarię, a Harvey przez kilka następnych dni wszystkie wolne godziny spędzał pod boki Tom Platta, ucząc się, jak należy postugiwać się igłą, by wynagrodzić uczynioną szkodę. Dan z radości dał się wniebogłosy, powiadając, że sam też w swych młodszych latach nieraz palnął podobne głupstwo.

Zwyczajem chłopców okrętowych Harvey kolejno naśladował wszystkich mężczyzn, aż na koniec przyswoił sobie jednocześnie wszystkie ich charakterystyczne cechy: umiał jak Dysko garbić się nad sterem, kołysać się z podniesionymi rękoma jak Długi Dżek podczas wyciągania lin, wiosłować ruchem zamaszystym, jednak skutecznym jak Manuel, i chodzić po pokładzie jak Tom Platt, dostojnym krokiem mającym w sobie tradycję starego *Ohio*.

— Miło patrzeć, jak on się do tego bierze! — mówił Długi Dżek w pewne skwarne południe, gdy Harvey był na mostku koło windy. — Założę się o mój part i moją płacę, że to dla niego w połowie zabawa... a on sobie myśli, że jest tęgim marynarzem. Przyjrzyj no mu się teraz.

— Wszyscyśmy tak zaczynali — odrzekł Tom Platt. — Chłopcy zawdy, póki się nie zawiodą, wierzą, że są już dorosłymi ludźmi... i tak do samej śmierci... udawanie i udawanie. Ja też tak robiłem, na starym *Ohio*, dobrze pamiętam. Gdy stałem na pierwszej wachcie, wydawało mi się, że'm lepszy niż Farragut. Dan też jest taki. Przypatrz no się teraz obu chłopakom, jak udają starych wiarusów...

— Ponoć raz pomyliłeś się w swych rachubach, Dysko. Skądże ci się wzięło, na miły Bóg, opowiadać nam wszystkim, że ten chłopak jest wariatem?

— A był nim — odparł Disko. — Był wariatem i nierobem, gdy się dostał na nasz okręt; ale od tego czasu, powiem wam szczerze, zrobił się wcale do rzeczy. To ja go wyleczyłem.

— Ale bajać to umie pięknie! — ozwał się Tom Platt. — Zeszłej nocy opowiadał nam o jakimś takim jak on gołowąsie, który powoził cudaczną bryczuszką zaprzęzoną w cztery kucyki... zdaje mi się, że było to w Toledo, w stanie Ohio... i stawiał kolację gromadzie takich samych chłystków. Dziwaczna to taka bajka, ale piekielnie zajmująca. A on takich bajek umie opowiadać wiele.

— Chyba mu to się bierze z jego własnej głowy — zawołał Disko z kabiny, gdzie był zajęty dziennikiem okrętowym. — To rzecz oczywista, że wszystko to wymyśli. Nikt prócz Dana temu nie wierzy, a i on się z tego śmieje. Słyszałem go, jak bąbał, gdy myślał, że go nie widzę.

Disko zamilkł i pisał coś w dzienniku okrętowym, podtrzymując go dużą, kanciąstą dłonią. Oto urywek tych zapisków biegnących jeden za drugim na przybrudzonych stronicach książki:

17 lipca. — W dniu dzisiejszym gęsta mgła, a ryb mało. Przesunęliśmy się na północ. Na tym zbiegł cały dzień.

18 lipca. — Dzień dzisiejszy rozpoczyna się od gęstej mgły. Mało ryb.

19 lipca. — Dzień dzisiejszy rozpoczyna się lekką bryzą od pn.-wsch. i piękną pogodą. Przesunęliśmy się na wschód. Złowiono dużo ryb.

20 lipca. — W sobotę. — Dzień dzisiejszy rozpoczął się od mgły i lekkich rozwiewów. Na tym zbiegł cały dzień. Całkowity połów w tym tygodniu wynosi 3478 ryb.

W niedzielę nigdy nie pracowano, tylko gołono się i myto, o ile była piękna pogoda, a Pensylwania wyśpiewywał hymny. Kilkakrotnie podsuwał myśl, że — jeśli nikt nie będzie miał nic przeciwko temu — to on wygłosi małe kazanie. Stryj Salters na samą wzmiankę o kazaniu omal nie skoczył Pennowi do gardła, upominając go, że nie jest kaznodzieją i że powinien sobie z głowy wybić takie bzdury.

Wobec tego, rada w radę, zgodzono się jedynie na to, by Penn czytał im na głos wybrane ustępy z książki noszącej nazwę *Josephus*. Było to stare, w skórę oprawne tomisko, woniące myszką setnej już zapewne podróży, niezwykle budujące i nader podobne do Biblii, jednakże w treści swej ożywione opowieściami o bitwach i oblężeniach; czytano je niemal od deski do deski. Poza tym Penn był cichym, milczącym człeczyną. Bywało, że przez trzy dni nie odezwał się ani słowem, choć grywał w warcaby, przysłuchiwał się śpiewakom i śmiał się z opowiadanych kawałów. Gdy starano się go rozruszać, odpowiadał:

— Nie chcę wydawać się nietowarzyskim... ale jakoś nie mam nic do powiedzenia. W głowie czuję zupełną pustkę. Prawie zapomniałem, jak się nazywam.

I z wyczekującym uśmiechem zwracał się w stronę stryja Saltersa.

— Jak to? Nie przypominasz sobie? Ależ: Pensylwania Pratt — wykrzykiwał w takich razach Salters. — Niedługo to i moje nazwisko wypadnie ci z pamięci!

— Nie-e... nigdy — powiadał Penn, zaciskając mocno wargi. — Juści, Pensylwania Pratt — powtarzał sobie bez końca.

Czasami znowu krótką pamięcią grzeszył Salters, wymyślając na poczekaniu nowe nazwisko, np.: Haskins Rich lub M'Vitty; atoli Penn był zawsze jednako zadowolony — aż do następnego razu.

Okazywał zawsze niezwykłą tkliwość w stosunku do Harvey'a, nad którym litował się jednocześnie jako nad dzieckiem pozbawionym opieki macierzyńskiej i jako nad rzekomym wariatem. Gdy Salters tę jego słabość do chłopaka zauważył, stał się również dla Harvey'a bardziej wyrozumiały. Salters nie był osobistością nazbyt miłą, gdyż uważał za swą powinność trzymanie chłopaków w garści; toteż Harvey odpłacał mu się pięknym za nadobne. Gdy udało mu się po raz pierwszy, nie bez lęku i drżenia, wejść na szczyt grotmasztu (Dan wspinał się tuż za nim, by mu pomagać w razie potrzeby), uważał za swoją powinność zawiesić tam wielkie skórnie Saltersa na wstyd i pośmiewisko wobec innych szonerów, jakie mogły przepływać obok. Wobec Diska Harvey nie pozwalał sobie na żadne żarty ani poufałości — nawet wtedy, gdy stary szyper porzucał ton rozkazujący, odzywając się do chłopca jak do reszty załogi: „Nie zechciałbyś zrobić tego a tego?”



„Zdaje się, że raczej powinienes”... itd. Dokoła gładko wygolonych warg oraz w pomarszczonych kącikach oczu szypra czaiło się coś takiego, co działało otrzeźwiająco na krew młodzieńczą.

Disko wyjaśniał mu treść mapy zatłuszczonej palcami i wystrzępionej; z ołówkiem w ręce oprowadzał go od łowiska do łowiska, po całym szeregu ławic — takich jak Le Have, Banquereau, St. Pierre, Zielona i Wielka — przemawiając niekiedy „rybią mową”. Zaznajomił go również z zasadami posługiwania się kwadrantem.

W tej dziedzinie Harvey wiódł prym przed Danem, gdyż po ojcu odziedziczył zdolności do rachunków, a umiejętność ukradkowego zdobywania informacji na podstawie jednego błysku słońca, które zazwyczaj posępnie majaczyło nad Ławicami, przemawiała do wrodzonej bystrości chłopaka. W innych sprawach morskich bodźcem mu była jego młodzieńczość. Disko wyrażał się o nim, że powinien był rozpocząć zawód rybacki, mając lat dziesięć. Dan umiał nawet po ciemku nabijać przynętę na wędy i rozpoznać każdą linię, a w razie potrzeby potrafił — gdy stryjowi Saltersowi porobiły się bąble na dłoniach — po omacku patroszyć ryby; potrafił też w każdą pogodę, z wyjątkiem nawałnicy, sterować okrętem, kierując się wyczuwaniem wiatru wiejącego mu w twarz i trafiając zawsze w to, czego potrzeba było poczciwemu *We're Here*. Rzeczy te wykonywał instynktownie, podobnie jak instynktownie skakał po linach i rejach lub ciałem i wolą jednoczył się z łódką rybacką. Wiedzą swą jednak nie umiał podzielić się z Harvey'em.

Niemalą ogólnych wiadomości żeglarskich zdobyć można było w dni burzliwe, gdy załoga szonera wypoczywała i wysiadywała na skrzyniach kabiny. Toczyła się wówczas żywa gawęda, w przerwach której — niby podejmując dalszy jej wątek — turlały się po podłodze i chrzęściły, przeróżne zapasowe haki, ołowianki i obręcze. Disko opowiadał o wyprawach na wieloryby, o wielkich samicach wielorybich, zabitych pospołu ze swym potomstwem; o ich śmiertelnych męczarniach na czarnych, rozchwianych przestworach wód i o krwi tryskającej na czterdzieści stóp w górę; o łodziach pogruchotanych na miążgę; o patentowanych raketach, które strzelały od niewłaściwej strony, bombardując przerażoną załogę; o tym, jak to w 1872 r. straszliwie „przyskrzyniło” 1200 ludzi, gdy bez żadnej osłony przebywali przez trzy dni na krze lodowej... Były to opowieści pełne dziwów, ale najzupełniej prawdziwe. Atoli nade wszystko dziwne były Diskowe opowieści o dorszach — jak to sobie rozumują i radzą w swych sprawach osobistych tam w głębi morskiej, na wiele stóp poniżej okrętu.

Natomiast Długi Dżek miał większe upodobanie do zjawisk nadprzyrodzonych; trzymał więc słuchaczy w pełnym uwagi milczeniu, opowiadając im upiorne bajki o tajemnych wołaniach, co zwodzą i straszą samotnych kopaczy gliny; o upiorach ludzi nieopogrzebanych, które włóczą się i straszą ludzi na piaszczystych wydmach; o skarbie zakopanym na Wyspie Ognistej, strzeżonym przez duchy bandy kapitana Kidda; o okrętach, które we mgle najechały wprost na zatopione miasto Truro; o przystani Maine, gdzie nikt, chyba że cudzoziemiec, nie zapuściłby w jednym miejscu kotwicy ze względu na to, że pojawia się tam staroświeckiej budowy okręt z kotwicą zawieszoną u sztaby i przywozi gromadę umrzyków, które z piskiem — nie z krzykiem, ale z piskiem — rzucają się na duszę śmiałka, który zakłócił ich trupią ciszę...

Harvey wiedział doskonale, że wschodnie wybrzeże kraju, na południe od Mount Desert, było zamieszkałe przeważnie przez ludzi, którzy na lato przenosili się do rezydencji wiejskich, zaopatrzonych w twarde dębowe podłogi i wantyńskie portiery. Toteż gdy słuchał koszałek-opalek o upiorach, ogarniał go pusty śmiech, choć nie tak szczerzy, jaki by go ogarnął miesiąc temu w podobnej sytuacji. Skończyło się na tym, że zaczął siadywać w milczeniu i z dreszczem w duszy łowić każde słowo opowieści.

Tom Platt nigdy nie mógł się naopowiadać do syta o tym, jak stary okręt *Ohio* pływał dokoła Cape Horn w dni pamiętnych zamieszek... Mówił i o flocie, co podczas wielkiej wojny została doszczętnie zniszczona i wytepiona niby ów przysłowiowy ptak dodo. Wyjaśniał, jak się do okrętowego działa wkłada rozgrzane do czerwoności kule, umieszczając bryłę wilgotnej gliny pomiędzy nimi a ładunkiem prochu; opowiadał, jak one skwierczą i dymią, gdy uderzą o drzewo, i jak to mali chłopcy okrętowi z *Miss Jim Buck* zalewali je wodą i krzyczeli w stronę wartowni, by jeszcze raz spróbowano. Opowiadał również dziwy o blokadzie — o długich tygodniach bujania się na kotwicy, urozmaiconych jedynie odjazdem i powrotem parowców, którym wyczerpał się zapas węgla; o wicherach

i mrozach (były to mrozy tak silne, że aż dwustu ludzi musiało dniem i nocą tłuc i rąbać lód zwisający na kablu, blokach i olinowaniu, gdy tymczasem kuchnia była rozgrzana do czerwoności jak kula działa forttecznego, a ludziska wiadrami pili kakao). Tom Platt nie korzystał nigdy z usług kotła parowego. Służbę swą zakończył wtedy, gdy zastosowanie pary było jeszcze rzeczą względnie nową. Przyznawał, że wynalazek ten pięknie się prezentował w czasach pokoju, jednakże sam osobiście z ufnością wyczekiwał dnia, kiedy znów ukaza się żagle na fregatach o pojemności dziesięciu tysięcy ton i o bumach długich na sto dziewięćdziesiąt stóp.

Manuelowe gawędy były ciche i powolne — wciąż była w nich mowa o pięknych dziewczynach na Maderze, piorących chusty w strumieniach w księżycowym blasku i pod osłoną bananowców; nie brak też było legend z życia świętych, opowiadań o cudacznym płasach i walkach hen daleko w mroźnych portach nowofundlandzkich. Salters miewał zazwyczaj wykłady z dziedziny rolnictwa, bo choć czytywał *Josephusa* i nieraz go komentował, ulubionym tematem jego opowieści była wyższość naturalnych nawozów, zwłaszcza koniczyny, nad wszelkimi rodzajami fosfatów. Fosforany zniesławiał, gdzie tylko mógł; w tym celu wyciągał spod pryczy zatłuszczone księgi i wyczytywał z nich to i owo przeciągłym głosem, kiwając palcem w stronę Harvey'a, dla którego wszystko to było tureckim kazaniem. Mały Penn tak szczerze się martwił żartami, które sobie stroił Harvey podczas wykładu Saltersa, że chłopak w końcu poniechał tychże i w uprzejmym milczeniu przełykał ten niestrawny duchowy obrok. Był to ze strony Harvey'a czyn naprawdę piękny.

Kucharz, łatwo zgadnąć, nie wtrącał się do rozmów. Przemawiał z reguły tylko wtedy, gdy zachodziła bezwzględna konieczność. Czasami jednak spływał nań dziwny dar wymowy, a wtedy mógł gadać jednym tchem przez całą godzinę, to w narzeczu gallickim, to znów łamaną angielszczyzną. Szczególnie rozmowny bywał wobec chłopców, przy czym nigdy nie omieszkiał powtarzać przepowiedni, że kiedyś Harvey będzie zwierzchnikiem Dana i że to zobaczy na własne oczy. Opowiadał im o przewożeniu poczty zimą na Cape Breton, o psich zaprzęgach kursujących do Condray i o lodołamaczu *Artic* kruszącym lody pomiędzy lądem a Wyspą Księcia Edwarda. Nadto opowiadał zasłyszane niegdyś od matki historie o życiu na dalekim południu, gdzie wody nigdy nie zamarzają; mówił też, że gdy umrze, dusza jego będzie spoczywać na białej, cieplej, piaszczystej wydmie, nad którą kołyszą się drzewa palmowe. Chłopcom myśl ta wydawała się nader dziwna u człowieka, który w życiu nie widział palmy. Ponadto przy każdym posiłku stale zapytywał Harvey'a, i tylko Harvey'a, czy smakowało mu to, co on ugotował; pytanie to zawsze pobudzało do śmiechu „drugą zmianę”.

A gdy Harvey chłonał wiedzę o rzeczach dotąd mu nieznanych i z każdym łykiem świeżego powietrza nabierał coraz więcej hartu i zdrowia, tymczasem *We're Here* wędrował swoimi drogami, pilnując interesów na Rewach, a srebrno-szare pokłady gęsto stłoczonych ryb rosły coraz to wyżej w magazynie. Codzienna robota nie wychodziła ze zwykłego trybu, jednakże często gęsto trafiał się połów zgoła przeciętny.

Oczywiście człowiek cieszący się taką reputacją jak Disko, był ustawicznie podpatrywany — czyli „badany”, jak się wyrażał Dan — przez swych sąsiadów, jednakże miał tyle sprytu, że zawsze im się wymykał przez ławice kłębiącej się, oślizłej doki. Disko z dwóch powodów unikał towarzystwa. Po pierwsze pragnął dokonywać eksperymentów na własną rękę; po wtóre nie lubił pstrokatej zbieraniny różnojęzycznych maszoperii. Statki pochodziły przeważnie z Provincetown, Harvich, Chatham i z portów Maine, ale załogi rekrutowały się Bóg wie skąd. Załogi nie przebiegały w środkach, a gdy dołączy się do tego chciwość, wtedy w rojnej flotylli, która jak stado owiec tłoczy się dokoła nieoficjalnego przewodnika, nie brak sposobności do różnych wypadków.

— Niechże ich prowadzą dwaj Jerauldowie — mówił Disko. — Musimy przez czas jakiś pobyć między nimi na Wschodnich Płycinach, choć jeżeli szczęście dopisze, nie zagrzejemy tam dłużej miejsca. Teren, gdzie przebywamy obecnie, wcale nie uchodzi za dobry.

— Niedobry? — zapytał Harvey, który właśnie nabierał wody po niezwykle długim oporządzaniu ryb (niedawno nauczył się sposobów rozhuśtywania wiadra). — A więc dla odmiany nie zawadzi zatrzymać się i w terenie mniej intratnym.

— Chciałbym zobaczyć jeszcze jedno łowisko... nie chcę jednak tam uwięznąć... a mianowicie Eastern Point.

— Wiesz co, tato, tak mi się widzi, że nie zabawimy na Płycznach dłużej jak dwa tygodnie. Wtedy to, Harvey, spotkasz się, z kim tylko zechcesz. W tym to czasie robota zaczyna się na dobre. Nikt wtedy nie jada o swej porze. Żre się wtedy, kiedy człowiek jest głodny, a sypia się, kiedy nie można czuć. Dobrze się stało, że ciebie wyłowiono o miesiąc później, bo byśmy nie potrafili się należycie przygotować na „Starą Dziewicę”.

Harvey wiedział już z mapy, że „Stara Dziewica” oraz całe mniejsze łowiska stanowiły zwrotny punkt wyprawy i przy dobrym szczęściu będą tam mogli splawić cały zapas swej soli; wszakże widząc rozmiary owej „Dziewicy” (była to maluchna plamka) zachodził w głowę, jak Disko — chociażby z pomocą kwadrantu i ołowianki — mógł ją odnaleźć. Później przekonał się, że Disko potrafi naprawdę wiele. W kabinie wisiała niewielka tablica; Harvey nie znał jej przeznaczenia, aż do chwili, gdy po kilku dniach mglistych, posłyszano niezbyt melodyjne granie wielkiego rogu rybackiego, używanego jako sygnał podczas mgły. Głos tej potężnej maszyny przypominał zupełnie rżenie zdychającego słonia.

Odbywano właśnie krótki postój, holując kotwicę celem oszczędzenia sobie długich zachodów.

— Oho! Jakaś fregata ryczy, by jej podać szerokość geograficzną — ozwał się Długi Dżek.

Z mgły wynurzyły się jaskrawo czerwone topżagle zbliżającego się trójmasztowca; *We're Here* zadzwonił trzykrotnie zwyczajem morskim, ogłaszając swój „rysopis”.

Tamten statek, rozmiarami większy, wykonał zwrotny manewr topżagłem wśród nałowywań i wrzasków.

— Francuz — rzekł stryj Salters drwiąco. — Miquelon i St. Malo. — (Farmer miał oko istic marynarskie.) — A mnie akuratnie zabrakło tytoniu, Disko.

— Sam tutaj<sup>26</sup>! — wołał Tom Platt. — *Hej! zatrzymez-vous — zatrzymez-vous!* *Uważez trochez, nie najedźciez pour nous, wy czopowate mucho bono!* Skądście wy? ...z St. Malo, he?

— *Ah, ha! mucho bono! Qui! Qui! Clos Poulet... St. Malo! St. Pierre et Miquelon* — odkrzyknęła tamta załoga wymachując wełnianymi czapkami i śmiejąc się. Po czym jęli<sup>27</sup> wołać wszyscy spolem:

— *Bord! Bord*<sup>28</sup>

— Przynieś no tablicę, Danny. Zastanawia mnie, jak te Francuzy dadzą sobie radę, jeśli nie spotkają się z uprzejmością Amerykanów. Pisz czterdzieści sześć, czterdzieści dziewięć... to im wystarczy; zresztą widzi mi się, że są to dane mniej więcej dokładne.

— Dan wypisał cyfry kredą na tablicy i zawieszono ją na linie głównego masztu. Z trójmasztowca rozbrzmiało chórem wielokrotne: *Merci*<sup>29</sup>!

— Zdaje mi się, że byłoby dość głupio puścić ich tak za bezdurno<sup>30</sup> — doradzał Salters, macając się po kieszeniach.

— A czyś się nauczył po francusku od czasu ostatniej wyprawy? — zapytał Disko. — Nie chcę, żeby nas znów obrzucono kamieniami za to, że ci się zachciało francuskie okręty przezywać „*footy cochins*”, jak to czyniłeś na wyjeźdny z Le Have.

— Harmon Rush mówił, że tym sposobem można ich rozruszać. Mnie w zupełności wystarczy zwykły język Stanów Zjednoczonych. Ale piekielnie brak nam tytoniu. Chłopaczku, a może ty umiesz mówić po francusku?

— Ma się rozumieć! — odrzekł Harvey z przechwałką i jął krzyżeć: — *Hej! słuchajcie! Arrêtez-vous! Attendez! Nous sommes penant pour tabac*<sup>31</sup>.

— *Ah, tabac, tabac!* — zawołano z okrętu francuskiego i znów ozwały się śmiechy.

— Podziałało. W każdym razie spuszczaście czółno na wodę — ozwał się Tom Platt. — Nie mamci ja wprawdzie świadectwa z francuskiego, ale znam inną gwarę, która, jak mi się zdaje, zrobi swoje. Chodź no, Harvey'u, i tłumacz im.

<sup>26</sup> *sam tutaj* (daw.) — chodź tutaj. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *jęć* — zacząć; tu: 3 os. Im *jęli*: zaczęli. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *bord* (z ang. *board*) — deska, tablica. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup> *merci* (fr.) — dziękuję. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *za bezdurno* — za darmo, daremnie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *Arrêtez-vous (...) tabac* (fr.) — Zatrzymajcie się! Słuchajcie! Kończycy nam się tytoń. [przypis edytorski]

Niepodobna opisać szczęku i rwetesu, jaki powstał, gdy Tom Platt i Harvey zostali wciągnięci na czarną burtę francuskiego statku. Kajuta główna była wokół oblepiona jaskrawymi drukami przedstawiającymi Matkę Boską — którą tu zwano Najświętszą Panią z Nowej Fundlandii. Harvey przekonał się, że jego francuszczyzna nie miała akcentu właściwego Ławicom, a cała rozmowa musiała z jego strony ograniczyć się do uśmiechów i kiwania głową. Natomiast Tom Platt wymachiwał żwawo ramionami i dawał sobie wspaniale radę. Kapitan poczęstował go łykiem jakiejś niemożliwej gorzałki, a operowo-komiczna, zarośnięta załoga w czerwonych czapkach i z długimi nożami powitała go jak swojego, po czym rozpoczął się targ. Tamci mieli w bród tytoniu i to amerykańskiego, za który nigdy nie płacono cła Francji; w zamian żądali czekolady i sucharów. Harvey odpłynął z powrotem, ażeby porozumieć się z kucharzem i Diskiem, którzy mieli pieczę nad zapasami żywności; gdy powrócił, rozpoczęło się koło steru francuskiej nawy przeliczanie puszek kakao i worków z sucharami. Wyglądało to na korsarski podział łupów; w każdym razie Tom Platt odjechał przewiązany pękiem czarnego *pig-tailu* i opchany paczkami tytoniu do palenia i żucia.

Francuscy marynarze popłynęli znów hen we mgły, a na koniec Harvey jeszcze posłyszał śpiewaną chórem jakąś francuską piosenkę.

— Czemu to przypisać, że moja francuszczyzna nic nie wskórała, a twoja rozmowa na migi osiągnęła skutek? — zapytał Harvey, gdy wymieniony towar został rozdzielony pomiędzy załogę *We're Here*.

— Rozmowa na migi! — roześmiał się Platt opryskliwie. — Juści, była to rozmowa na migi, ale o wiele starsza od twojej francuszczyzny, Harve. Przecież okręty francuskie są pełne farmazonów... w tym leży przyczyna... — odrzekł były marynarz floty wojennej, nabijając sobie fajkę, a Harvey musiał zgłębić jeszcze jedną tajemnicę głębin morskich.

## ROZDZIAŁ VI

Co najbardziej uderzało Harvey'a, to wielka nieuwaga i niefrasobliwość, z jaką niektóre statki snuły się po rozległych przestworach Atlantyku. Okręty rybackie, jak mówił Dan, były ponoć całkiem zwyczajną rzeczą kolejną zależną od uprzejmości i umiejętności swych sąsiadów, jednakże od parowców należałoby oczekiwać czegoś więcej. Refleksje te zrodziły się w nim po następnym ciekawym spotkaniu — a mianowicie, gdy przez trzy mile ścigał ich jakiś ogromny, stary, niezdarne wlokący się okręt, jakich używają do przewozu bydła, naładowany aż po sam pokład górny, z którego cuchnęło jak z tysiąca chlewów. Jakiś oficer, nader podniecony, krzyknął na nich przez tubę, sam zaś statek stanął i bezradnie gibał się po falach. Dysko skierował *We're Here* pod lewą stronę przybysza i oświadczył szyprowi, co o nim myśli:

— Chodzi wam o to, gdzie się znajdujecie? ...he? Nie jesteście nic warci! Ej, wylóczyjcie, folwarczne wywłoki! Wałęsacie się po wielkim morzu, nie bacząc całkiem na sąsiadów... a ślepią trzymacie w filiżankach z kawą, zamiast w swych durnych łepetynach!

Na to szyper zerwał się jak oparzony, stanął na mostku kapitańskim i odciął się też jakąś uwagą dotyczącą oczu samego Dyska.

— Przez trzy dni nie mieliśmy żadnych informacji. Czy przypuszczasz, że możemy płynąć na oślep? — rozwrzeszczał się.

— No-o, ja bym potrafił — odpalił mu Dysko. — A cóż się stało z waszą ołowianką? Czy umiecie węchem rozpoznać dno morza, czy też wasze bydło zanadto wam zatruiwa powietrze?

— Czym je żywicie? — zapytał stryj Salters z gorliwą powagą, gdyż zapach chlewów obudził w nim żyłkę gospodarską. — Podobno masowo zdychają w podróży. Nie jest ci to wprawdzie mój zawód, ale wiem coś i o tym, że drobno pokruszone i rozsypane makuchy<sup>32</sup>...

— Do pioruna! — ozwał się jeden z załogi, odziany w czerwony kabat<sup>33</sup>, wyzierając<sup>34</sup> poza burtę. — Z jakiego to przytułku wypuszczono tego jegomościa?

<sup>32</sup>*makuchy* — wytloki z nasion roślin oleistych (maku, słonecznika, sezamu, soi i in.) lub orzechów, pozostałe po wyciśnięciu tłuszczu, używane do wyrobu produktów spożywczych (z sezamowych powstaje chałwa, z gorczycowych musztarda itd.) oraz wartościowej paszy dla zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*kabat* — surdut. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*wyzierać* — wyglądać. [przypis edytorski]

— Młokosie — zaczął Salters, podnosząc się na olinowanie masztu przedniego — pozwól, iż najpierw powiem ci, że ja...

Oficer stojący na mostku zdjął z przesadną grzecznością kapelusz z głowy.

— Proszę mi wybaczyć — ozwał się — ale prosiłem o podanie mi danych geograficznych miejsca, gdzie się znajdujemy. Gdy ta włochata osobistość, znająca się tak wybornie na gospodarstwie rolnym, łaskawie zamknie na koniec buzię, wówczas może ten zielony kaczor o tępych oczach raczy nas oświecić we wspomnianej kwestii.

— Zrobiłeś ze mnie pośmiewisko, Saltersie — wybuchnął gniewem Disko, po czym nie mogąc już dłużej znieść podobnego marnotrawienia słów, nie prawil dalszych morałów, tylko burknął długość i szerokość geograficzną.

— Ho-ho! Ależ to zgraja wariatów zebrała się na tym bacie! — zawołał szyper, dzwoniąc do maszynowni i rzucając na pokład szonera spory pęk gazet.

— Ze wszystkich durniów, jakich zdarzyło mi się oglądać, nie licząc ciebie, Saltersie, ten człowiek i jego załoga są chyba najdurniejsi! — mruknął Disko, gdy *We're Here* odpłynął kawałek drogi. — Właśnie miałem mu powiedzieć parę słów prawdy o tym, co sędzę o takich, którzy niby zgubione dziecko tułają się i błędzą po morzu, a ty musiałeś zaraz wtrącić trzy grosze o tej swojej głupiej paszy dla bydła!

Harvey, Dan i reszta załogi, rozweseleni na dobre, stanęli nieopodal, dając sobie porozumiewawcze znaki. Jednakże Disko i Salters wadzili się z sobą nie na żarty aż do samego wieczora. Salters usiłował dowiedzieć, że okręt przewożący bydło jest właściwie pływającą oborą, Disko zaś twierdził z uporem, że nawet gdyby tak się rzecz miała, to jednak przywoitość i cześć rybacka wymagały większego wyczucia. Długi Dżek przez jakiś czas w milczeniu przysłuchiwał się kłótni (gniew szypra to nieszczęście dla załogi), aż na koniec, już po kolacji, ozwał się zza stołu.

— Ech, kto by tam sobie głowę zaprzętał tym, co oni tam o nas będą gadać?

— Ej, bo też będą o nas mieli co opowiadać przez wiele lat!... W tym cała bieda! — sarknął Disko. — Och, te makuchy! I to jeszcze czymś posypane!

— Juści, że solą, a nie czym innym — podchwycił niepoprawny stryj Salters, zaczytany w nowojorskiej gazecie, gdzie były wiadomości gospodarcze sprzed paru tygodni.

— To cios śmiertelny dla mojej rybackiej i marynarskiej ambicji! — mówił dalej Disko.

— Ja na to całkiem inaczej patrzę — rzekł Długi Dżek, biorąc na siebie rolę rozjemcy. — Pomyśl, Disko! Gdyby tak jakiś inny statek... jakiś pasażerski płynął sobie w taką pogodę i spotkał takiego zawalidrogę... to czy podałby mu wszystkie jakie potrzeba dane... podałby mu, wszystko co potrzeba?... pogadałby mu dokumentnie, na rozum, o sterowaniu i inszych sprawach morskich?... Juści, że nie!... Zapomnijże więc o tym! Dyc<sup>35</sup> i to prawda, że oni nie zapomną. Oddałeś im pięknym za nadobne... tęgoś im przysolił<sup>36</sup>... w dwa ognie żeście ich wzięli... i dwa razy wyszliśmy cało.

Dan kopnął Harvey'a pod stołem, a Harvey zachłysnął się zawartością swej czarki.

— A jakże, jakże — ozwał się Salters, czując, że honor jego doznał pewnej satysfakcji. — Zanim zacząłem z nimi gadać, powiedziałem im, że to nie moja sprawa.

— Jest w tym racja — wtrącił się Tom Platt obeznany z etykietą i dyscypliną — jest w tym racja: powinieneś być, Disko, zabronić mu mówić już wtedy, gdy wedle twej rachuby zanosilo się na to, że rozmowa będzie taka... jaka być nie powinna...

— Nie wiedziałem, że taka będzie — odpowiedział Disko, widząc, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko wycofać się z honorem. — Nie mogłem tego zrobić...

— Co znowu! Dyc można było to zrobić — ozwał się Salters — przecież jesteś szyprem. Ja bym tu na każdy twój znak zaraz z chęcią przerwał tę gawędę... nie z przekonania ani też innych pobudek, ale żeby dać dobry przykład tym dwu naszym utrapionym chłopakom.

— Czy nie mówiłem ci, Harvey — szepnął Dan — że wszystko na nas się skrupi, nim się spostrzeżemy? Zawsze on wyjdzie z tymi „utrapionymi chłopakami!”.

<sup>35</sup>dyc (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>tęgoś im przysolił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: tęgo im przysoliłeś. [przypis edytorski]

— W każdym razie trzeba było rzecz jedną rozeznawać od drugiej — oświadczył Disko. Nowy błysk pojawił się w oczach Saltersa, który właśnie nabijał fajkę pokrajanym tytoniem.

— Jest to nie lada cnotą utrzymać w każdej rzeczy rozeznanie — rozgadał się Długi Dżek, usiłując zażegnać burzę. — O tym przekonał się Steyning, gdy posłał Counahana jako szypra na statku *Marilla D. Kubn*, zamiast Capa; Newton czuł rwanie w kościach i nie mógł płynąć. A myśmy go przezywali „Counahan Żeglarz”.

— Gdy Nick Counahan bawił na okręcie, nie było nocy, by nie widziano go zalanego rumem — ozwał się Tom Platt, bawiąc się ołowianką. — Miał on zwyczaj wałęsać się koło firm handlowych w Bostonie i szukać takiego pana, który by go zrobił kapitanem holownika. Sam Coy, ten z Atlantic Avenue, uwierzył jego łgarstwom i przez rok czy więcej dawał mu wikt i opierunek. Counahan Żeglarz! Phi! Phi! Umarł chyba z piętnaście lat temu?

— Siedemnaście, tak mi się widzi. Umarł w tym samym roku, w którym został zbudowany *Caspar M'Veagh*. Wszyscy byli na Ławicach... więc Counahan najął jako załogę wszelką zbieraninę. Hej, było tam rumu! Można było pływać na *Marilli* jak u Pana Boga za piecem, tyle mieli zapasów. Wy płynęli z bostońskiej motławy w stronę Wielkiej Rewy... gnał ich huczący wiatr północno-zachodni... Dalibóg samo niebo czuwało nad nim... póki nie zobaczyli dna piętnastogalonowej beczki. Trwało to, ile sobie Counahan przypomniał, cały tydzień (o, gdybym potrafił opowiedzieć to tak, jak on to opowiadał!). Aż do tego czasu wiatr dął wspaniale, a *Marilla*, że to było lato i że jej dodano foktopmaszt, waliła prosto przed siebie. Potem Counahan wziął kwadrant, trząśnięt nad nim przez chwilę i tak sobie wykalkulował według tego kwadrantu, według mapy i według tego, co mu w głowie szumiało, że się znajdują na południe od Wyspy Sobolej, płynąc naprzód jak się patrzy; ale nic nikomu nic powiedział. Wtedy odszpuntowali nową beczkę i znów nie dbali o nic. Od czasu gdy minęli bliżej bostońską, *Marilla* kładła się na morzu i aż do tego czasu ani razu nie podniosła się wzwyż od lewej strony... parla prosto przed siebie, wciąż jednakowo nachylona. Ale oni nie widzieli ani kidzeny, ani morskiego ptactwa, ani szonerów... naraz zobaczyli, że to już upłynęło dni czternaście... i myśleli, że to z Rewą to jakiś kiepski interes. Więc zapuścili sondę i wymierzili sześćdziesiąt sążni głębokości. „Oto, co ja znacze! — rzecze Counahan. — Ja zawsze tak! Przygnałem wasz okręt prosto na Rewę, a gdy będziemy mieli trzydzieści sążni, to pójdziemy spać, jak małe dzieci. Counahan to chwata! Counahan, to żeglarz!” Zapuścili znów; było dziewięćdziesiąt sążni. Counahan rzecze: „Albo sznur się wydłużył, albo też Rewa się zapadła”.

Wyciągali linę, gdy im się mniej więcej widziało, że tak trzeba zrobić; usiedli na pokładzie i dalej liczyć węzły, burcząc przy tym okrutnie. *Marilla* waliła przed siebie o nic nie pytając. Naraz nawinął im się jakiś statek-włóczęga. Counahan wdał się z nim w rozmowę. „Czyście gdzieś nie widzieli batów rybackich?” — zagadnął jakby od niechcenia. „Całe ich sznury ciągną się od irlandzkiego strądu” — odpowiedzieli mu ze statku. „A cóż to mi do irlandzkiego strądu?” „A więc cóż tu porabiasz?” — zapytali tamci. „O męko chrześcijaństwa! — rzecze Counahan (tego zwrotu używał, gdy było z nim coś nie w porządku) — o męko chrześcijaństwa! — powiada — a gdzież to się znajdują?” „Trzydzieści pięć mil na pld.-zach. ku zachodowi Cape Clear — odpowiedzieli tamci — może to ci będzie pociechą!” Counahan dał susa na cztery stopy siedem cali, jak wymierzył kucharz. „Pociechą! — krzyknął rozindyczony. — Czy mnie bierzecie za głupka? Trzydzieści pięć mil od Cape Clear a czternaście dni od blizy bostońskiej. O męko chrześcijańska, ależ to chyżość niesłychana!” Moje słowa może poświadczyć matka, która mieszka w Skibbereen! Wyobraźcie sobie, jak on musiał być wściekły!

W załodze miał wyłącznie ludzi z Cork i Kerry, z wyjątkiem jednego Marylandczyka, który chciał wracać, ale okrzyczeli go za buntownika; przybili ze starą *Marillą* do Skibbereen i spędzili czas wygodnie, składając przez cały tydzień wizyty przyjaciółom na starym torfowisku. Potem ruszyli z powrotem i zmitrężyli trzydzieści dwa dni, zanim dobili się znów do Ławic. Zbliżała się jesień, a żarcia zaczynało brakować, więc Counahan poprowadził okręt znów do Bostonu, nie wioząc ani jednej ości rybiej!

— A co na to powiedziała firma? — zapytał Harvey.

— Cóż miała powiedzieć, he? Ryby były na Ławicy, a Counahan był już na redzie, opowiadając o swej niezrównanej wyprawie na wschód! Dostało im się też poza tym, co

im się należało, a wszystko to wynikało po pierwsze z niepomiarkowania załogi względem rumu, a po wtóre z nierozznania Skibbereen od Queerean. Counahan Żeglarz, świeć Panie nad jego duszą, ale był to prawdziwy pomyleniec.

— Swojego czasu byłem na *Lucy Holmes* — jął mówić cichym głosem Manuel. — W Gloucester nie chciano od nas brać ryb. A co-o? Dawano byle jaką cenę. Ruszyliśmy więc na morze, myśląc, że sprzedamy nasz towar komuś z Fayal. Nagle począł dąć wiatr, tak żeśmy niewiele widzieli przed sobą. Potem nastąpiła dyma jeszcze silniejsza, porwała nas i poniosła chybcikiem... nikt nie wiedział, dokąd. Po jakimś czasie widzimy ląd, a zrobiło się trochę skwarno. Skądś przyplłynęło w czołnie paru Murzynów. A co-o? Pytamy ich, gdzie to się znajdujemy, a oni odpowiadają... no, co myślicie? A co-o?

— Wyspy Kanaryjskie — rzekł Disko po chwili namysłu.

Manuel, śmiejąc się, potrząsnął głową.

— Blanco — domyślał się Tom Platt

— Tato powiada, że nie byłby pewny nawet promu w odległości pięciu mil od was — zawył Dan z radością.

— To dlaczego się stąd nie wyniesie? Kto przeszkadza? — zapytali tamci.

— Dlatego, że wyście mu tu akurat wleźli w drogę od lewej strony, a on na to nie pozwoli nikomu, nie mówiąc już o takiej beczulce jak wasza, co to tylko dryfuje.

— Nasz okręt nie dryfował ani razu w tej wyprawie — odburknął gniewnie wioślarz, gdyż *Carrie Pittman* cieszyła się złą sławą ze względu na częste łamanie swego omasztowania.

— Jakżeż więc obieracie sobie stanowiska? — zawołał Dan. — Toć to jest najlepszy dryf w waszej żegludze. A jeżeli wasz okręt nie dryfuje, to skądże, u pioruna, wziął się u was nowy bukszpir?

Strzał był dobrze wymierzony i ugodził w sedno.

— Hej, ty portugalski kataryniarzu, zabierz no z sobą tę małpę do Gloucester! Wracaj do szkoły, Danie Troop — brzmiała odpowiedź.

— U-bra-nia! u-bra-nia! Kupuję! Sprzedaję — wrzeszczał Dan, który wiedział, że jeden z załogi *Carrie* pracował poprzedniej zimy w przedsiębiorstwie odzieżowym.

— Szkrab! Szkrab glosterski! A wynocha, ty Nowoszkocie!

Przezwanie Glosterczyka Nowoszkotem było nie lada obrażą. Dan oddał mu wet za wet:

— Samiście Nowoszkoci, wy kocmołuchy! Wy rozbitki chathamskie! Wynoście się razem ze wszystkimi gratami!

I stanęły przeciwko sobie dwie siły, lecz Chatham wyszedł na tym gorzej.

— Wiem, jak będzie — ozwał się Disko. — Ich okręt już kręci się z wiatrem. Oni tam będą chrapali do samej północy, a gdy my będziemy zabierać się do spania, pójdą w dryf. Dobrze, że nie ma tu ciężby okrętów. Ale nie myślę podnosić kotwicy dla tego Chathama. Może on jeszcze wytrzyma.

Wiatr, który przez czas dłuższy baraszkował na wszystkie strony, wzmógł się o zachodzie słońca i przybrał stały kierunek. W każdym razie morze nie było na tyle wzburzone, by mogło wprawić w niepokój olinowanie chociażby łodzi rybackiej — jednakże *Carrie Pittman* miała swoje własne obyczaje. Pod koniec swej wachty chłopcy posłyszeli na jej pokładzie parę strzałów z potężnego, nabijanego na stary sposób, pistoletu.

— *Glory, glory, alleluja!* — zanucił Dan. — Tato, ona już zbliża się do nas... zadkiem naprzód... płynie po śpiączku, jak to było z nią w Queereau!

Gdyby to był inny statek, Disko byłby machnął ręką na wszystko; teraz jednak nie pozostawało mu nic innego, jak odciąć kabel, właśnie wtedy gdy *Carrie Pittman*, oddana na igraszkę Północnemu Atlantykowi, pomknęła wprost na nich. *We're Here*, rozpiąwszy kliwer i jeden z żagli, ustąpił przybyszowi nie więcej miejsca, niż wymagała bezwzględna konieczność (Disko nie chciał tracić całego tygodnia na wyławianie kabla), ale podbiegł rączo pod wiatr, właśnie gdy w odległości, z której łatwo można było przesłać pozdrowienie, mijala go *Carrie* — milcząca i nadąsana — zdana na łaskę zagrabiającej wszystko nawały.

— Dobry wieczór — rzekł Disko, unosząc czapkę w górę — a jak tam obrodził wasz ogródek?

— Idźcie do Ohio i najmijcie muła — dodał stryj Salters. — Nam tu nie potrzeba farmerów.

— Może wam pożyczyć kotewki od mojego czółna — zawołał Długi Dżek.

— Oderwijcie rudel i wetknijcie go w błoto! — radził Tom Platt.

— Ciewy! — rozległ się piskliwy i przeraźliwy głos Dana stojącego na jacie sterniczej.

— Cie-ewy! Strajk w fabryce ubrań! A może najęli dziewczuchy do roboty?

— Odkręćcie liny sterowe i przybijcie gwoździem do dna! — wołał Harvey.

Był to słony żart, którym dawniej samemu Harvey'owi dokuczał Tom Platt.

Manuel wychylił się za rufę i wrzasnął:

— Johnie Morgan! Zagraj no na katarynce. Ahaaa!

I z wyrazem niedającej się opisać wzgardy i urągowiska jął wymachiwać szerokim paluchem. Natomiast mały Penn przejęty niepomierną dumą piszczał:

— Podpłyńcie no tu krzynkę bliżej! Bzz! Chodź no tu bliżej! Ho-o!

Przez resztę nocy kołysali się na uwięzi łańcucha — ruchem podrywnym, chlupocącym i jak stwierdził Harvey, niezbyt przyjemnym — a połowę następnego przedpołudnia zmitrężyli na odszukiwaniu kabla. Atoli chłopcy byli w tym zgodni, że ta mitręga była drobnostką w porównaniu z ceną ich triumfu i sławy, i ze smutkiem myśleli o tym, że tyle jeszcze pięknych komplementów można było powiedzieć pod adresem upokorzonej i zawstydzonej *Carrie*.

## ROZDZIAŁ VII

Nazajutrz spotkali sporo żaglowców — wszystkie kołowały z wolna z północnego wschodu ku zachodowi. Lecz w sam raz gdy spodziewano się wpłynąć na snadzizny koło „Dziwicy”, na morzu legła zwarta zaporą mgły, wobec czego musiano zarzucić kotwicę. Wokół rozlegały się brzęki niewidzialnych dzwonów. Nie zajmowano się zbytnio rybołówstwem, tylko tu i owdzie czółna rybackie spotykały się z sobą i dzieliły nowinami.

Owej nocy, tuż przed świtem, Dan i Harvey, którzy walczyli się przez większą część dnia, wypełzli z legowisk, ażeby „zahaczyć” nieco pierożków. Mogliby wprawdzie czynić to jawnie — jednakże zdobyte w ten sposób bardziej im smakowały, zwłaszcza że pobudzało to kucharza do gniewu. Gorąco i zaduch skłoniły ich do wyjścia wraz ze zdobyczą na pokład. Zastali tam Dyska bijącego w dzwon. Ujrawszy Harvey'a, Dysko przekazał na niego tę funkcję, mówiąc:

— Bij, ile wlezie. Zdaje mi się, że coś słyszę. Jeżeli do czegoś dojdzie, najlepiej, żebyś był tam, gdzie mogę przystąpić do rzeczy.

Istotnie, było słychać jakieś ciche poszczękiwanie, gubiące się w zgęszczonym, jakby dławiącym je powietrzu. Chwilami Harvey słyszał przygłuszony ryk syreny liniowca — a był już na tyle obeznany z Rewami, że wiedział, co to oznacza. Z przerażającą wyrazistością uświadamiał sobie, jak to pewien chłopak w bluzeczce wiśniowego koloru — obecnie Harvey czuł do fantazyjnych bluzeczek wstręt, na jaki tylko stać rybaka — jak więc pewien głupi, hałaśliwy smarkacz wyraził się w swoim czasie, że byłoby to „kapitałne” widowisko, gdyby parowiec najechał na bat rybacki. Ów chłopak miał wytworną kajutę z ciepłą i zimną wodą, a każdego ranka dziesięć minut poświęcał na zglębianie jądłospisu o złożonych brzegach. I oto ten sam chłopak — nie, jego brat, o wiele starszy — był o godzinie czwartej w chwilę mrocznego przedświtku na nogach, w ociekających, chrzęszczących buksach, kując młotkiem (dosłownie: w obronie własnego życia!) w dzwon mniejszy od dzwonu obiadowego, używanego przez stewardów... a tymczasem gdzieś nieopodal pędził jak orkan, z szybkością dwudziestu mil na godzinę, żelazny kolos mierzący trzydzieści stóp! Nade wszystko jednak gorzka była myśl, że tam w suchych, dywanami wyścielanych kajutach śpią ludzie, którzy może nigdy się nie dowiedzą, że przed śniadaniem rozbili na miążgę statek rybacki. Toteż Harvey dzwonił co sił.

— Tak, zwolnią o jeden obrót swą ohydny śrubę, ażeby być w porządku z prawem, i to będzie pociechą dla nas, gdy już znajdziemy się wszyscy na dnie! — mówił Dan dmąc z całą usilnością w rożek Manuela — Posłuchaj no jego głosu... to ci olbrzym!

— *Euuuuu — buuuu — uuup!* — bucza syrena.

— *Bim — bim — bim!* — brzęczał wciąż dzwon.

— *Tra-a-a! tra-a-a!* — brzmiał wciąż róg.



A niebo i morze były zmielone jak mąka na miazgę białej, mlecznej mgły.

Nagle Harvey poczuł, że się znajduje w pobliżu jakiegoś poruszającego się cielska — i uświadomił sobie, że spogląda coraz to wyżej i wyżej, na ociekający wodą, dziób okrętu pędzący (zda się) wprost na szoner. Przed tym dziobem zawadiacko toczył się opuszek wody, a za każdym wzniesieniem się tegoż widać było długi szereg liczb rzymskich — XV, XVI, XVII, XVIII itd. — na czerwono malowanym, połyskującym boku okrętowym. Wszystko to pędziło naprzód w ustawicznych przegibach, z sykiem, od którego z trwogi zamierało serce... — Skala cyfr już znikła — przed oczyma Harvey'a mignął rząd okrągłych okien kajut, ujętych w mosiężne futryny — na bezsilnie wzniesione ręce chłopaka zionął kłęb gorącej pary, po czym słup wrzącej wody zahuczał wzdłuż burty *We're Here*. Mały szoner zadygotał i zakołysał się gwałtownie na wzburzonej topieli rozdartej uderzeniem śruby okrętowej — jednocześnie zaś ujrano rufę liniowca ginącą już we mgle. Harvey był już przygotowany na atak choroby morskiej lub omdlenie — albo na jedno i drugie — gdy nagle doszedł go silny łoskot jakby pnia masztowego, walącego się na pokład, a w chwilę potem obilo się o jego uszy jakieś ciche, niewyraźne i odległe, jakby ze słuchawki telefonicznej wychodzące wołanie:

— Zatrzymajcie się! Zatopiliście nas!

— Czy to my? — spytał Harvey zdławionym głosem.

— Nie! to jakiś inny bat... po tamtej stronie. Dzwon co sił. Zobaczymy, co się tam stało — odpowiedział Dan, spuszczać łódź na wodę.

W pół minuty później wszyscy oprócz Harvey'a, Penna i kucharza zeszli na łódź i popłynęli na morze. W tejże chwili przed dziobem statku przemknął dryfujący złom strzaskanego fokmasztu, pochodzący najwidoczniej z jakiegoś szonera. Tuż za nim nadpłynęła pusta zielona łódź rybacka i jęła obijać się o bok *We're Here*, jak gdyby prosiła, by ją wzięto na pokład... Tuż obok łodzi ukazała się jakaś postać w błękitnym kubraku zwrócona twarzą w dół... ale były to tylko szczątki człowieka. Penn zmienił się na twarzy i rozwarł szeroko usta, wydając jakiś nieartykułowany dźwięk. Harvey tłukł w dzwon rozpaczliwie, lękając się, że lada chwila tamci mogą zatonąć... Aż podskoczył z radości, posłyszawszy wołanie Dana. Oto załoga powracała.

— To *Jennie Cushman*... — wyjaśnił Dan ze spazmem w głosie — ...rozcięta w pół...wywróciła się dnem do góry...i tak ją zmiażdżyło!... Niecałe ćwierć mili stąd... Tato wyratował staruszka. Nikt więcej nie ocalał, a... a on miał syna! Och, Harvey, Harvey, nie mogę, nie mogę myśleć o tym spokojnie! Widziałem...

Opuścił głowę i rzewnie zaszlochał. Tymczasem inni wyciągali na pokład jakiegoś siwego mężczyznę.

— Po coście mnie wyciągnęli? — jęczał przybysz. — Disko, po cóżeś mnie wyciągnął?

Diskowi głowa ciężko osunęła się na barki, bo oto nieszczęśnikowi wargi się trzęsły, a szeroko rozwarte oczy dziko spoglądały na milczącą załogę. Nagle powstał i głos zabrał Pennsylvania Pratt, który — ilekroć stryjowi Saltersowi wyleciało z pamięci jego nazwisko — nazywał się również Haskins, Rich lub M'Vitty; twarz jego z głupiej gęby prostaczka przemieniła się w oblicze sędziwego mędrca — i głosem donośnym jął przemawiać:

— Pan dał i Pan wziął; niech imię Jego będzie błogosławione! Jestem... byłem... służebnikiem Ewangelii. Zostawcie go mnie!

— Ach, to ty jesteś...? Toś ty sługą Bożym? — ozwał się ów mężczyzna. — A więc wyjednaj mi swą modlitwę powrót mego syna! Wyjednaj mi, bym odzyskał bat, co mnie kosztował dziesięć tysięcy dolarów, wyjednaj mi z powrotem tysiąc centnarów ryb! Gdybyście mnie zostawili w spokoju, moja owdowiała żona poszłaby do Provident i zarabiała na utrzymanie... i nie wiedziałaby nigdy, nigdy... A teraz będę musiał jej opowiedzieć...

— Nie ma tu co mówić — rzekł Disko — lepiej byś się trochę położył, Jazonie Olley.

Człowieka, który w przeciągu trzydziestu sekund stracił syna-jedynaka, a ponadto zysk kilkumiesięcznej pracy i środki do życia, trudno zaiste pocieszyć!

— Ludzie wszyscy byli z Gloucester, nieprawdaż? — zagadnął go Tom Platt, bawiąc się bezmyślnie linami czólnowymi.

— Och, to nie sprawia najmniejszej różnicy — odrzekł Jazon, wyzymając zmoczoną brodę.

— Chodź ze mną! Chodź na dół! — ozwał się Penn, jak gdyby miał prawo wydawać rozkazy.

Oczy ich spotkały się z sobą i przez chwilę wiodły jakby bój zawzięty.

— Nie wiem, ktoś ty, ale pójdę — rzekł Jazon pokornie. — Może odzyskam choć cząstkę... choć cząstkę... moich dziewięciu tysięcy dolarów.

Penn zaprowadził go do kajuty i zatrzasnął drzwi za sobą.

— Toć on nie Penn! — wykrzyknął stryj Salters. — To Jakub Boller... i... przypomniał sobie Johnstown! Nigdy nie widział takich oczu u nikogo z żyjących! Co teraz czynić? Co teraz pocznę?

Słysząc było głos Penna i Jazona. Potem dochodził już tylko głos samego Penna. Salters zdjął kapelusz — bo Penn odprawiał modły. W czas jakiś potem wyszedł znów po schodach na pokład i objął wzrokiem załogę — na twarz mu wystąpiły olbrzymie krople potu. Dan wciąż popłakiwał przy sterze.

— On nas nie poznaje — jęknął Salters. — I na cóż tu się zdało wszystko... te warcaby i różności?... i jak on teraz do mnie przemówi?

Penn przemówił — z głosu jego wnioskować można było, że mówi do ludzi obcych.

— Modliłem się — brzmiały jego słowa. — Nasz lud wierzy w potęgę modlitwy. Modliłem się o życie syna tego człowieka. Moi wszyscy utonęli przed moimi oczyma... i ona, i mój pierworodny... i inni. Czy człowiek ma być mędrzy od swego Stworzyciela? O ich życie nigdy się nie modliłem, lecz modliłem się za syna tego człowieka... i syn niewątpliwie do ojca powróci.

Salters — jakby się usprawiedliwiając wzrokiem — wpatrywał się w Penna, chcąc się przekonać, czy on go sobie przypomina.

— Jak długo byłem obłąkany? — zapytał nagle Penn, a usta mu się zacisnęły.

— Pst! Penn! Nigdy nie byłeś obłąkany — zaczął Salters. — Byłeś tylko trochę roztargniony.

— Widziałem, jak domy uderzały o most, zanim roznieciły się ognie. Więcej nic nie pamiętam. Jak dawno to było?

— Nie zniosę tego! Nie zniosę! — zaczął wołać Dan, a Harvey pochlipywał ze współczucia.

— Jakie pięć lat temu — odrzekł Disko drżącym głosem.

— W takim razie byłem komuś ciężarem przez wszystkie dni od owej chwili. I któż był tym człowiekiem?

Disko wskazał na Saltersa.

— Nie... nie... nie byłeś mi ciężarem! — zawołał żeglarz, składając ręce. — Zarobiłeś więcej niż w dwójnasób na swoje utrzymanie i jeszcze ci się należą pieniądze, Penn, nie licząc połowy mego partu, która należy do ciebie w zamian za pieniądze, jakieś mi dał kiedyś...

— Jesteście dobrymi ludźmi. Miarkuję to z waszych twarzy. Ale...

— Matko litościwa! — szepnął Długi Dżek — to on to był z nami na wszystkich wyprawach! Ależ on najwyraźniej jest zaczarowany.

Nieopodał rozbrzmiał dzwon, jakich używają na szonerach. Spośród mgły zawołał czyjś głos:

— Disko! Słyszałeś, co się stało z *Jennie Cushman*?

— Oni znaleźli jego syna! — krzyknął Penn. — Uciszczone i obaczone zbawienie zesłane przez Pana!

— Owszem, wyratowałem Jazona i mam go na swoim statku — odrzekł Disko, a głos mu zadrgał wzruszeniem. — Czy... nikogo poza tym nie wyratowano?

— A jakże, znaleźliśmy jednego. Najechaliśmy na niego, gdy płynął zaplątany w kupę drewna, które przedtem pewnie było galardą. Głowę ma trochę poharataną.

— A któż to?

Serca załogi *We're Here* biły tętnem jednako przyspieszonym.

— Zdaje się, że to młody Olley — wydobył się z mgły przeciągły głos.

Penn wznosił ręce i powiedział coś po niemiecku. Harvey gotów był przysiąc, że na zapatrzonej w górę twarzy tego człowieka lśniło jasne słońce. Tymczasem ów głos ciągnął dalej:

— Słuchajcie kamraty! Aleście się zeszłej nocy nieźle zabawili naszym kosztem!

— Teraz nam całkiem nie do śmiechu — zauważył Disko.

— Wiem, ale mówiąc szczerą prawdę, myśmy trochę... trochę dryfowali, gdyśmy się natknęli na młodego Olley'a.

A więc to była niepoprawna *Carrie Pitman*! Huczny śmiech, acz nie nazbyt długo-trwały, zerwał się z pokładu *We're Here*.

— Czy nie przysłalibyście nam starego? Wybieramy się na zdobycie większego zapasu przynęty... no i wędy trzeba by zapuścić. Zdaje się, że wam go nie potrzeba... a nam tu brak rąk do roboty przez to ciągle pilnowanie wijadła. My się już tu nim zaopiekujemy. On jest żonaty z ciotką mej żony.

— Mogę wam coś jeszcze podarować, co by się wam przydało na statku — rzekł Troop.

— Nie potrzeba nam niczego... chyba tylko kotwicy, która by wytrzymała. A wiecie, co? Młody Olley zaczyna się trochę niepokoić i gorączkować. Przyślijcie nam starego!

Penn obudził Jazona odrętwiałego z rozpacz. Tom Platt zaś przewiózł go na drugi okręt. Odszedł bez słowa podziękii, nie wiedząc, co go czeka. Mgła osłoniła wszystko.

— A teraz... — ozwał się Penn, czyniąc głęboki wdech, jak gdyby miał wygłosić kazanie. — A teraz...

Jego wyprężony dotychczas korpus znów zapadł w dół jak szabla wciśnięta w pochwę; oczy, rozjaśnione przed chwilą, przygasły; głos przeszedł w dawne, ciche i żalosne szeptanie...

— A teraz — mówił Pensylwania Pratt — czy myślisz, panie Salters, że jeszcze za wcześnie na partyjkę szachów?

— To samo... to samo chciałem i ja powiedzieć — zawołał Salters z ochotą. — Da-libóg, to uderzające, Penn, jak ty łatwo odgadujesz, co człek ma na myśli.

Mały człowieczek — zawstydzony i potulny — poszedł za Saltersem na przód okrętu.

— Podnosić kotwicę! Co żywo! Porzućmy te okropne wody — wrzasnął Disko.

Nigdy nie usłuchano go skwapliwiej.

— No, i cóż o tym wszystkim myślicie? — zagadnął Długi Dżek, gdy przemoknięci, oczekający wodą i oszołomieni przebijali się znów przez dokę.

— Ja sobie tak myślę — ozwał się Disko stojący przy sterze — że przez tę przygodę *Jennie Cushman* jeszcześmy dzisiaj nic nie jedli...

— On... myśmy widzieli jednego z nich, jak przepływał koło nas — zaszlochał Harvey.

— I to właśnie go poniosło, i wyrzuciło z wody jak łódkę, gdy uderzy o brzeg; poniosło go, aż sobie przypomniał Johnstown... i osobę Jakuba Bollera... i inne, tym podobne rzeczy. Pocieszenie Jazona trochę go pokrzepiło jak wyciąganie łodzi na brzeg. Potem podpórki, jako że były słabe, obsuwały się i obsuwały, a on wciąż zsuwał się w dół, aż teraz znów znalazł się w wodzie. Takie jest moje zdanie o tym.

Uznano, że Disko miał najzupełniejszą rację.

— A gdyby tak Penn uparł się pozostać Jakubem Bollerem — przemówił Długi Dżek — byłoby to dla Saltersa śmiertelne strapienie! Czy przypatrzyliście się jego twarzy, gdy Penn go zapytał, komu to on, Penn, był ciężarem przez tyle lat? — No i jakże tam, Salters?

— Zasnął... zasnął twardo... jak małe dzieciątko — odpowiedział Salters, przechodząc na palcach ku rufie. — Ma się rozumieć, nie ma tu mowy o jakimś jedzeniu, póki on się nie obudzi. Czy widzieliście kiedy taką siłę modlitwy? Wierzę, że on zawdy wypatrywał młodego Olley'a za oceanem. Jazon był strasznie dumny ze swego chłopaka, a mnie się zdaje, że wszystko, co się zdarzyło, to kara za czcze bałwochwalstwo.

— Są jeszcze inni równie zaślepieni — zauważył Disko.

— To co innego — odparł Salters żywo. — Penn niezupełnie jest przy zmysłach, a ja za jedyne swój obowiązek uważam czuwanie nad nim.

Choć głód im dokuczał setnie, czekali jednak przez trzy godziny, póki nie ukazał się Penn. Twarz miał łagodną, a z oczu wyzierało jakby przytępienie myśli. Oświadczył, iż mu się zdaje, jak gdyby coś mu się przysniło. Potem zaczął się dopytywać, czemu wszyscy milczą tak zawzięcie. Nie umieli mu na to odpowiedzieć.

Disko przez trzy lub cztery następne dni niemilosiernie pędził wszystkich do roboty. Kiedy nie mogli pływać na morze, kierował ich do szafarni, gdzie musieli nieco ciaśniej

układać okrętowe zapasy celem zrobienia miejsca na ryby. Zwarta masa pakunków ciągnęła się od przegrody kajutowej aż do drzwi za piecem na galardzie. Dysko pokazywał im, jak wielką jest sztuką układać ładunek w ten sposób, żeby okrętowi zapewnić jak największą zwinność. Cała załoga krzątała się więc żwawo i wnet odzyskano dobre humory. Harvey brał nieraz cięgi od Długiego Dżeka za to, że (jak powiadał Galwajczyk) „frasował się niby chory kocur, tym, na co nie było rady”. W tych posępnych dniach nieraz zamyślał się o tym lub owym, a potem zwierzał się Danowi ze swych myśli. Dan zgadzał się z nim w poglądach — nawet gdy chodziło o to, by prosić o pierożki, zamiast je „zahaczać”.

W tydzień później obaj chłopcy o mało co nie przewrócili *Hattie S.* szamocąc się z rekinem, którego usiłowali zakłuć starym bagnetem przywiązany do kija. Złowrogi potwór ocierał się o czołno, natarczywie dopominając się o mniejsze ryby. Cud zaiste, że wszyscy wyszli cało z tej utarczki.

W końcu, po długiej zabawie w ciuciubabkę pośród doki, nadszedł dzień, w którym Dysko krzyknął w stronę galardy:

— Raźniej, chłopcy! Jesteśmy w mieście!

## ROZDZIAŁ VIII

Do końca życia Harvey nigdy nie zdoła zapomnieć widoku, jaki wówczas ukazał się jego oczom. Słońce właśnie wynurzało się zza horyzontu, którego nie widziano niemal od tygodnia, a jego czerwonawy blask uderzył w białe żagle szonerów stojących na kotwicy i ustawionych w trzy flotylle: jedna obrócona była ku północy, druga na zachód, trzecia na południe. Było tam chyba ze sto statków najróżnorodniejszej budowy i kształtu, licząc widniejące w oddali okręt francuski o prostokątnych żaglach. Wszystkie kłaniały się sobie nawzajem, dygając jak panienki. Z każdego batu wypadały i mknęły w dal czołna rybackie niby pszczołki z rojnego ula. Gwar głosów, chrobot lin i wielokrążków, plusk wiosel — roznosiły się hen milami po rozkołysanej wodzie. W miarę jak słońce pięło się w górę, żagle grały i mieniły się barwami, przechodząc z czarnej stopniowo w perłowo-szarą, a na koniec w białą; na południu — zza mgieł — wylaniało się coraz więcej statków.

Łodzie rybackie skupiały się w gromadki, odłączały jedne od drugich, zmieniały kształt i ustawienie — i znów skądś nadpływały, zmierzając wszystkie ku jednemu celowi. Ludzie nawoływali się, pogwizdywali, śpiewali lub wydzierali się piskliwie wniebogłosy, a woda wokoło usiana była mnóstwem odpadków wyrzuconych z pokładów okrętowych.

— To miasto! — zawołał Harvey. — Tak jest, Dysko miał rację. To miasto!

— Widywałem i mniejsze miasteczka — ozwał się Dysko. — Tutaj mieszka może z tyśiąc ludzi... Dalej zaś, z tamtej strony, jest Wirginia.

Wskazał na pustą przestrzeń zielonawej toni, gdzie nie było widać czołen rybackich.

*We're Here* okrążył boczkami północną eskadrę i zarzucił kotwicę z takim wdziękiem jak jacht wyścigowy przy końcu sezonu; przez cały ten czas Dysko skinieniem ręki witał coraz to innych starych druhów. Spokojnie, milcząco pozdrawia i przepuszcza starych, wytrawnych, obytych z morzem marynarzy Flotylla z Wielkich Ławic — natomiast partacz lub niezdarą spotyka się z szyderstwem na całej linii.

— Przybywacie w samą porę na połów stynki<sup>37</sup> — zawołano z pokładu *Mary Chilton*.

— Dużoście nasolili? — zapytano z *Króla Filipa*.

— Hej, Tom Platt, przyjdiesz dzisiaj do nas na kolację? — pytała załoga statku *Henry Glay*.

Te i podobne pytania i odpowiedzi przelatywały tam i z powrotem. Ludzie ci spotykali się z sobą już poprzednio, wypływając łodziami na połów, a nie masz miejsca lepszego na pogawędkę jak rybacka flotylla. Wszyscy tu zdawali się wiedzieć o wyratowaniu Harvey'a i pytali go, czy nie okazał się darmozjadem. Młokosy przekomarzały się z Danem, który, jako że był cięty w języku, zapytywał o zdrowie, darząc ich przezwiskami, które im mało przypadły do smaku. Manuel znalazł jakiegoś rodaka, który jął z nim gwarzyć w ojczystym języku. Ba, widziano, iż nawet niezbyt rozmowny kucharz wgramolił się na

<sup>37</sup>*stynki* — Odmiana ryby zwanej *caplin*, występująca głównie koło wybrzeża Nowej Funlandii. [przypis redakcyjny]

bukszpir i krzyczał coś po galicku do jakiegoś przyjaciela, czarnego jak on. Gdy przytroczono cumę (dokoła Wirginii dno jest skaliste, a nieostrożność narazić może na przetarcie liny kotwicznej i na niebezpieczeństwo dryfu), łodzie wyruszyły w stronę rzeszy statków stojących na kotwicy o milę opodal. Szonery kołysały się i bobrowały w bezpiecznej odległości jak stare kaczki strzegące swego potomstwa, natomiast łodzie zachowywały się niesfornie jak małe kacząta.

Gdy wjechali w ów zamęt, gdzie łódka z hałasem trącała o łódkę, Harvey'owi aż uszy wiodły pod wrażeniem różnych uwag dotyczących jego wiosłowania. Dokoła niego rozbrzmiewały wszelkie narzecza amerykańskie — poczynając od Labradoru, a kończąc na Long Island — wraz z portugalszczyzną, gwarą neapolitańską, francuszczyzną, lingua franca i językiem celtyckim — wraz ze śpiewem, wrzaskiem i coraz to innymi przekleństwami — a jemu się zdawało, że to w niego godzi cały ten zgłęb. Po raz pierwszy w życiu (może poszło to z wyłącznego przez czas tak długi obcowania z załogą *We're Here*) czuł się onieśmielony wśród dziesiątków dzikich twarzy, które ukazywały się lub znikwały wraz z harcującym statkiem. Łagodna, szemrząca gładź spokojnie ponosiła rząd różnobarwnych łódek rybackich. Naraz stanęły w miejscu niby jakieś przedziwne obrzeże widnokregu, a siedzący w nich ludzie jęli wskazywać coś i nawoływać się nawzajem. W chwilę później gdzieś zniknęli — i nie było widać ani ich głów rozdziawionych, ani rąk wymachujących w powietrzu, ani obnażonych piersi... natomiast z drugą falą ukazał się rząd zgoła odmiennych paszczek — niby papierowe kukły w teatrze marionetek. Harvey wytrzeszczył oczy z podziwu.

— Ocknijże się! — huknął Dan, wymachując niewodem<sup>38</sup>. — Gdy ci powiem, że masz go zatopić, zatapiaj go natychmiast. Lada chwila mogą zaroić się stynki. Tom, gdzie się zatrzymamy?

Przepychając się i przebijając, lub też ciągnąc się, to pozdrawiając starych przyjaciół, to znów odgrzając się dawnym nieprzyjaciółom, komandor Tom Platt odprowadził swą maluchną flotyllę pod wiatr na znaczną odległość od reszty gromady. Jedna z łodzi z niezwykłą szybkością zerwała się nagle ze stanowiska wśród zaciekłych wysiłków wiosłującego w niej człowieka.

— Co się stało? — zapytał Harvey, gdy łódź migiem popędziła na południe. — Przecież ta łódź była na kotwicy?

— Juści, że była, ale lina kotwiczna trochę się chybotwała — odparł Dan, śmiejąc się. — Wieloryb ją splątał... Zapuszczaj sieć, Harvey'u! Patrz, już nadchodzi!

Morze wokół nich zmąciło się i ściemniało, następnie pomarszczyło się chmurami drobnych, srebrnych rybek; opodal na przestrzeni pięciu, sześciu akrów zaczęły wyskakiwać dorsze niby pstrągi w maju; między dorszami ukazały się trzy lub cztery czarno-szare grzbiety, przerywane częstymi wytryskami toń morską.

Wszystko, co żyło, jęło wrzeszczeć, podnosić kotwicę, cisnąć się i przepychać, by dostać się jak najprędzej w rojowisko stynek; uszkodzono sobie wzajemnie liny, wypowiedano głośno, co kto miał przeciwko swemu sąsiadowi; szorowano zaciekle niewodami po toni, rzucano przeraźliwym głosem rady i przestrogi — głębia musowała jak świeżo otwarty syfon wody sodowej; dorsze, ludzie i wieloryby: wszystko to pospołu rzucało się na nieszczęśliwą przynętę. Harvey omal nie został wtrącony w morze pławką sieci utrzymaną przez Dana. Jednakże w całym tym zamieszaniu zdołał zauważyć (i widok ten nigdy mu już nie wyszedł z pamięci) szkaradne, wpadnięte, niewielkie oko — coś jakby oko słonia widzianego w cyrku. Było to oko wieloryba, który płynął nie opodal prawie na równi z wodą i — jak to chłopiec określił — mrugał na niego. Stwierdzono, iż trzy baty uwikłały się linami w cielska tych podwodnych myśliwców i odplynęły na dobre pół mili, zanim udało się tym niezwykłym szkapom zerwać z uprzęży.

Niebawem stynki odplynęły hen w dal — a pięć minut potem nie było słyhać innych głosów, prócz pluskotu lin rybackich rzuconych w wodę, prócz trzepotania się dorszy oraz łomotania tłuczków, którymi rybacy ogłuszali zdobycz. Połów był przedziwny. Harvey wyraźnie dostrzegał dorsze migające w głębi, podpływające z wolna gromadkami i wciąż, w miarę nadpływania, biorące się na przynętę. Prawa Wielkich Ławic nie pozwalają przyczepiać więcej niż jeden hak na jedną linę, gdy czołna znajdują się koło

<sup>38</sup>niewód — rodzaj sieci rybackiej. [przypis edytorski]

„Dziewicy” lub na Wschodnich Snadziznach; jednakowoż tym razem ciżba łodzi była tak gęsta, że nawet pojedyncze haki wadziły o siebie wzajemnie, a Harvey naraził się na żywą sprzeczkę z jakimś potulnym, kudłatym Nowofundlandczykiem z jednej strony, z drugiej zaś z jakimś wrzaskliwym i wiecznie narzekającym Portugalczykiem.

Gorsze od płataniny lin rybackich było pomieszenie lin kotwicznych pod wodą. Każdy z rybaków zarzucił kotwicę w miejscu, które mu w danej chwili dogadzało, a potem dryfował i wiosłował dokoła tego punktu. Gdy napływ ryb stał się mniej wartki, każdy starał się podnieść kotwicę i popłynąć na lepsze miejsce; atoli co trzeci z rybaków przekonywał się, iż jest ściśle związany z czterema lub pięcioma sąsiadami. Przecięcie cudzej liny bywa na Ławicach poczytywane za niesłychaną zbrodnię; jednakże tego dnia właśnie zdarzyło się to — co gorsza, bez wykrycia sprawcy — jakie trzy lub cztery razy. Tom Platt przyłapał jakiegoś człeka z Maine na gorącym uczynku i tak go wałnął wiosłem, że ów aż wypadł poza dolban; podobnie Manuel przysłużył się któremuś ze swych ziomeków. Mimo wszystko, w łodzi Harvey’a, zarówno jak i w łodzi Penna liny kotwiczne uległy zerwaniu; zamieniono więc oba czółna w łodzię posiłkowe celem przewozu ryb na pokład *We’re Here* w miarę napełniania się innych łodzi. Stynki pokazały się jeszcze raz o zmierzchu i jeszcze raz powtórzyła się ta sama opętańcza wrzawa co poprzednio; o zmroku popłynęli z powrotem ku okrętowi, by zająć się patroszeniem ryb przy świetle lamp naftowych, ustawionych na krawędzi zsypu.

Stos ryb był ogromny, toteż podczas roboty oczy aż im się kleiły z senności. Naza-jutrz gromadka batów zajęła się poławianiem ryb tuż koło Przylądka Dziewicy; Harvey, znalazłszy się pomiędzy nimi, widział pod sobą nawet porosty pokrywające tę ustronną skałę, która wznosi się na wysokość dwudziestu stóp od powierzchni morza. Całe hordy dorszów snuły się tu z uroczystą powagą po kępach morszczyków. Gdy szły na przynętę, to wszystkie razem, podobnie razem porzucały jadro. Była próżniacza godzina południowa, więc łodzie zaczęły poszukiwać rozrywki. Dan zobaczył nadjeżdżającą właśnie *Hope of Prague*, toteż tak się stało, że gdy jej baty przyłączyły się do reszty towarzystwa, powitano je zapytaniem:

— Kto jest największym prostakiem w całej flotylli?

Trzysta głosów odpowiedziało wesoło:

— Nick Bra-ady!

A chór ten brzmiał niby gra organów.

— Kto pokradł knoty w lampach? — rozległ się głos Dana, na którego teraz przypadła kolej w intonowaniu.

— Nick Bra-ady! — zaśpiewano na łodziach.

— Kto pichcił słone przynęty zamiast rosołu? — zanucił tym razem jakiś nieznaną dowcipniś, oddalony o jakie ćwierć mili.

Znów rozbrzmiał wesoły chór. Prawdę mówiąc, Brady nie był bynajmniej jakimś wielkim prostakiem, niemniej jednak zażywał takiej złej sławy, z czego skwapliwie korzystała cała flotylla.

Potem na którymś batów z Truro wykryto pewnego człowieka, któremu przed sześcioma laty udowodniono, że używał na Snadziznach liny o pięciu lub sześciu haczykach. Takich zwano tu „spryciarzami”, więc też winowajcę — co rzecz oczywista — ochrzczono „Kubą-Spryciarzem”, a chociaż przez czas tak długi ukrywał się gdzieś w Georges, jednakże po powrocie przekonał się, iż nie miną go z dawna oczekiwane owacje. Niby petardy strzelały wciąż koło niego przyspiewki:

— Jim! O Jim! Jim! O — Jim! Sssspryciarz Jim!

Podobało się to wszystkim niezmiernie. A gdy następnie jakiś rymotwórca, rodem z Beverly, rozpoczął śpiewać piosenkę, którą układał przez cały dzień, a zapowiadał był od wielu tygodni — piosenka zaczynała się od słów:

A ta *Carrie Pitman* jest kiepskawa cosik.

Kotwica nie trzyma — choćby i za grosik!

— na wszystkich czółnach ludzie czuli się szczęśliwi jak w raj. Potem nie omieszka-no spytać tego człowieka z Beverly, jak się wyprawiał na groch... bo nawet i poeci muszą mieć przypiętą jakąś łatkę. Dostało się po kolei każdemu szonerowi, a nadto nieomal

każdemu z ludzi. Trafił się gdzieś kucharz brudny i niedbały — zaraz o nim i o jego gotowaniu chodziły śpiewki po czólnach. Któryś z szonerów w czymś się zbłądził — już o tym sobie opowiadano w całej flotylli. Ktoś tam buchnął koledze kapkę tytoniu — w te pędy podawano jego imię od nadburcia do nadburcia, gdy się tylko spotkało dwóch wiosłarzy. Nieomylnie sądy Diska, handlowy bat Długiego Dżeka, sprzedany przezeń przed wieloma laty, tkliwość Dana, kłopoty Penna z kotwicami, poglądy Saltersa o nawożeniu ziemi, niezbyt cnotliwe sprawy Manuela na łądzie oraz babską sprawność Harvey'a w robieniu wiosłem — wszystko to wywlekano na forum publiczne; ponieważ zaś wokoło nich obsiadła mgła ścieląca się srebrzystymi płatami<sup>39</sup> u stóp słońca, przeto głosy te brzmiały niby kapturowe wyroki wygłaszane przez trybunał niewidzialnych sędziów.

Czólna włóczyły się z miejsca na miejsce, poławiając ryby i wdając się w spory, póki morze nie zaczęło się burzyć. Wtedy usunięto się nieco w bok, w obawie o całość czólen, a ktoś zawołał, że jeżeli fala nie ustanie, to „Dziewica” zacznie „pryszcze”. Zaprzeczył temu jakiś buńczuczny Galwajczyk wraz ze swym siostrzeńcem — i podniósłszy kotwicę sunął wprost na skałę. Wiele głosów nawoływało ich do powrotu, jednakże byli i tacy, którzy ich zachęcali do tego zuchwałstwa. Giętkie, rozchwiane rolingi, mknąc ku południowi, poniosły łódź hen w mgławce obłąki i osadziły ją na złowrogiej topieli, gdzie ją krążyć wokoło kotwicy zapuszczonej parę stóp od przyczajonej rafy. Było to igranie ze śmiercią, ot, dla samej tylko brawury; z batów rybackich przez czas jakiś spoglądano na to w kłopotliwym milczeniu — aż na koniec Długi Dżek, nie mogąc dłużej tego znosić, podpłynął ku swym ziomkom i z całym spokojem przeciął im linę kotwiczną.

— Czy nie słyszycie, jak huczy? — zawołał. — Do wiosła, jeżeli chcecie zachować marne życie!

Tamci klęli i chcieli wszcząć kłótnię, ale łódź już dryfowała. Tymczasem następna rolinga nieco się wstrzymała w miejscu, jak człowiek, który potknął się na dywanie. Coś zaszlochało niby z samej głębi duszy, rozbrzmiał ryk coraz to się wzmagający — i oto „Dziewica” bluznęła ponad morskie snadzizny białym do szaleństwa, potwornym słupem spienionej wody, mającym ze dwa akry powierzchni.

Wówczas załogi wszystkich łodzi obdarzyły Długiego Dżeka gromkimi oklaskami, a Galwajczycy zamilkli jak niepyszni.

Ze strony, gdzie mgła leżała gęściej i gdzie szonery zmuszone były sygnalizować swą obecność dźwiękiem dzwonów, doszedł nagle jakiś odgłos. Z doki wynurzyła się ostrożnie barka, którą natychmiast od strony Irlandczyków przywitano krzykiem i wrzawą:

— A chodź no tu bliżej, kochasiu!

— Czy znów Francuzi?

— Gdzie masz oczy? To statek baltimorski, zawdy wystraszony i rozdygotany — odrzekł Dan. — Zaraz mu napędzimy takiego pietra, że drzeć na nim będą nawet belki i tarcice. Zdaje mi się, że jego szyper po raz pierwszy w ogóle odważył się na takie spotkanie z naszą flotyllą.

Była to czarna, niezdarne komięga, pojemności 800 ton. Grotzgiel miała podwinięty w górę, a topzgiel trzepotał bezradnie z leciuchnym wiatrem. Barka jest istotą rodzaju żeńskiego w większym stopniu niż wszystkie inne córy morza — a ta dryblasta, zakłopotana kłepa o białym i wylaczanym galionie wyglądała całkiem jak jakaś onieśmiona kobiecina, z lekką unoszącą spódnicę, ażeby wśród urągów łobuziaków przejść przez błoto uliczne. Boć jej położenie było też niemal takie samo. Wiedziała, iż znajduje się gdzieś w pobliżu „Dziewicy”, boć słyszała potężny huk kipieli; przeto pilnie rozpytywała się o drogę. Oto urywki tego, co jej odpowiadano z płasających łodzi rybackich.

— „Dziewica”? Co też wygadujecie? Toć to Le Have, a właśnie jest niedziela... Wracajcie do domu, żeby trochę wytrzeźwieć!

— Do domu, wałkonie! Do domu!

A potem, gdy rufa barki oklapła w dół wśród chrzęstu i bulgotu, ozwało się dźwięcznym chórem jakie pół tuzina głosów:

— Heeej — rób!

— W górę! W górę, jeżeli wam życie mile! Jużście na samym wierzchu!

— W dół! Na dół! A popuścić!

<sup>39</sup>ścieląca się srebrzystymi płatami — dziś: ścieląca się srebrzystymi płatami. [przypis edytorski]

— Wszyscy do pomp!

— Pchać ją w dół!

Szyper stracił już na koniec cierpliwość i powiedział parę przykrych słów. W jednej chwili, jakby na komendę, przzerwano połów, ażeby oddać pięknym za nadobne. Biedak musiał wysłuchać wielu ciekawych szczegółów dotyczących jego statku oraz najbliższego portu, do którego miał zawinąć. Pytano go, czy jest ubezpieczony, tudzież gdzie ukradł kotwicę, ponieważ jak mówiono, była ona kiedyś własnością *Carrie Pitman*: jego statek przezwano brudną krypą, pomawiano go o wyrzucanie ości i bebechów płoszących ryby itd. Jeden śmiałek podpłynął pod samą niemal krzywizną rufy, uderzył po niej dłonią i wrzasnął:

— Koziołeczku, a skiknij se!

Kucharz wysypał na niego całą miśę popiołu, ów zaś odwzajemnił się gradem dorszowych łbów. Załoga barki poczęła ciskać miał węglowy spod kuchni, a rybacy w odwecie grozili, że dostaną się na statek i poutrącają mu górne pokłady. Gdyby barka naprawdę znajdowała się w niebezpieczeństwie, rybacy nie omieszkaliby pośpieszyć jej z pomocą; jednak widząc, że od „Dziewicy” dzieli ją spora odległość, bawili się w najlepsze. Zabawa została przerwana, gdy skała znów zaczęła „gadać” — wówczas nieszczęsna barka, zebrawszy wszystkie siły ruszyła w swoją drogę. Na czólnach uważano zgodnie, że to oni wyszli honorowo z tej sprawy.

Przez całą noc „Dziewica” huczała ochrypłym głosem. Nazajutrz Harvey zobaczył na rozkołysanym biało-czubiastym morzu całą flotyllę, wyczekującą z chybocącymi się na masztach żaglami na hasło. Aż do godziny dziesiątej nie spuszczone na wodę ani jednego czółna, gdy dwaj Jerauldowie z *Day's Eye*, wyobraziwszy sobie, nie wiedzieć czemu, że już nastąpi cisza, dali innym przykład. W jednej minucie połowa batów poszła na wodę i zaczęła się kołysać na buńczucznych falach. Troop zatrzymał swą załogę na pokładzie, zatrudniwszy ją oprawianiem ryb, bo jak mówił, nie było potrzeby ryzykować. Gdy pod wieczór rozsrożyła się nawałnica, załoga *We're Here* wylawiała przemokłych przybyszów, cieszących się nawet z tego, że znaleźli jakieś takie schronienie przed burzą. Chłopcy z latarniami w ręku stali koło lin spustowych, a mężczyźni czuwali w pogotowiu, rzucając okiem na przewalającą się falę, która raz po raz zmuszała ich do przerywania wszelkich zajęć i do ubezpieczenia własnego życia. Co pewien czas dobywał się z ciemności przeraźliwy krzyk:

— Czółno! Czółno!

Wówczas zarzucali haki i wyciągali na pokład półzatopioną łódź wraz z jej przemokłym pasażerem; w końcu wszystkie pokłady były zatłoczone czólnami, a prycze roili się od ludzi. Podczas swej wachty Harvey wraz z Danem aż pięć razy wskakiwali na gąflę przytroczoną do bumu, wpijając się rękoma, nogami, ba nawet zębami w liny, reje i wilgotne płótno żaglowe — gdy ogromna fala zalewała pokłady. Jedno czółno zostało strzaskane w drobne kawałki, a morze wyrzuciło jakiegoś człowieka głową w przód na pokład okrętu, rozcinając mu czoło; o świcie, gdy rozigrane roztocza lśniły bladą barwą, wygramolił się na okręt inny jeszcze mężczyzna, zsiniały, wylękły, ze złamaną ręką, dopytując się, czy kto nie wie, co stało się z jego bratem. Przy śniadaniu siedziało siedmiu nadliczbowych stołowników; najpierw jakiś Szwed; następnie jeden z szyprów chathańskich, jakiś chłopak rodem z Hancock w Maine; dalej pewien Duksburyjczyk oraz trzech ludzi z Provincetown.

Nazajutrz dokonano w całej flotylli ogólnej wymiany ludzi, a chociaż żaden z nich nic nie mówił, to jednak wszystkim poprawiły się apetyty, gdy bat za batem odwoził na właściwy okręt uzupełnienie jego załogi. Utonęło paru Portugalczyków i jeden starszy rybak z Gloucester, ale wielu było poranionych lub potłuczonych. Dwa szonery urwały się z kotwicy i zostały zniesione na południe, skąd trzeba było zmitrężyć trzy dni żeglugi. Ponadto zmarł człowiek na jednym z okrętów francuskich — była to ta sama barka, która handlowała tytoniem z załogą *We're Here*. Przemknęła się najspokojniej w świetle pewnego wilgotnego, mglistego poranku i byle jak zwiesiwszy żagle, wjechała na depkę. Przez lunetę Dyska Harvey zobaczył ów pogrzeb polegający po prostu na zrzuceniu jakiegoś podłużnego zawiniątka w morską toń. Nie było przy tym widać żadnych modłów ani nabożeństwa, ale w nocy gdy stano na kotwicy, Harvey posłyszał coś jakby hymn rozbrzmiewający ponad czernią, przyprószoną gwiazdami, wody.



Tom Platt udał się do nich w odwiedzinę, gdyż — jak powiadał — zmarły był mu bratem jako wolnomularz. Dowiedział się, że biedak ów pchnięty rzutem fali na podstawie bukszprytu złamał sobie kręgosłup. Wiadomość o jego śmierci rozniosła się lotem błyskawicy, gdyż Francuzi, wbrew powszechnemu zwyczajowi, wystawili na licytację całą zawartość nieboszczykowego plecaka (zmarły nie miał nikogo z bliskich ani w St. Malo, ani w Miquelon) — więc też na daszku jaty kapitańskiej leżały przeróżne graty, począwszy od czerwonej, karbowanej czapeczki a skończywszy na skórzanym pasie z nożem w pochwie. Dan i Harvey, siedząc w *Hanie S.*, płynęli właśnie po dwudziestosądziowej wodzie, więc — rzecz oczywista — nie omieszkali przyłączyć się do rzeszy cisnącej się na statek. Trzeba było machać wiosłem spory szmat drogi, więc zabawili na statku tylko krótką chwilę; Dan nabył ów nóż, który miał cudaczną mosiężną rączkę. Gdy zeszli z okrętu i znów płynęli przez morskie bujowisko, przyszło im na myśl, że mogą mieć przykrości z powodu zaniedbania lin rybackich.

— Prawdę mówiąc, nie wadziłoby nam rozgrzać się trochę — mówił Dan, dygocąc z zimna wciskającego się w jego buksy. Wiosłowali więc dalej i dalej w samo jądro białej mgły, która, jak zwykle, spadła na nich bez uprzedniego ostrzeżenia.

— Mamy taką pieską pogodę, że trudno tu polegać na własnym instynkcie — rzekł Dan po chwili. — Zarzucaj kotwicę, Harvey; nałapiemy sobie trochę rybek, zanim się ta mgła podniesie. A wybierz największy olów; nawet trzy funty, to nie za wiele na taką wodę.

Dokoła dzioba łodzi trzymającego się na linie mocno naprężonej przez jeden z tych nieobliczalnych, zmiennych prądów, jakie zdarzają się na Ławicach, bulgotała z lekka woda — ale w żadnej stronie nie było widać ani koniuszka jakiegokolwiek statku! Harvey postawił kołnierz w górę i z miną strudzonego żeglarza zgarbił się ponad szpulą. Mgła nie budziła w nim obecnie najmniejszej grozy. Łowili przez czas pewien w milczeniu i przekonali się, że dorsze szły na przynętę, aż miło! Naraz Dan wyciągnął z pochwy świeżo nabyty nóż i spróbował ostrza na dolbanie.

— Ależ to cacko! — rzekł Harvey. — Jakim sposobem dostałeś go tak tanio?

— A, to wszystko przez ich katolickie przesady! — odparł Dan postukując migocącą klingą. — Oni sobie wyobrażają, że nie godzi się, jakby to powiedzieć, brać żelaza z rąk nieboszczyka. Czy widziałeś, jak te Francuzi aż się cofnęły z zaskoczenia, gdym poprosił o ten nóż?

— Ależ licytacja nie jest odbieraniem czegokolwiek nieboszczykowi. To zwykły interes.

— My wiemy, że tak jest, ale człowiekowi przesądnemu tego nie wytłumaczysz. Oto jedna z korzyści, jakie daje stały pobyt w kraju idącym z postępem.

I Dan zaczął pogwizdywać jakąś śpiewkę.

— Czemuż więc o nóż ten nie dopominał się człowiek z Eastport, któregośmy tam widzieli<sup>40</sup>? Czy Maine nie jest krainą postępową?

— Maine? Phii! Oni się albo kiepsko znają na rzeczy, albo też nie mają dość pieniędzy nawet na pomalowanie swoich własnych domów! Ten człowiek z Eastport opowiadał mi (a jemu opowiadał kapitan francuski), że ten nóż był... był użyty raz w zeszłym roku na wybrzeżu francuskim.

— Zranił człowieka? Dawaj no tłuczek! — mówiąc to, Harvey wyciągnął rybę, założył przynętę i znów zapuścił linę.

— Zabił go! Oczywiście, gdym to posłyszał, przyszła mi jeszcze większa ochota kupić ten nóż.

— Na miłość boską! O tym nie wiedziałem — rzekł Harvey, odwracając się. — Dam ci za niego dolara, gdy... gdy dostanę pensję. Wiesz co, dam ci dwa dolary.

— Naprawdę? Aż taką masz na to chętkę? — spytał Dan, rumieniąc się. — Prawdę powiedziawszy, kupiłem ten nóż dla ciebie... w prezencie, tylko ci go nie dawałem, bo nie wiedziałem, jak to przyjmiesz. On należy do ciebie i niech ci służy, Harvey, bo jesteśmy kamratami z jednej łodzi i tak dalej, i tak dalej. Bierz go na własność!

To mówiąc, zdjął ramię wraz z całym rynsztunkiem i podał go Harvey'owi.

<sup>40</sup>któregośmy tam widzieli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: którego tam widzieliśmy. [przypis edytorski]

— Ale zastanów się, Dan... ja nie widzę...

— Bierz, mówię. Mnie to niepotrzebne. Chcę, byś miał go ode mnie na pamiątkę. Pokusa była nazbyt silna, by można było jej się oprzeć.

— Złoty z ciebie człowiek, Dan — rzekł Harvey. — Zatrzymam go sobie na całe życie.

— Miło mi to usłyszeć — odrzekł Dan, śmiejąc się z zadowoleniem, a zaraz potem, chcąc zejść na inny temat, dodał: — Tak mi się zdaje, że twoja lina o coś zaczepiła.

— Zdaje mi się, że jest uszkodzona — rzekł Harvey, biorąc się do wyciągania. Zanim podniósł ją w górę, obcisnął na sobie ramię i z głęboką radością posłyszał uderzenie końca pochwyt o ławę.

— Ale też mam z tą liną utrapienie! — zawołał. — Zupełnie, jakby się znalazła na „polu poziomkowym”! Tu chyba jest tylko sam piasek, co?

Dan przechylił się i z miną znawcy pociągnął za linę.

— Tak by się zachowywała płastuga, gdyby na nią przyszły jakieś fochy. Ej, to nie „pole poziomkowe”! A rozchybotaj ją ze dwa razy. Już puszcza. Wyholujemy ją lepiej w górę, a będziemy wiedzieć na pewno.

Jęli ciągnąć razem linę, za każdym obrotem przywiązując ją do kołków. Niewidoczny ciężar wzrastał, czyniąc ruchy coraz cięższymi.

— Oho! Zdobycz! Ciągnij! — wołał Dan.

Ale to wołanie nagle ucięło się przeraźliwym, zdwojonym okrzykiem zgrozy, gdyż z głębiny wód wynurzyły się — zwłoki Francuza pochowanego przed dwoma dniami! Hak uczepił mu się pod prawą pachą i oto umrzyk, sztywny i przerażający, kołysał się na wodzie, wystając ponad nią ramionami i głową. Ręce miał przywiązane do boków — i nie miał twarzy... Chłopcy zwalili się jeden przez drugiego na dno łodzi i leżeli bezwładnie przez chwilę. Tymczasem okropna zjawa przytroczona do skróconej liny kołysała się nieopodal.

— Prąd... prąd go tu przyniósł! — ozwał się Harvey drżącymi ustami, jednocześnie po omacku szukając sprzączki pasa.

— O Boże! Ach Harvey! — jęczał Dan. — Pośpiesz się! On tu przyszedł po ten nóż. Oddaj mu go! Zdejmij pas co prędzej!

— Mnie ten pas niepotrzebny! Ja go nie potrzebuję! — krzyczał Harvey. — Nie mogę znaleźć sprzączki!

— Prędzej, Harvey! On się trzyma twojej liny!

Harvey usiadł, aby odpiąć pas, i znalazł się wprost naprzeciw głowy okolonej bujnym włosiem, ale pozbawionej twarzy.

— On jeszcze wciąż się trzyma — szepnął do Dana. Ten wydobył swój nóż i odciął linę, jednocześnie zaś Harvey cisnął pas daleko w morze. Zwłoki z pluskiem zapadły się w głębie; Dan ostrożnie podniósł się z kłęczek, a był bielszy niż otaczająca ich mgła.

— On przyszedł po ten nóż! Tak, on przyszedł po ten nóż! Widywałem wielokroć trupy ludzkie wyciągane trolą i nie bardzo mnie to wzruszało... ale ten przyszedł do nas specjalnie.

— Lepiej by było... lepiej by mi było nie brać noża od ciebie. Wtedy on by się dostał na twoją linę.

— Zdaje mi się, że byłoby to dla nas wszystko jedno. Ale, Harvey, czy widziałeś jego głowę?

— Czy widziałem? Toż ja nigdy jej nie zapomnę! Ale pomyśl no, Dan; cała rzecz nie mogła być zrobiona rozmyślnie. Wszystko należy przypisać prądowi.

— Prądowi! On sam na ten prąd się dostał, Harvey. Przecież rzucono go w morze o sześć mil na południe od flotyli, a my obecnie znajdujemy się o dwie mile od okrętu. Podobno obciążono go łańcuchem długości półtora sążnia.

— Ciekawym<sup>41</sup>, co on tym nożem zbroił... tam, na wybrzeżu francuskim?

— Coś niedobrego, to pewne. Przypuszczam, że nieborak musi go zabrać z sobą na sąd ostateczny, więc... Cóż ty robisz z rybami?

— Rzucam je w morze.

— Dlaczego? Przecież my jeść ich nie będziemy.

<sup>41</sup> *ciekawym* — forma skrócona od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

— Mniejsza o to. Musiałem patrzeć w twarz nieboszczyka, gdym zdejmował pas... Ty, jeżeli chcesz, możesz zachować swój połów; ja mego nie potrzebuję.

Dan nic nie odrzekł, lecz również rzucił swoje ryby w morze.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — mruknął w końcu. — Oddałbym całą miesięczną płacę, byleby ta mgła się podniosła. We mgle zdarzają się rzeczy, jakich się nie widuje przy jasnej pogodzie... różne okrzyki, nawoływania. Już mnie to nieco pocieszyło, że on pojawił się w taki sposób, jakeśmy go widzieli, a nie na własnych nogach. A przecież mógł przyjść i na własnych nogach.

— Nie-e, Dan! Teraz już jesteśmy akurat nad nim. Życzyłbym sobie teraz znaleźć się bezpiecznie na statku, niechby mnie tam spotkały i cięgi od stryja Saltersa.

— Oni wkrótce zaczną nas szukać. Daj no mi tę trąbkę!

To mówiąc, Dan wziął cynowy rożek używany do ogłaszania pory obiadowej; jednakże jeszcze nie rozpoczynając trąbić, odjął go od ust.

— Dalej, dalej! — zachęcał go Harvey. — Nie mam ochoty pozostawać tu przez noc całą.

— Pytanie, jak *on* na to będzie się zapatrywał. Jeden człek z dolnego wybrzeża opowiadał mi pewnego razu, że przebywał na szonerze, gdzie nie śmiano nawet trąbić na czółna, bo szyper... mówię nie o ówczesnym, ale tym, co był na pięć lat przedtem... po pijanemu zatopił chłopca przepływającego tuż obok statku; odtąd już ten chłopak zawsze pływał łódką tuż obok statku i krzychał: „Czółno! Czółno!”.

— Czółno! Czółno! — rozbrzmiało niby echo przytłumione wołanie wśród mgły. Chłopcy znów przycupnęli ze strachu, a rożek wypadł z rąk Dana.

— Śmiało! Naprzód! — zawołał Harvey. — To przecież nasz kucharz!

— Doprawdy nie wiem, dlaczego wspomniałem ci o tej głupiej historii — ozwał się Dan. — Ma się rozumieć, że to nasz doktor!

— Dan! Danny! Heej, Dan! Harve! Harvey! Heej, Harvey! Hop! hop!

— Jesteśmy tutaj! — przeciągłym głosem zawołali jednocześnie obaj chłopcy. Pomszyszeli plusk wiosel, ale nie mogli nic rozpoznać przed sobą, dopóki kucharz, błyszczący i ociekający potem, nie podpłynął wprost ku nim.

— Cóż się stało? — zapytał. — Oj, dostaniecie w skórę!

— Tego właśnie chcemy. Za to właśnie cierpimy — odrzekł Dan. — Dla nas teraz to nie ma jak w domu. Mieliśmy tu niezbyt miłe towarzystwo.

I gdy kucharz rzucił im linkę, Dan opowiedział mu całe zdarzenie.

— Tak! On przyszedł po swój nóż! — były to jedyne słowa kucharza, gdy opowieść dobiegła już końca.

Mały, lekki szoner *We're Here* nigdy nie wydawał się chłopcom tak rozkosznie przytulny i swojski, jak wtedy, gdy kucharz, urodzony i wychowany wśród mgieł, holował ich z powrotem ku niemu.

Ciepły odbłask światła, bił z kajuty, z kuchni dolatywał smakowity zapach jadła — i tak miło było słyszeć Dyska i resztę towarzyszy, całych i zdrowych, wychylających się poza parapet i obiecujących im tęgie bicie! Atoli kucharz był mistrzem sztuki strategicznej. Nie wciągnął czółen na pokład, dopóki nie opowiedział najważniejszych szczegółów całej tej historii, przy czym objając się raz po raz łodzią o rufę, nie omieszkwał wyjaśnić, że Harvey jest dobrym duchem statku zdolnym zażegnać wszelkie nieszczęście, wszelką złą wróżbę. W ten sposób chłopcy pozyskali sobie na statku sławę niemal bohaterów; zamiast wychłostać ich za sprawiony kłopot, zasypano ich mnóstwem pytań. Mały Penn wygłosił całe kazanie o niedorzeczności przesądów; jednak powszechna opinia była przeciwko niemu, a za to po stronie Długiego Dżeka, który niemal do samej północy opowiadał różne niestworzone dziwy o duchach i upiorach. Pod wrażeniem tych opowieści nikt już, oprócz stryja Saltersa i Penna, nie pisał o przesądach, gdy kucharz umocował na deszczulce zapaloną świecę, podpłomyk oraz szczyptę soli i spuścił to wszystko z rufy na wodę, by zapewnić spokój duszy Francuza, w razie gdyby jeszcze miała się tulać po świetle. Danowi przypadło zapalić świeczkę, jako że to on kupił pas zmarłego Francuza, a kucharz chrząkał i mruczał zakłęcia, dopóki tylko widać było pływający po falach płomyk świecy.

Gdy po odbytej wachcie chłopcy udawali się na spoczynek, Harvey rzekł do Dana:

— No i co...

— Phi, wydaje mi się, że jestem człowiekiem oświeconym i postępowym, ale kiedy jakiś tam zmarły matros<sup>42</sup> napędza strachu dwóm biednym chłopakom z powodu noża nabytego za trzydzieści centów, to dalibóg, gotów jestem całkowicie poddać się zdaniu kucharza. Nie dowierzam cudzoziemcom, zarówno żywym jak i umarłym.

Nazajutrz wszyscy, oprócz kucharza, wstydzieli się już po trosze owych guseł i ze zdwojoną aktywnością przystąpili do roboty, półgębkiem tylko rozmawiając z sobą.

*We're Here* szedł w zawody z *Parry Norman*, a walka ta była tak uporczywa i oczywista, że cała flotylla podzieliła się na dwa stronnictwa zakładające się z sobą o paczki tytoniu. Cała załoga harowała, to pilnując lin, to oprawiając ryby, aż ich na koniec zmorzył przy pracy twardy sen — bo praca ta trwała od świtu do późnej nocy, gdy już w ciemności nie można było niczego rozpoznać; do roboty zaprzęgnięto nawet kucharza. Harvey'a odkomenderowano do szafarni celem dostarczania soli, natomiast Dan pomagał w patroszeniu ryb. „Na szczęście” ktoś z załogi Parry Norman zwichnął sobie nogę w kostce, upadłszy na galardzie, więc załoga *We're Here* wyszła z zawodów zwycięsko. Harvey nie mógł pojąć, jakim sposobem można by jeszcze wpakować do składu choćby jedną rybę, ale Disko i Tom Platt wciąż dokładali i dokładali, przyduszając całą tę masę wielkimi kamieniami, służącymi za balast... i jakoś zawsze starczyło roboty „jeszcze na jeden dzień”.

Disko nie oznajmił im owej radosnej chwili, gdy już zużyto cały zapas soli — po prostu począł wyciągać wielki grotżagiel. Było to o dziesiątej. W południe opuszczono już śródżagiel, a podniesiono grot oraz wronkę; nadpłynęło mnóstwo łodzi rybackich, wręczając im listy z prośbą o przesłanie do domu i zazdroszcząc powodzenia. W końcu dano rozkaz opuszczenia pokładów, wciągnięto flagę po fansznurze — co jest przywilejem pierwszego statku opuszczającego Rewy — podniesiono kotwicę i okręt ruszył w drogę. Disko udawał, że pragnie usłużyć ludziom, którzy nie zdołali mu nadesłać przesyłek pocztowych, więc przewijał się z gracją pomiędzy szonerami. W rzeczywistości był to jego mały pochód triumfalny, który odbywał się już po raz piąty w ciągu ostatnich lat, świadcząc, jak wytrawnym marynarzem był stary Disko. Harmonia Dana i skrzypce Toma Platta tworzyły muzyczny akompaniament czarownej zwrotki, której nie wolno śpiewać, dopóki się nie zużyje całego zapasu soli:

Hej hej! niech jeden z drugim do domu listy kreśli!  
Już zasoliliśmy wszystko, kotwicę podnieśli! —  
Schylcie, o schylcie grotżagle — jedziem do swoich grzęd,  
Wioząc półtora tysiąca cetnarów,  
I jeszcze półtora tysiąca cetnarów,  
Kopiate półtora tysiąca cetnarów —  
Pomiędzy Queereau i Grand!

Na pokład spadły ostatnie listy owinięte dokoła kawałków węgla; ziomkowie z Gloucester wydawali głośnie zlecenia, przeznaczone dla żon, narzeczonych i dla właścicieli statku; tymczasem *We're Here* ukończył swój objazdowy koncert pośród flotylli rybackiej i wymachiwał żaglami jak człowiek dający ręką znaki pożegnania.

Harvey wkrótce doszedł do wniosku, że *We're Here*, opatrzony śródżaglami i włączający się z postoją na postój a *We're Here* mknący na skrzydłach wielkich żagli ku domowi — w kierunku południowo-zachodnim — były to dwa różne okręty. Nawet w „dziecinną” pogodę dawało się we znaki szarpanie i kopanie koła sterowego. Harvey wyczuwał, jak okrutny ciężar w ładowniach toczył się z niezmierną siłą naprzód przez morskie wały, a od patrzenia w przelewającą się smugę belkocących rozbryzgów chłopcu aż mąciło się w głowie.

Disko wciąż ich zatrudniał przy manipulowaniu koło żagli; gdy spłaszczyły się jak w jachcie wyścigowym, Dan musiał czuwać nad wielkim topżaglem. W chwilach wolnych udawano się do pomp, gdyż z beczek z rybami sączyła się słona woda. W każdym razie jednak, ponieważ nie zajmowano się połowem, Harvey miał czas przyglądać się morzu z innego punktu widzenia. Niski, przysadzisty szoner żył (łatwo zgadnąć) w najlepszych

<sup>42</sup>matros (z ros.) — marynarz. [przypis edytorski]

stosunkach ze swym otoczeniem. Widać z niego było tylko mały skrawek horyzontu, chyba że statek dostał się na falę. Zazwyczaj rozpierał się łokciami, wiercił się niespokojnie i jakoś tam sobie torował drogę — wprost przed siebie, poprzez szare, szaro-błękitne lub czarne wąwozy, przetykane raz po raz w poprzek smugami bryzgającej piany; to znów ocierał się pieszczotliwie o bok jakiejś wielgaśnej góry wodnej — rzekłbyś, że się odzywał: „Prawda, że nie chcesz zrobić mi nic złego? Jestem przecie tylko mały *We're Here*”. Potem pomykał dalej, chichocząc z cicha sam do siebie, dopóki nie zetknął się z nową przeszkodą. Nawet najgłupszy człowiek, przyglądając się temu wszystkiemu godziną za godziną przez tyle dni, byłby na koniec pojął, co tu się święci. Harvey, który bynajmniej nie był głupi, zaczął rozumieć i rozradowaną duszą ogarniać gwar wierzchołów fal przewalających się z nieustającym trzaskiem — przeloty wiatrów hulających pośród pustoszy i zganiających purpurowo-sine cienie obłoków — wspaniałe rozbiegi rumianego, wschodzącego słońca — skłębianie się i przegony mgieł porannych, rozciągniętych niby szereg ścian w poprzek białych pawimentów roztoczy — szklisty połysk i poblask księżycy — pocałunki dżdżu syjące się na przestrzeni wielu tysięcy martwych, równinnych mil kwadratowych — zapadanie chłodnych zmroków ponad wszystkim o porze wieczornej i miliony zmarszczek na wodzie oblanej księżycową poświatą, gdy bukszpir, niby ożóg w zarzewiu, grzebał poważnie w pyłe nisko świecących gwiazd, a Harvey udawał się do kucharza, by wyłudzić od niego kawał orzechowego placka.

Największa jednak uciecha bywała wtedy, gdy obu chłopców razem usadowiono za sterem, nieopodal Toma Platta — iż dość było nań krzyknąć w razie potrzeby. Statek wtedy skręcał się lewą burzą w dół, ku huczącym błękitom, a ponad wijadłem rozwieszała się nieprzerwanie mała tęcza. Wtedy szczęki bumów z płaczem krzywiły się w stronę masztów, trzeszczały liny żaglowe, a same żagle napelniały się hukiem, gdy zaś statek zapadł się w dół, pociesznie było patrzeć, jak drobnił kroczkiem niby damulka zaplątana we własną jedwabną suknię i wreszcie jakoś się wydostał — z kliwrem zmoczonym do połowy wysokości, utyskując boleściwie i wytrzeszczając ślipia w stronę wyniosłych, bliźniaczych światelek na Thatcher's Island.

Porzucili już chłodną szarzyznę morza rozlewającego się nad Ławicami; zobaczyli niezgrabne okręty z Quebec, zatrudnione koło cieśniny św. Wawrzyńca, brygi hiszpańskie i sycylijskie, używane do przewozu soli; natknęli się na przyjazny wiatr północno-wschodni, ciągnący z Ławicy Artimon, który gnał ich nieopodal wschodniej blizy Wyspy Sobolej (jej widok nie zwrócił na siebie uwagi Dyska), aż osadził ich poza Western i Le Have, na północnym rąbku Georges. Odtąd już wydostali się na głębszą wodę.

— Hattie już tam skubie węzełek — zwierzał się Dan Harvey'owi. — Hattie i ja. W przyszłą niedzielę będziesz musiał sobie wynająć chłopaka, co by ci pluskał wodą w szyby, ażebyś mógł zasnąć. Chyba pozostaniesz z nami, dopóki nie przyjedzie twoja rodzina. Czy wiesz, co najbardziej nas cieszy, kiedy dostaniemy się znów na ląd?

— Może ciepła kąpiel? — zapytał Harvey, który miał brwi ubielone od zaschniętej piany.

— Dobrze to, ale jeszcze lepszą rzeczą jest nocna koszula. Od czasu gdyśmy rozwinęły grotzagieli, wciąż marzę o nocnych koszulach. Chciałby mieć taką nowiusieńką, mięciusięnką, wypraną. Jużemy w domu, Harvey, jużemy w domu! Można to już wyczuć w powietrzu. Teraz wplywamy w cypelek ciepłego nurtu, czuję już zapach jagód laurowych. Ciekawym, czy już nas zawołają na kolację. Ster lekko na bakier!

Chybotliwe żagle obwisły i wymykały się w zgęstniałym powietrzu; głębina, błękitna i gnuśna, wygładzała się wokoło. Gdy w żaglach coś zaszeleściło, jakby zanosilo się na wiatr, nadciągał jedynie deszcz bulgocący i dudniący po morzu i pokładzie, a za deszczem grzmot i błyskawica późnosiępniowej burzy. Załoga, bosa i z obnażonymi ramionami wylegiwała się na pokładzie, opowiadając sobie wzajemnie, co zadysponuje na pierwszy obiad na lądzie; albowiem ląd było już widać całkiem wyraźnie. Mijał ich w dryfach bat z Gloucester używany do połowu ryb-mieczników; w niewielkiej ławeczce pulpitowej, tuż przy bukszprycie, siedział wymachując harpunem jakiś człeczyna, którego odsłonięta głowa poznaczona była słoną wodą morską.

— Wszystko w porządku! — oznajmił radośnie, głosem przeciągłym, jak gdyby odprawiał wartę na wielkim liniowcu. — Wouverman czeka na ciebie, Dysko. Cóż tam nowego w maszoperiach?

Disko coś tam mu odkrzyknął i pomknął dalej. Tymczasem nad głową już wisiała sroga burza letnia, a od strony przylądka naraz z czterech stron zamigotała błyskawica; w jej świetle uwydatniał się krąg niskich wzgórków dokoła gloucesterskiej przystani, Ten Pound Island (Wyspa Dziesięciu Stawów), hale rybne z łamaną linią dachów, niemniej jak i każda reja, każdy maszt, każda boja — niby jakieś oślepiające migawki fotograficzne, pojawiające się i znikające po dwanaście razy na minutę — gdy tymczasem *We're Here* przeczolgiwał się przez wzburzone morze, krając na pół bałwany, a zostawiając za sobą jęki i zawrota. Następnie burza zaczęła konać w długich, oderwanych, złośliwych miotach niebieskawego płomienia, po których następowały pojedyncze huk, podobne hukom baterii mózdzierzowej — a wstrząśnięte powietrze podzwaniało jeszcze przez czas jakiś pod stropem gwiaździstym, póki nie powróciło znów do poprzedniej ciszy.

— Bandera! Bandera! — ozwał się Disko posępnie, wskazując w górę.

— A cóż takiego? — spytał Długi Dżek.

— Otto!... Spuść do połowy masztu. Teraz już jesteśmy widoczni z brzegu.

— O mało co nie zapomniałem o nim... On chyba nie miał nikogo w Gloucester?

— Owszem... miał dziewczynę, z którą właśnie zamierzał brać ślub.

— Zlituj się nad nią, Panno Święta! — ozwał się Długi Dżek i zniżył banderę do połowy masztu, ażeby uczcić pamięć Ottona, który przed trzema miesiącami, gdy minęli Le Have, zmieciony został falą w morze.

Disko otarł łezkę z oczu i wydając szeptem rozkazy, poprowadził *We're Here* do nabrzeża Wouvermana; raz wraz wymijał małe parowczyki zakotwione na łańcuchach, a stróże nocni nawoływali go z cyplów grobel czarnych jak atrament. Poprzez całą tę ciemność i tajemniczość pochodów Harvey wyczuwał ład, znów mu tak bliski, pełen tysięcy uspijonych ludzi, wyczuwał zapach gleby rozmięklej po deszczu i tak mu dobrze znany hałas manewrującego parowozu, który pokrząkiwał i sapał na bocznych torach; wszystko to wywoływało żywsze bicie serca w chłopcu stojącym przy głowicy statku oraz dziwną jakąś suchość w gardle. Oto słycać było chrapanie wartownika kotwicznego na wetkniętym w pochwę ciemności statku światłowym, po którego obydwu bokach migotała latarnia. Ktoś przebudził się z głośnym pochrząkiwaniem, rzucił im linę; tak przybili do cichego nabrzeża, okolonego wielkimi hałami o żelaznych dachach i ciepłych, choć pustych, wnętrzach — i spoczęli tam niemal bez szelestu.

Wówczas Harvey, usiadłszy za kółem sterowym, zaczął szlochać i szlochać, jakby mu serce miało pęknąć. Jakaś wysoka kobieta, która dotąd siedziała na platformie wagi, weszła na pokład szonera i ucałowała Dana w policzek; była to jego matka, która przybyła tutaj, dostrzegłszy *We're Here* przy świetle błyskawic. Na Harvey'a nie zwracała uwagi, dopóki nieco nie przyszedł do siebie — wówczas Disko opowiedział jej całą historię chłopaka. Następnie gdy już świtało na niebie, udali się razem do domu Diska, a dopóki nie otwarto urzędu telegraficznego i dopóki nie można było nadać depechy do rodziny, Harvey Cheyne był bodajże najbardziej osamotnionym chłopcem w całej Ameryce. Rzecz dziwna, że Disko i Dan wcale się nie gorszyli jego płaczem.

Wouverman nie był przygotowany na ceny podane mu przez Diska; wobec czego Disko — pewny, że upłynie co najmniej tydzień do czasu następnego statku — dał mu parę dni na strawienie tej pigułki. Przeto cała załoga hulala sobie po ulicach, a Długi Dżek zatrzymywał tramwaj idący do Rocky Neck — dla zasady, jak mówił — dopóki konduktor nie pozwolił mu na wolny przejazd. Ale Dan z niewiadomej przyczyny zaczął hardo zadzierać swego piegowatego nosa, stał się dziwnie tajemniczy i jął z góry spoglądać na swą rodzinę.

— Zobaczysz, Dan, że wezmę się ostro do ciebie, kiedy mi będziesz nadal postępował w ten sposób — ozwał się Troop w zamyśleniu. — Od czasu jak dostaliśmy się na ład, stałeś się całkiem nieznośny.

— Ja byłbym mu się od razu dobrał do skóry, gdyby on był moim synem! — oświadczył cierpko stryj Salters, który wraz z Pennem stołował się u Troopów.

— Oho! — odrzekł Dan, czyniąc swą harmonią hałas po całym podwórku i gotów skoczyć każdej chwili za płot, w razie zbliżania się wroga. — Tato, twoje rachuby są bardzo szacowne, ale pamiętaj, że cię kiedyś ostrzegałem! Tak, przestrzegałem cię... ja z krwi twojej i kości! Jeśli się omyliłeś, to nie *moja* w tym wina... A co się ciebie tyczy,

stryju Salters, to główny podczaszy faraona niczym był w porównaniu z tobą! Uważaj i czekaj! Będziesz zagrzebany jak twoja własna koniczyna, której używasz za nawóz zielony, natomiast ja, Dan Troop, będę rozkwitał jak zielony krzew laurowy, ponieważ ja jeden nie dałem się oszukać!

Disko w całym blasku łądowej powagi, obuty w przepiękne pantofle, kurzył właśnie fajkę.

— Widzę, że zaczynasz bzikować jak ten biedny Harve. Obaj ciągle macie w głowie śmieszki, szczypanie się i kopanie pod stołem, że w domu teraz nie ma ni spokojnej chwili! — burknął na syna.

Pewnego dnia wybrali się we dwójkę — on i Harvey — tramwajem do East Gloucester, gdzie pobrnęli przez chaszczce laurowe aż do latarni morskiej; tam ułożyli się na wielkich czerwonych głazach granitowych i śmiali się do rozpuku... Oto Harvey pokazał Danowi jakiś telegram — i obaj dali sobie słowo, że będą milczeli, dopóki bomba nie wybuchnie.

— Rodzina Harvey'a? — ozwał się po wieczery Dan, nie okazując na twarzy żadnego zakłopotania. — No, wydaje mi się, że oni nie bardzo się przejmują tym wszystkim, inaczej mielibyśmy już od nich jakąkolwiek wiadomość. Jego ojciec ma coś jakby sklep na dalekim Zachodzie. Może dostaniesz od niego, tatko, jakie pięć dolarów.

— Co ci mówiłem! — wtrącił się Salters. — Nie pleć, co ci ślina na język przyniesie!

## ROZDZIAŁ IX

Mimo wszelkich osobistych zmartwień multimilioner — podobnie jak i inni ludzie — musi wciąż pilnować swoich interesów. Harvey Cheyne senior był zmuszony z końcem czerwca wyjechać na wschód, ażeby spotkać się z kobietą zlaną na duchu, prawie odchodzącą od zmysłów, która dniem i nocą śniła o swoim synu, utopionym w szarej głębinie morskiej. Mąż otoczył ją doktorami, sprowadzał pielęgniarki, masażystki, a nawet magnetyzerki i znachorki — wszystko to jednak na nic się nie zdało. Pani Cheyne leżała cicho, jedynie czasem wzdychając, lub całymi godzinami opowiadała każdemu, kto miał chęć słuchać, o swoim synu. Nadziei nie miała żadnej — bo i któż mógł tchnąć nadzieję w serce nieszczęsnej matki! Jedyną rzeczą, jakiej pragnęła, było upewnienie się, że utonięcie odbywa się bez bólu; przeto mąż czuwał nad nią, by przypadkiem nie chciała tego wypróbować. O własnej swej zgryzocie mówił niewiele i ledwie że uświadamiał sobie jej głębię, aż pewnego dnia przyłapał się na zapytaniu zwróconym do kalendarza stojącego na biurku.

— I na cóż się zda cała ta moja praca?

Zawsze dotychczas w głębi jego duszy tliła się błoga myśl, że pewnego dnia, gdy już się upora ze wszystkim i gdy chłopak skończy uniwersytet, wówczas on swojego syna przycisnie do serca i wprowadzi w swe interesy. Wówczas chłopak — rozumował sobie Cheyne wzorem wiecznie zapracowanych ojczulków — stanie się od razu jego towarzyszem, współnikiem i sprzymierzeńcem; nastaną lata wspaniałych, wielkich czynów, dokonywanych wspólnie... przy czym starsza, doświadczona głowa ojcowska będzie hamowała zapędy młodocianego zapału... A oto teraz jego chłopak był nieżywy — zginął na morzu jak jakiś szwedzki marynarz z jednego z wielkich okrętów używanych do transportu herbaty; jego żona, matka chłopaka konała z bólu albo i na sroższą wystawiona była dołą; on sam, Harvey Cheyne senior, był wprost stratowany przez zastępy kobiet, lekarzy, służących i pielęgniarek — zgnębiony niemal ponad wszelką wytrzymałość wybuchami i ciągłymi odmianami żalonych, nieutulonych szlochów swej żony — pozbawiony nadziei oraz odwagi na wypadek spotkania się z licznymi swymi nieprzyjaciółmi.

Zabrał żonę do nowo wybudowanego, jeszcze niewykończonego pałacu, gdzie ona wraz ze swym orszakiem zajęła luksusowe pomieszczenia, on zaś osiadł w pokoju werandowym i pracował z dnia na dzień, przy boku swym mając jedynie sekretarza i stenotypistkę, która była również telegrafistką. Właśnie wywiązała się walka pomiędzy czterema kolejami zachodnimi, w których, jak przypuszczano, Cheyne miał poważniejsze udziały; w jego składowniach budulca w Oregonie wybuchł złowrogi strajk, a prawodawstwo stanu Kalifornia, które organizatorów strajku nie darzyło sympatią, zamierzało otwarcie wystąpić przeciwko właścicielowi składowni.

W zwykłych warunkach przyjąłby walkę jeszcze przed jej wypowiedzeniem, podejmując miłą mu i pozbawioną skrupułów kampanię. Teraz jednak siedział osowiały, opuszczywszy miękki, czarny kapelusz prawie na czubek nosa, skurczywszy pałąkowato swój olbrzymi korpus, opatulony w wygodne, obszerne ubranie, przypatrując się bądź noskom swych butów, bądź też chińskim dżonkom w zatoce i przytakując w roztargnieniu wszystkim zapytaniom sekretarza otwierającego pocztę z ubiegłej soboty.

Zastanawiał się nad tym, czy warto by rzucić to wszystko i puścić się gdzieś w świat. Był wszak ubezpieczony na ogromne sumy, stać go było na królewskie rozrywki, zaś pomiędzy jedną z jego posiadłości w Kolorado a małym gronem towarzyskim (to by się żonie przydało!) dajmy na to w Waszyngtonie i na Wyspach Południowo-Karolińskich można by zapomnieć o nieziszczonych planach... Z drugiej strony jednak...

Stukot maszyny do pisania nagle ucichł; dziewczyna spojrzała na sekretarza, który pobladał jak ściana.

Oto jak brzmiał — wręczony przezeń Cheyne'owi — telegram z San Francisco:

Wyratowany przez statek rybacki We're Here spadł z okrętu podczas wielkiego połowu na Ławicach żyw zdrów przebywa Gloucester, Mass<sup>43</sup>.  
Przysłać Diskowi Troop pieniądze lub polecenia depešzować co czynić i jak się ma mamusia. Harvey H. Cheyne.

Ojciec wypuścił z rąk depešę, oparł głowę na pulpicie zamkniętego biurka i dyszał ciężko. Sekretarz pobiegł po lekarza, który leczył panią Cheyne. Ten nadbiegłszy zastał pana Cheyne przechadzającego się tam i z powrotem po pokoju.

— Co... co pan o tym myśli? Czy to możliwe? Czy to ma jakikolwiek sens? Nie mogę z tego nic zrozumieć — wołał Cheyne.

— Ale ja rozumiem — odrzekł doktor. — Tracę 7000 dolarów pensji... to wszystko.

Pomyślał o uciążliwej praktyce lekarskiej w Nowym Jorku, którą porzucił na stanowcze zlecenie Cheyne'a, więc też nic dziwnego, że zwracając telegram, westchnął głęboko...

— Pan sądzi, że mogę opowiedzieć o tym żonie? A nuż to jakieś oszustwo?

— Co by komu zależało? — odpowiedział doktor chłodno. — Rzecz wykryłaby się z łatwością. Nie mam wątpliwości, że telegram został wysłany przez pańskiego syna.

W tej chwili weszła do pokoju służąca, Francuzka, pewna siebie, jak osoba niezbędnie potrzebna, która godzi się na służbę tylko za wysokim wynagrodzeniem.

— Pani Cheyne mówi, że pan musi zaraz przyjść. Myśli, że pan jest chory.

Pan trzydziestu milionów dolarów pochylił głowę potulnie i poszedł za Zuzanną. Znad górnej poręczy w wielkiej, prostokątnej, jasnym drewnem wykładanej klatce schodowej rozległ się donośny, przenikliwy głos:

— Co tam? Co się stało?

Żadne drzwi nie zdołały zagłuszyć przeraźliwego okrzyku, który echem rozniósł się po całym domu w chwilę później, gdy pan Cheyne zakomunikował nowinę swej małżonce.

— Wszystko w porządku — ozwał się doktor pogodnie do stenotypistki. — Ze wszystkich orzeczeń lekarskich, jakie spotyka się w powieściach, prawdziwym jest bodaj tylko to jedno, że radość nie zabija... prawda, panno Kinzey?

— Wiem o tym; ale najpierw trzeba będzie jeszcze załatwić moc spraw.

Panna Kinzey, rodem z Milwaukee, była w rozmowie nieco bezpośrednia, a że jej sympatia zwracała się w stronę sekretarza, więc odgadła, że będzie coś do roboty. Sekretarz z powagą przyglądał się olbrzymiej mapie Ameryki wiszącej na ścianie.

— Panie Milson, jedziemy zaraz najkrótszą drogą. Wagon prywatny... wprost... na Boston. Proszę wyszukać połączenie.

— Właśnie o tym myślałem.

Sekretarz zwrócił się do maszynistki i oczy ich się spotkały (z tego wyrosła później nowa powieść niemająca wszakże związku z niniejszą). Spojrzała wzrokiem badawczym, nie dowierzając jego pomysłowości. On dał jej znak, by zasiadła do Morse'a — podobnie jak generał posyła brygady na teren działań wojennych. Potem gestem, jaki spotyka się u muzyków, rozgarnął włosy, spojrział w sufit i zabrał się do pracy... a tymczasem białe paluszki panny Kinzey wprawiały w ruch cały amerykański kontynent.

<sup>43</sup>Mass. — Stan Massachusetts. [przypis redakcyjny]



— *K. H. Wade Los Angeles* — „Konstancja” jest w Los Angeles, prawda, panno Kinzey?

— Tak! — potwierdziła panna Kinzey skinąwszy głową, nie przerywając wszakże swego turkotliwego zajęcia. Sekretarz spojrział na zegarek.

— Czy już gotowe? *Przystać tutaj prywatny wagon „Konstancję”, urządzić specjalnie do wyjazdu stąd w niedzielę, żeby mieć czas na połączenie ze specjalnym pociągiem nowojorskim w Chicago, przyszły wtorek.*

Stuk! stuk! stuk! stuk!

— Czy pan nie może znaleźć lepszego połączenia?

— Niestety nie. Jazda stąd do Chicago zabierze im sześć godzin. Jadąc ku wschodowi nic by nie zyskali. Gotowe? *Również umówić się z kolejami na północy, ażeby można było wziąć „Konstancję” na linię Nowy Jork Centralny — Hudson River — Buffalo do Albany, następnie zaś na linię Albany — Boston aż do samego Bostonu. Muszę koniecznie dojechać do Bostonu w czwartek wieczorem. Chyba że zaistnieją przeszkody. Telegrafowałem również do Canniffa, Tonceya i Barnesa.* — A teraz podpis: *Cheyne.*

Panna Kinzey skinęła głową, a sekretarz mówił dalej:

— I znowu... oczywiście, Canniff, Toncey i Barnes. Już pani gotowa? *Canniff, Chicago. Proszę doczepić mój prywatny wagon „Konstancja” z Santa Fe w przyszły wtorek po południu do specjalnego pociągu nowojorskiego, a w Buffalo podać go N.Y.C. celem odstawienia do Albany.* — Czy pani była kiedyś w Nowym Jorku, panno Kinzey? Wybierzemy się tam w przyszłości. Już pani gotowa? *Proszę zabrać wagon z Buffalo do Albany specjalnym pociągiem we wtorek po południu.* — To dla Tonceya.

— Wprawdzie nie byłam w Nowym Jorku, ale takie rzeczy wiem! — potrząsnęła główką panna Kinzey.

— Przepraszam. Teraz *Barnes, Boston-Albany*, te same zlecenia od Albany do Bostonu. Wyjazd trzecia pięć po południu (tego w depeszy nie potrzeba zaznaczać) przyjazd dziewiąta pięć we czwartek. To wszystko jest najzupełniej identyczne z tym, co załatwił Wade, ale warto trochę rozruszać dyrektorów.

— Wspaniale! — ozwała się panna Kinzey z wyrazem podziwu na twarzy. Oto był mężczyzna, jakiego rozumiała i ceniła!

— Nieźle! — sprostował skromnie Milson. — Gdyby to był kto inny na moim miejscu, straciłby trzydzieści godzin jazdy na darmo, przez cały tydzień zajmowałby się wyszukiwaniem połączeń, zamiast wyprawić go do Santa Fe, skąd już prosta droga do Chicago.

— Ale zwracam pańską uwagę na ten specjalny pociąg nowojorski. Sam Chauncey Depew nie mógł przyczepić swego wagonu do tego pociągu — nadmieniła panna Kinzey, nieco trzeźwiej spoglądając na całą sprawę.

— Prawda, ale tym razem nie jest to Chauncey. To Cheyne... błyskawica... Już zrobione.

— Ma pan zupełną słuszość. Ale zdaje się, że powinniśmy raczej wysłać depeszę do młodego Harvey’a. O tym jakoś pan zapomniał.

— Zaraz zapytam.

Gdy wracał z instrukcją starego Cheyne’a, polecającą Harvey’owi spotkanie z rodzicami w Bostonie o oznaczonej godzinie, zastał pannę Kinzey zanoszącą się od śmiechu nad klawiszami maszyny. Roześmiał się i Milson, gdyż zapamiętałe postukiwania z Los Angeles miały treść następującą:

— *Chemy wiedzieć czemu — czemu — czemu? Rozszerza się powszechny niepokój.*

W dziesięć minut później Chicago napastowało pannę Kinzey następującymi słowami: *Jeżeli dojrzewa już zbrodnia naszego wieku, bądź pan łaskaw zawczasu przestrzec swych przyjaciół itd.*

A oto treść depeszy z Topeki (nawet sam Milson nie mógł odgadnąć, o co w niej chodziło).

— *Nie strzelaj pułkowniku, poddajemy się.*

Cheyne, gdy położono przed nim telegramy, uśmiechnął się złośliwie z popłochu swych przyjaciół:

— Oni myślą, że wstąpiliśmy na drogę wojenną. Oznajmij im pan, panie Milson, że nie czujemy się obecnie wojowniczo usposobieni. Wyjaśnij, w jakim celu wyjeżdżamy.

Przypuszczam, iż byłoby dobrze, żebyście oboje, pan i panna Kinzey, mogli pojechać z nami, choć nie wydaje mi się, bym miał jaką sprawę do załatwienia po drodze. Powiedz im pan prawdę... przynajmniej raz.

Tak więc posłano komunikat o istotnej przyczynie całego zamieszania. Panna Kinzey postukiwała z rozczuleniem, gdy sekretarz dodawał godne pamięci zdanie: „*Zostawcie nas w spokoju*” — a w chwilę później w biurach oddalonych o dwa tysiące mil swobodnie odetchnęli przedstawiciele różnych kolejowych interesów, wartych sześćdziesiąt trzy miliony dolarów. Cheyne leciał w świat na spotkanie swego jedynaka tak cudownie odzyskanego... Niedźwiedź poszukiwał nie ryczących bawołów, lecz swojego szczenięcia. Ludzie, którzy dobyli nożów, by walczyć o swoje życie finansowe, odrzucili teraz broń i życzyli mu szczęśliwej drogi, a sześć paniką przejętych przedsiębiorstw podniosło znów głowy do góry i poczęło mówić o niezwykłych dziwach, jakie mogłyby się zdarzyć, gdyby Cheyne nie zakopał w ziemi swego topora.

Telegraficzne urzędy miały wiele roboty. Skoro powszechny niepokój został już zażegnany, różni ludzie i miasta poczęli na wyścigi ofiarować Cheynowi swe usługi. Los Angeles podawało wieść do San Diego i Barstow, że maszyniści południowokaliifornijscy winni być powiadomieni i każdej chwili stać w pogotowiu w swych ustronnych budkach kolejowych; Barstow przesłał wieść nad Atlantyk i Pacyfik; Albuquerque zaś rozpowszechniło ją poprzez Atchison, Topeka i Santa Fe aż do samego Chicago. Miano „wyekspediować” maszynę, kombinowany wagon z obsługą oraz wielki, połączony wagon prywatny, zwany „Konstancją”, na ową przestrzeń dwóch tysięcy trzystu pięćdziesięciu mil; przejazd tego pociągu pociągnie za sobą sto siedemdziesiąt siedem zmian w planie jazdy; potrzeba będzie szesnastu lokomotyw, szesnastu maszynistów, szesnastu palaczy — i to co najcięższych. Na zmianę maszyny pozostawia się tylko po dwie minuty, trzy minuty na zabranie wody, a dwie na zaopatrzenie się w węgiel.

— Ostrzec ludzi, żeby zbiorniki wody i krany były w porządku, bo Harvey Cheyne się śpieszy... śpieszy... śpieszy — śpiewały druty telegraficzne. — Trzeba oczekiwać czterdziestu mil na godzinę<sup>44</sup>, a naczelnicy dystansów będą towarzyszyć temu pociągowi specjalnemu na przestrzeni swoich odcinków. Od San Diego aż do Chicago wszędzie winien być rozłożony kobierzec czarnoksięski. Śpieszyć się! Śpieszyć się!

— Będzie gorąco — mówił Cheyne, gdy w niedzielę o świcie wyruszali z San Diego. — Będziemy się śpieszyć, mamusiu, ile tylko można, jednakże sądzę, że niepotrzebnie już teraz wkładasz kapelusz i rękawiczki. Lepiej połóż się i zażyj lekarstwo. Zagrałbym z tobą w domino, ale dziś niedziela.

— Będę już grzeczna! Tak, chcę być grzeczna. Tylko... zdjęcie kapelusza zaraz wywołuje we mnie wrażenie, jak gdybyśmy nigdy nie mieli zjechać na miejsce.

— Spróbuj się trochę zdrzemnąć, mamusiu, a nim się spostrzeżesz, znajdziemy się już w Chicago.

— Ależ mamy jechać do Bostonu! Powiedz im, tatusiu, żeby się śpieszyli.

Potężne, sześciostopowe maszyny-smoki pędziły z łoskotem do San Bernardino i pustkowie Mohave, ale na tej przestrzeni jeszcze nie mogły ujawnić całej szybkości swego pędu — miało to przyjść dopiero później. Po skwarze górskim nastąpił skwar pustyni, gdy skręcili na wschód w stronę Needles i Kolorado. Wagon aż trzeszczał od suchości powietrza i spiekoty. Szyję pani Cheyne musiano okładać lodem. Tak minąwszy wiele, wiele stopni długości geograficznej poprzez Ash Fork, w stronę Flagstaff, gdzie znajdują się lasy i kamieniołomy, dostali się pod niebo jakby zastygłe i nie tak duszne. Wskazówka szybkościomierza migotała i chwiała się to w jedną, to w drugą stronę; na dachu osadzał się popiół i sadze, a kłęb kurzawy snuł się poza rozpędzonymi kołami. Obsada wagonu kombinowanego, pozdejmowawszy marynarki, siedziała na ławkach, sapiąc z gorąca. Cheyne zaszedł pomiędzy nich i gromkim głosem, jakby chciał przekrzyknąć hurkot wagonu, jął opowiadać stare, stareńkie anegdoty kolejowe, znane dobrze każdemu, kto jeździł koleją. Opowiadał im też o swoim synu i o tym, jak to morze zrezygnowało ze śmierci chłopaka; kiwano głowami, spluwano i cieszone się wraz z nim. Dopytywano się też, czy pociąg mógłby się zatrzymać, gdyby maszynista „trochę go puścił”. Cheyne uznał,

<sup>44</sup>czterdziestu mil na godzinę — mila ang. to prawie 2 km. [przypis redakcyjny]

że byłoby to możliwe. W myśl tego wielki koń ognisty został „puszczony” z Flagstaff do Winslow, dopóki naczelnik dystansu nie zaczął protestować.

Tymczasem pani Cheyne — leżąc w buduaraku, gdzie panna Francuzka, blada ze strachu, kurczowo trzymała się srebrnej klamki — wciąż tylko wzdychała cichutko i prosiła męża, by nakazał pośpiech. Tak pozostawili za sobą suche wydmy piaskowe i oblane księżycem skały Arizony i wciąż gnali przed siebie, póki chrzęst buforów i zgrzyt hamulców nie oznajmił im, że znajdują się w Coolidge, koło kontynentalnego działu wód.

Trzej śmiali i doświadczeni ludzie — zrazu chłodni, pogodni i mający suchą odzież na sobie, a spoceni, wybladli i roztrzęsieni, gdy już zaprzestali gonitwy na tych okropnych kołach — przeprowadzili pociąg z Albuquerque do Glorietty, następnie poza Springerhen w górę do tunelu Raton na linii państwowej, stąd zaś, chybotając się, opuścili się na La Junta, przelotnie rzucili okiem na Arkansas i sunąc po długim zboczu górskim wpadli do Dodge City, gdzie Cheyne miał znów tę pociechę, iż mógł przesunąć zegarek o godzinę naprzód.

W wagonie panowała cisza. Sekretarz i stenotypistka siedzieli razem na poduszkach z wytłaczanej hiszpańskiej skóry, koło okna w samym końcu wagonu, przyglądając się wznoszeniu i opadaniu drutów telegraficznych i czyniąc — jak wnosić można — spostrzeżenia co do krajobrazu. Cheyne, trzymając z zębami niezapalone cygaro, lawirował niespokojnie pomiędzy zbyt kownym przepychem swego wagonu i ubóstwem wagonu kombinowanego, aż współczująca służba zapomniała, że ma w nim swego nieprzyjaciela klasowego, i starała się wedle sił swoich go rozerwać.

W nocy pęki lamp elektrycznych oświecały ów nieszczęsny pałac pełen wszelkiego zbytku i przepychu; jechali wygodnie, kosztownie, kołysząc się w pustce całkowitego osamotnienia. W pewnej chwili słyszeli szelest wody w wieży ciśnień, gardłowy głos Chińczyka, brzęk młotków sprawdzających koła sporządzone ze stali Kruppa oraz przekleństwo jakiegoś włóczykija spędzonego z tylnej platformy; to znów twardy łomot i rumor węgla sypanego na węglarkę; to znów rozgwar głosów nadlatujących z wyczekującego pociągu, który mijali.

W Dodge City jakaś nieznana ręka podrzuciła im wycinek gazety wychodzącej w Kansas i zawierającej jakby wywiad z Harvey’em; widocznie chłopak już się zetknął z ruchliwym reporterem, do którego telegrafowano z Bostonu. Wesół dziennikarz ogłaszał, iż nie może być dwóch zdań co do tego, że widzi przed sobą ich rodzonego syna; wiadomość ta przyniosła pani Cheyne chwilową ulgę. Jej jedyne słowo: „śpieszcie się!” było przez służbę podawane maszynistom w Nickerson, Topeka i Marceline, gdzie droga jest już jak stół równa; mijając jeden stopień geograficzny za drugim, przemierzono wszertz cały kontynent. Osiedla ludzkie były tu już gęstsze — i można było wyczuć, że się przebywa wśród ludzi.

— Nie widzę tarczy tachometru... czyż mnie tak bolą. Co robimy obecnie?

— Co tylko można zrobić najlepszego, mamusiu! Musimy uzbroić się w cierpliwość.

— E, co tam! Chcę mieć to uczucie, że się posuwamy. Usiądź przy mnie i mów, ile mil jużemy ujechali... i z jaką szybkością...!

Cheyne usiadł i odczytywał jej w głos wszystkie cyfry, lecz siedemdziesięciostopowy wagon nigdy nie zmieniał swego posuwistego biegu, lecąc z brzękiem wśród słonecznego skwaru niby olbrzymia, pyłem obsypana pszczoła. Mimo wszystko chyżość ta wydawała się pani Cheyne wciąż niedostateczna. Upał, nielitościwy sierpniowy upał przyprawiał znękaną kobietę o mdłości. Wskazówki zegara nie chciały posuwać się naprzód... Kiedyż, ach kiedyż ten pociąg dojedzie do Chicago?

Nie jest prawdą, jakoby pan Cheyne podczas zmiany parowozów w Fort Madison wręczył Międzynarodowemu Związkowi Maszynistów Kolejowych uposażenie, które by dawało im możliwość podjęcia walki na równych warunkach z nim i jego towarzyszami. Zapłacił maszynistom i palaczom należność, na jaką, jego zdaniem, zasługiwali, a jedynie jego bankowi jest wiadome, ile dał służbie, która okazywała mu tyle współczucia.

Trzeba wiedzieć, że wspaniale opłacany specjalista, który prowadzi pociąg specjalny na linii południowomichigańskiej jest nieomal władcą absolutnym i nie lubi pouczać. Mimo wszystko prowadził on „Konstancję” tak delikatnie i ostrożnie jakby jakiś ładunek dynamitu, a gdy służba zrzędziła na niego, czyniła to jedynie szeptem lub na migi.

— Phii! — mówili ludzie z Atchison, Topeki i Santa Fe, omawiając później tę sprawę; — Myśmy nie urządzali rekordowej jazdy. Żona Harvey'a Cheyne'a czuła się niedobrze, a myśmy nie chcieli, by skakała z niecierpliwości. Pomyśleć sobie, że nasza jazda z San Diego do Chicago trwała 57 godzin 54 minut. Możecie o tym powiedzieć waszym wołowym pociągom! Gdybyśmy chcieli pobić rekord, oj, wtedy byście dopiero zobaczyli!

Dla człowieka z Ameryki zachodniej dwa miasta: Chicago i Boston — leżą tuż obok siebie, a niektóre koleje istotnie czynią tę złudę tym śmielszą. Pociąg specjalny poniósł jak wichura „Konstancję” do Buffalo, po czym rzucił ją w objęcia linii kolejowej New York Central Hudson River (zawitali tu w gościnę wspaniali potentaci z siwymi bokobrodami na twarzy i ze złotymi amuletami przy łańcuszkach zegarków, by przez chwilę pogawędzić z Cheynem o interesach) — które to przedsiębiorstwo podało ją z gracją aż do Albany, gdzie już w ciągu jednego przypływu i odpływu morskiego kolej Boston-Albany dowiozła ją do celu podróży. Cała jazda trwała 87 godzin i 35 minut, czyli 3 dni, 15,5 godziny. Harvey już na nich oczekiwał.

\*

Po gwałtownych wzruszeniach większość ludzi dorosłych i wszyscy bez wyjątku chłopcy odczuwają wilczy apetyt. Powrót syna marnotrawnego święcono za spuszczoneymi kotarami w błogim i radosnym odcieciu od reszty świata — mimo że tuż koło nich z hukiem i łoskotem to w tę, to w drugą stronę przelatywały pociągi. Harvey jadł i pił łapczywie, a jednocześnie bez wytchnienia opowiadał wszystkie swoje przygody; ilekroć jedna z jego rąk odpoczęła na chwilę, chwytala ją matka i obsypywała pieszczotami. Głos mu zgrubiał od ciągłego przebywania na otwartym, słonym powietrzu; dłonie były szorstkie i stwardniałe, a przeguby upstrzone śladami oparzeń; od zszarganego obuwia i błękitnego spencerka biła delikatna, ale wyraźna sztokfiszowa woń.

Ojciec umiejący trafnie oceniać ludzi spoglądał nań byстрыm okiem. Nie wiedział do tychczas, że ten chłopiec zdolny był znieść tyle dolegliwości i trudów. Bogiem a prawdą, starszy Cheyne uświadamiał sobie, że w ogóle mało wiedział o swym synu; w każdym razie wyraźnie sobie przypominał skwaszonego młokosa o poźółklej twarzy, który znajdował przyjemność w tym, by „uchodzić za dorosłego mężczyznę” i wyciskać łzy z oczu matki, słowem, ot taką osobistość, która wzbudza powszechną wesołość w lokalach publicznych i hotelowych. Lecz ten postawny rybak, którego w tej chwili miał przed sobą, bynajmniej nie okazywał ślamazarności: patrzył na ojca wzrokiem pełnym energii, jasnym, nieszukającym wykrętów, a przemawiał głosem wyraźnym, nawet grzmiącym, pełnym jednak szacunku. W tym głosie było też coś takiego, co zdało się obiecywać, że owa zmiana będzie już trwała i że nowy Harvey już się ustatkował.

„Ej, musiał go ktoś porządnie brać do galopu! — myślał Cheyne. — Konstancja nigdy by nie pozwoliła na coś podobnego. Wątpię, czy pobyt w Europie wywarłby na niego wpływ bardziej zbawienny”.

— Ale czemuż nie powiedziałeś temu człowiekowi... Troopowi, czy jak on się tam nazywał... kim jesteś! — powtarzała matka, gdy Harvey już co najmniej po raz wtóry roztoczył przed nią swe dzieje.

— Disko Troop. Najlepszy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po pokładzie... nawet nie wiem, kto byłby godzien zająć po nim drugie miejsce.

— Czemuż nie powiedziałeś mu, żeby cię wysadził na ląd? Przecież wiesz, że tatuś byłby mu to nagrodził dziesięciokrotnie.

— Wiem o tym; ale on myślał, że mam bzika. Mam skrupuły, zem nazwał go złodziejem, ponieważ nie mogłem odnaleźć banknotów w kieszeni.

— Jeden z marynarzy znalazł je koło bandery okrętowej w ową... w ową noc... — załkała pani Cheyne.

— A więc sprawa wyjaśniona. W każdym razie nie mam Troopowi nic do zarzucenia. Powiedziałem mu tylko, że nie chcę pracować... i do tego na Ławicach... on za to, ma się rozumieć, palnął mnie w nos, a ja... och!... zacząłem krwawić jak zakłuty wieprzek.

— Moje biedactwo! Oni tam musieli się strasznie znęcać nad tobą.

— E, nie bardzo... No i potem przyszło na mnie oświecenie.

Stary Cheyne zaśmiał się i poklepał syna po łydce. Oto chłopak, jakiego pragnął całym sercem! Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się widzieć tak wyraziście owych błysków w oczach Harvey'a.

— Stary dawał mi dziesięć i pół dolara na miesiąc, trzymałem się razem z Danem i harowaliśmy tego. Nie umiem jeszcze pracować jak człowiek dorosły, w każdym razie potrafię kierować czółnem niemal jak Dan i nie bardzo tracę głowę pośród mgły, umiem wywijać się na lekkim wietrze... to znaczy, sterować, umiem już jako tako nabijać przyręte i znam się też na linach; umiem także ładować ryby aż do czasu, kiedy bydło wraca do domu; wyrosłem na lekturze starego *Josephusa*, a pokazałbym też wam, jak się przece-  
dza kawę przez kawałek rybiej skóry... i mam wrażenie, że poprosiłbym jeszcze o drugą filiżankę takiej kawy. Doprawdy, nie macie pojęcia, ile to trzeba się narobić i nauczyć za te dziesięć i pół dolara miesięcznie!

— Ja zacząłem od ośmiu i pół, mój synku! — oznajmił Cheyne.

— Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłeś, ojczulku.

— Boś nigdy o to nie pytał, Harvey. Opowiem ci kiedyś o wszystkim, jeśli zechcesz posłuchać. A teraz spróbuj jednej z tych nadziewanych oliwek.

— Troop powiada, że najciekawszą rzeczą na świecie jest przyglądać się, jak drugi człowiek zdobywa sobie środki do życia. Wspaniała to rzecz mieć znowu dobrze przyrządzone jedzenie. Jednakże odżywiałyśmy się dobrze; lepszej kuchni nie miał nikt na Ławicach. Disko żywił nas świetnie. To morowy facet! A Dan... to znaczy, jego syn... jest moim partnerem. A jest tam jeszcze i stryj Salters, co wciąż miewa wykłady o nawozach sztucznych i czytuje *Josephusa*. On jest wciąż przekonany, że mam bzika. Jest tam nadto mały Penn, a ten naprawdę ma bzika. Nie powinno się przy nim wspominać o Johnstown, bo... Aha, jeszcze musicie poznać Toma Platta, Długiego Dżeka i Manuela. Manuel uratował mi życie. Szkoda, że jest Portugalczykiem; nie umie mówić wiele, za to grałby bez przerwy. On mnie znalazł i wciągnął mnie do swej łódki.

— Dziwię się, że twój system nerwowy nie uległ zupełnemu rozbiciu — ozwała się pani Cheyne.

— A czemuż by miało tak być, mamusiu? Pracowałem jak koń, jadałem jak wieprz, a sypiałem jak zabity.

To już przeważało szalę udręczeń pani Cheyne, która zaczęła przypominać sobie wizje zwłok kołyszących się na powierzchni słonych wód. Udała się więc do swej sypialni, a Harvey skulił się na kozetce koło ojca i zaczął mówić o zobowiązaniach, jakie ma względem tych ludzi.

— Możesz na mnie polegać, iż uczynię dla nich wszystko co w mej mocy, Harvey'u. Z tego, coś mi o nich mówił, wnoszę, że to zacni ludzie.

— Najzacniejsi w całej flotylli rybackiej. Spytaj się w Gloucester — odpowiadał Harvey. — Ale Disko wciąż jeszcze przypuszcza, iż wyleczył mnie z szaleństwa. Dan jest jedynym, któremu opowiedziałem o tobie, o twoich prywatnych wagonach i tak dalej, a nawet co do niego nie jestem zupełnie pewny, czy mi uwierzył. Chcę więc jutro wprawić ich w osłupienie. Powiedz mi, czy można by jutro wysłać „Konstancję” do Gloucester? Mama nie wygląda na to, żeby miała ochotę wyruszyć w drogę, a my mamy jutro ukończyć wyładunek. Wouverman zabiera nasze ryby. Widzi tatuś, myśmy w tym sezonie pierwsi przyplłynęli z Ławic, toteż możemy sprzedać cetnar<sup>45</sup> po 4,25 dolara. Zaczekamy, aż on wypłaci; rzecz musi być wykonana prędko.

— A więc chcesz jutro pójść do roboty?

— Powiedziałem Troopowi, że pójdę. Mam być przy wadze. Przyniosłem ze sobą rachunki.

To mówiąc, rzucił okiem na zatłuszczony notatnik, a miał przy tym minę tak poważną, że ojciec aż dusił się od tłumionego śmiechu.

— Według mego rachunku nie pozostało już więcej, jak trzy... nie... czterysta dziewięćdziesiąt cztery lub pięć cetnarów.

— Najmij sobie pomocnika — radził Cheyne, chcąc zobaczyć, co na to powie Harvey.

— Nie mogę, ojczulku. Jestem głównym rachmistrzem naszego szonera. Troop powiada, że mam do cyfr lepszą głowę niż Dan. Troop jest bezstronny.

<sup>45</sup>cetnar — pozaukładowa jednostka masy, wynosząca 112 funtów, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

— Dobrze, ale przypuśćmy, że nie przesunę „Konstancji” dziś w nocy, to jakże się tam stawisz?

Harvey spojrział na zegarek, który wskazywał dwadzieścia minut po jedenastej.

— W takim razie będę tu spał do trzeciej, a potem dopadnę pociągu towarowego, jadącego o czwartej. Nam, rybakom, z reguły wolno jeździć bezpłatnie.

— Dobrze to wykombinowałeś. Sądzę jednak, że będziemy się mogli dostać tam „Konstancją” równie prędko, jak waszą towarówką. A teraz najlepiej zrobisz, jak pójdziesz do łóżka.

Harvey wyciągnął się na sofie, zsuł obuwie i zasnął snem twardym, zanim ojciec zdążył przysłonić światło. Cheyne usiadł przy nim, przyglądając się młodzieńczej twarzy, a wśród wielu myśli, jakie mu teraz przychodziły do głowy, znalazła się i ta, że może dotychczas za mało zajmował się synem.

— Nigdy nie wiadomo, kiedy się najwięcej ryzykuje — mówił sobie. — Mogło mu się przytrafić coś gorszego niż śmierć w morzu... jednak nie przypuszczam, by miało się przytrafić... nie, tego nie przypuszczam. Jeżeli nie przytrafiło się, to stać mnie na to, by zapłacić Troopowi, i basta!... A sądzę, że się nic nie przytrafiło.

Rankiem przez okna wpłynął ożywczy chłodny powiew morskiej bryzy. „Konstancja” zatrzymała się pomiędzy towarowymi wagonami w Gloucester, a Harvey udał się do roboty.

— Ależ on znów spadnie z pokładu i utonie — odezwała się z goryczą matka.

— Pójdziemy czuwać nad nim, a w razie czego rzucimy mu linę ratowniczą. Nie widziałaś nigdy, jak on zarabia na kawałek chleba — odrzekł ojciec.

— Co za głupie figle! Jak gdyby ktoś wymagał...

— Tak, oczekują go ludzie, którzy go najęli. On postąpił całkiem słusznie.

Przechodząc pomiędzy pakami pełnymi nieprzemakalnych ubrań rybackich, zaszli do nabrzeża Wouvermana, gdzie dumnie kołysał się *We're Here*; bandera powiewała jeszcze na maszcie. W jasnym świetle poranka cała załoga krzątała się pracowicie jak bobry. Dysko stał koło głównej luki, nadzorując Manuela, Penna i stryja Saltersa, manewrujących takielażem. Dan windował na pokład kosze napełnione przez Długiego Dżeka i Toma Platta, a Harvey, trzymając w ręku notatnik, reprezentował interesy szypra wobec kontrolera wagi na nabrzeżu.

— Gotów! — zawołano z dołu.

— Ciągnij! — krzyknął Dysko.

— Hej! — odezwał się Manuel.

— Już! — odpowiadał Dan, windując kosz.

Następnie słychać było czysty i świeży głos Harvey'a zapisującego wagę.

W końcu wyrzucono resztę ryb, a Harvey skoczył najkrótszą drogą, z sześciu stóp wysokości, z liny na linę, i wręczył Diskowi rachunek, krzycząc:

— Dwieście dziewięćdziesiąt siedem: a ładownię wypróżniliśmy już do dna!

— Ile jest wszystkiego razem, Harvey'u? — spytał Dysko.

— Osiemset sześćdziesiąt pięć, co daje trzy tysiące sześćset siedemdziesiąt sześć dolarów i dwadzieścia pięć centów. Teraz to mi się jeszcze należy part i zapłata!

— No, przecie nikt nie mówi, żeś na nią nie zasłużył, Harvey'u. Czy nie skoczyłbyś do biura Wouvermana i nie zaniósłbyś mu naszych rachunków?

— Kim jest ten chłopak? — ozwał się Cheyne do Dana, który był przyzwyczajony do najróżnorodniejszych pytań ze strony leniwych gamoniów zwanych letnikami.

— Ano, jest u nas jakby księgowym — brzmiała odpowiedź. — Wyłowiliśmy go z morza na Ławicach. Mówi, że spadł z pokładu liniowca, gdzie był pasażerem. Teraz to on ma wielką ochotę zostać rybakim.

— Czy wart jest, byście go trzymali u siebie?

— Tato! Ten pan się pyta, czy warto, byśmy trzymali Harvey'a! Może państwo pozwolą na pokład? Dla pani zaraz dostawimy drabinkę.

— I owszem, poszedłbym z największą chęcią. Nic ci się nie stanie, mamusiu, a będziesz miała możliwość zobaczyć wszystko na własne oczy.

Kobieta, która tydzień temu nie umiała podnieść głowy do góry, teraz słabym krokiem zesłała w dół po drabince i z niejakim lękiem stanęła wśród różnych gratów i płotowiska lin na rufie okrętu.

— Czy pan się trochę interesuje Harvey'em? — spytał Disko.

— Ta-ak...

— To dobry chłopak i posłuszny we wszystkim, co się mu rozkaże. Państwo słyszeli, jakiego go znaleźli? Widzi mi się, że cierpiał na jakiś rozstrój nerwowy albo też coś miał takiego we łbie, kiedy wyciągnęliśmy go na okręt. Teraz to wszystko minęło... Tak, tutaj jest ta kajuta. Nie wszystko tu jest w porządku, ale państwo będą łaskawi rozejrzeć się wokoło. Tutaj, na tym kominie, przeważnie pisaliśmy rachunki... jeszcze widać liczby wyskrobane jego ręką.

— Czy on tutaj sypiał? — zapytała pani Cheyne, siedząc na żółtej skrzyni i bacznie przyglądając się zaśmieconym pryzom.

— Nie, proszę łaskawej pani, on sypiał na przodzie okrętu, a gdyby nie to, że wraz z moim synem wykradał pierożki z kredensu i że baraszkowali we dwójkę, gdy powinni byli spać, nie miałbym temu chłopakowi nic do zarzucenia.

— Tak, na Harvey'a nie można powiedzieć nic złego — ozwał się stryj Salters, zstępując ze schodów. — Wieszal moje buty na grotmaszcie i czasami nie okazywał nazybyt wielkiego szacunku względem tych, którzy mają większą od niego wiedzę, zwłaszcza w dziedzinie rolnictwa; atoli najczęściej to Dan bywał dla niego tym złym duchem, co go kusił!

Tymczasem Dan, snując pewne wnioski z niejasnych napomknień, jakie dziś rankiem słyszał był z ust Harvey'a, urządził na pokładzie taniec wojenny.

— Tom! Tom! — szepnął w dół poprzez lukę. — Przyszli jego rodzice, a tato się jeszcze na tym nie połapał! Teraz sobie oni tam gadu-gadu w kajucie. Ona jest piękną kobietą, a ten pan tak wygląda, jakby wszystko, co o nim opowiadał Harvey, miało być prawdą.

— Gromy siarczyste! — ozwał się Długi Dżek i jął gramolić się w górę, opačkany solą i łuską rybią. — To wy wierzycie, że ta cała bajda o dryndulce zaprzężonej w cztery konie była prawdą?

— Ja o tym wszystkim wiedziałem od dawna — rzekł Dan. — Chodźcie tylko zobaczyć, jak tata pomylił się w swych rachubach!

Poszli uradowani — i przybyli w samą porę, by z ust Cheyne'a posłyszeć słowa:

— Bardzo się cieszę, że on ma tak dobry charakter... albowiem ten chłopak to mój syn.

Diskowi szczęka opadła w dół (Długi Dżek zawsze się odtąd zaklinał, że słyszał jej kłapanięcie) i w osłupieniu spoglądał to na mężczyznę, to na kobietę.

— Przed czterema dniami otrzymałem w San Diego telegram od niego, więc przyjechaliśmy tu niezwłocznie.

— Wagonem prywatnym? — zapytał Dan. — On opowiadał, że wielmożny pan takim jeździ.

— Tak jest, wagonem prywatnym.

Dan spojrział na swego ojca z wyrazem wcale nie świadczącym o szacunku.

— Opowiadał on nam taką bajdę o jeźdźeniu własną dryndulką zaprzężoną w cztery kucyki — wyrwał się Długi Dżek. — Czy i to było prawdą?

— Zapewne — odparł Cheyne. — Czy było tak, mamusi?

— Przypominam sobie, że Harvey miał mały wolancik, gdyśmy byli w Toledo — potwierdziła matka.

Długi Dżek gwizdnął.

— O, Disko! — ozwał się, zawierając wszystko w tych słowach.

— Byłem... pomyliłem się w swych rachubach... gorzej niż mieszkańcy Marblehead — wystękał Disko, jak gdyby mu wina wyciągano z gardła te słowa. — Nie chciałem panu uchybić, panie Cheyne, sądząc że chłopiec jest trochę pomyłony... ale on wygadywał takie niestworzone rzeczy o jakichś tam pieniądzech... które...

— Opowiadał mi o tym.

— Czy on jeszcze coś panu wielmożnemu opowiadał o mnie? Raz to go porządnie wytłukłem!...

To mówiąc, rzucił nieco lęklive spojrzenie na panią Cheyne.

— O tak — odparł Cheyne. — Nie zawahałbym się powiedzieć, że to właśnie przyniosło największy pożytek niż cokolwiek innego na tym świecie.

— Myślałem sobie, że tak potrzeba; inaczej bym tego nie zrobił. Nie chciałbym, żeby państwo myśleli, że my tu na tym statku męczymy takich, jak on, chłopaków.

— Nie myślę tego o panu, panie Troop.

Przez ten czas pani Cheyne przyglądała się obliczom okrętników: a więc twarzy Dyska żółtej jak kość słoniowa — bezwłosej, żelaznej, szerokiej gębie stryja Saltersa — okolonej wieśniaczą czupryną, zakłopotanej, prostodusznej Penna — spokojnemu uśmiechowi Manuela — wyszczerzonym od zachwyty zębom Długiego Dżeka i bliznom Toma Platta. Ludzie ci, jeżeli ich mierzyć skalą pojęć o świecie, byli niewątpliwie rubasznymi prostakami — jednakże ona miała w oczach wyraz macierzyński i oto podniosła się z wyciągniętymi rękoma.

— Powiedz mi, powiedz, dziecko, kim jest każdy z nich... — mówiła, ledwie nie szlochając. — Chcę wam podziękować i pobłogosławić... wam wszystkim...

— Dalibóg, to jest dla mnie stokrotnym wynagrodzeniem — ozwał się Długi Dżek.

Disko przedstawił ich wszystkich, jak należy, po dżentelmeńsku, nawet kapitan staroświeckiej dżonki chińskiej nie sprawiłby się lepiej. Pani Cheyne bełkotała coś niewyraźnie. Omal nie rzuciła się w ramiona Manuela, gdy zrozumiała, że to on odnalazł Harvey'a.

— Ale... jakżeż miałem go zostawić dryfującego po wodzie? — odezwał się biedny Manuel. — A cóż by pani sama zrobiła, będąc na moim miejscu? Co-o? Zyskaliśmy sobie dobrego chłopaka, a *zawsze* będę rad, że pani odnalazła syna.

— On mi też opowiadał, że Dan był jego współnikiem! — zawołała pani Cheyne.

Dan, już i tak czerwony jak piwonia, oblał się ciemnym pąsem, gdy pani Cheyne wobec całego zgromadzenia ucałowała go w oba policzki. Następnie poprowadzono ją na przód okrętu, ażeby jej pokazać czeladnię; szczęśliwa matka rozplakała się znowu i uparła się zejść na dół, by zobaczyć autentyczne legowisko Harvey'a. Zastała tam czarnego kucharza, czyszczącego piec; zobaczywszy ją, kiwnął głową, jak gdyby czekał na nią od lat wielu. Okrętnicy — po dwóch naraz — dołożyli wszelkich starań, a ona siedziała przy poręczu, położywszy urękawiczone dłonie na zatłuszczonym stole, i śmiejąc się drżącymi wargami lub płacząc roztańczonymi oczyma.

— A któż teraz będzie używał *We're Here* po tym wszystkim? — zwierzał się Długi Dżek Tomowi. — Mnie się tak widzi, że ona chętnie cały okręt zamieniła w jakiś kościół.

— Kościół...! — zadrwił Tom Platt. — Ach, gdyby to był przynajmniej statek Komisji Rybołówczej, a nie taki stary drewniany gruchot! Gdybyśmy mieli choć jaki taki porządek i przyzwoite odzienie, i chłopaków, co by tej pani usłużyli. Ona będzie musiała włączyć jak kura po tamtej drabinie, a my... my powinniśmy obsadzić ludźmi reje!

— A więc Harvey nie był wariatem — ozwał się Penn do Cheyne'a.

— Nie... nie, dzięki Bogu — odparł milioner, schylając głowę z rozrzewnieniem.

— To pewno rzecz okropna być wariatem. Nie znam rzeczy straszniejszej... chyba stratę rodzonego dziecka. Ale pan już odzyskał swoje dziecko. Dziękujemy za to Bogu.

— Hola! — ozwał się Harvey z nabrzeża, spoglądając na nich przyjaznym wzrokiem.

— Pomyliłem się, Harvey, pomyliłem! — pośpiesznie rzekł Disko wznosząc dłoń w górę. — Pomyliłem się w swych sądach. Nie potrzebujecie mi już tego wytykać.

— Ale, ale, bardzo mi na tym zależy! — bąknął Dan pod nosem.

— Czy chcesz od nas już zaraz odejść?

— No, nie odejdę bez wyrównania mej płacy, chyba że chcecie, żeby wam zaskewstrowano *We're Here*!

— Juści! Niemał nie zapomniałem! — i wyliczył resztę należności. — Wypełniałeś sumiennie wszystko, do czego zobowiązałeś się umową... a wykonywałeś rzecz każdą tak sprawnie, jak gdybyś przestał być, jakbyś był...

Tutaj Disko sam „zaprzestał”, nie wiedząc, jak skończyć rozpoczęte zdanie.

— ...jakbyś nie widział nigdy prywatnego wagonu? — odpowiedział Dan złośliwie.

— Chodźcie ze mną, a pokażę go wam — rzekł Harvey.

Pan Cheyne został, by pogawędzić z Diskiem, lecz inni z panią Cheyne na czele ruszyli w stronę ogrzewalni kolejowej. Francuzka, panna służąca, narobiła krzyku, widząc ten najazd; Harvey, nie przejmując się tym, bez żadnych wstępów ją przybyłym przedstawiać wszystkie zalety „Konstancji”. Oni w milczeniu spoglądali na wszystko: na wytłaczaną skórę, na srebrne klamki i poręcze, na aksamity, rżnięte szkło, nikiel, brąz, kute żelazo i na boazerie z rzadkich gatunków drewna.



— A mówiłem wam — powtarzał Harvey. — A mówiłem!

Była to ostateczna jego zemsta — i to nader wielkoduszna.

Pani Cheyne zadysponowała obiadem, ażeby zaś w bajce, którą Długi Dżek niejednokrotnie później opowiadał, niczego nie zabrakło, ta wielka dama raczyła sama im usługiwać do stołu. Ludzie, nawykli jadać na wążiuchnych stołach w czasie huczącej zawieruchy, umięją zachowywać się przy stole niezwykle przyzwoicie i wytwornie; pani Cheyne, która o tym nie wiedziała, była mile zdziwiona. Miała ochotę przyjąć Manuela na piwnicznego — tak cicho i gracko się sprawiał pośród kruchego szkła i wykwinnych sreber. Tom Platt przypomniał sobie czasy dawnej chwały na pokładzie *Ohio* oraz manieri cudzoziemskich potentatów, którzy jadaliby obiady z oficerami, zaś Długi Dżek, jak to Irlandczyk, wszystkich do syta bawił swą gawędą.

Tymczasem w kajucie *We're Here* obaj ojcowie osłonięci dymem cygar wzajemnie się sondowali.

Cheyne doskonale wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, któremu nie może ofiarować pieniędzy; jednocześnie zdawał sobie też sprawę z tego, że żadnymi pieniędzmi niepodobna dostatecznie nagrodzić Dyska za to, co uczynił. Toteż odbył naradę sam z sobą i czekał na zagajenie rozmowy na temat.

— Pańskiemu synowi ani też dla pańskiego syna nic dalibóg nie zrobiłem... tylko go trochę zaprzęgnąłem do roboty i nauczyłem, jak się obchodzić z kwadrantem — rzekł Dysko. — Do liczb to on ma dwa razy lepszą głowę niż mój syn.

— Skoro już o tym mowa — nawiązał Cheyne do słów powyższych — proszę mi powiedzieć, jak chce pan pokierować losami swego syna?

Dysko wyjął z ust cygaro i wodził wzrokiem po izbie.

— Dan jest jeszcze młokosem i nie frasuję się tym, co on z sobą robić zamysła. Kiedy ja już utracę siły, on po mnie weźmie w swe ręce ten zwinny stateczek. Wiem, że mu całkiem nieśpieszno porzucać nasz fach.

— Hm! Był pan kiedy na Zachodzie, panie Troop?

— Byłem raz w Nowym Jorku... okrętem. Nie mam przekonania do kolei... tak samo i Dan. Słona woda, Troopom to graj! Bywałem ja wszędzie... ma się rozumieć, drogą całkiem przyrodzoną.

— Mogę mu dać słonej wody, ile mu tylko będzie potrzeba... aż zostanie szyprem.

— Jakże to? Myślałem, że pan prędzej jest jakimś tam królem kolei żelaznych. Tak mi opowiadał Harvey, gdy... gdy jeszcze mylił się w sądach.

— Wszyscyśmy omylni. Przypuszczałem, że pan może wie, iż jestem właścicielem całej linii kliprów przewożących herbatę... od San Francisco do Jokohamy. Jest ich sześć... wszystkie żelazne... okute... a każdy mniej więcej po 1780 ton.

— A bodaj tego chłopaka! Nigdy mi tego nie mówił. *Tego* to bym chętnie posłuchał, zamiast tych bajd o kolejach i o powozikach zaprzężonych w kuce.

— On o tym nie wiedział...

— Nie widzi mi się to prawdopodobne, by taka rzecz miała ująć jego uwagi.

— Nie... ja tylko... ja dopiero tego lata przejąłem je od przedsiębiorstwa okrętowego „Blue M.”... jest to dawna linia Morgan and M'Quade...

Dysko aż się zapadł w swym siedzisku koło pieca.

— Na miłość boską! Widzę, że się zbłąźnił od początku do końca. Przed sześcioma... nie, siedmioma laty... wyszedł z tego miasta Phil Airheart... a teraz jest bosmanem na statku *San Jose*... który dwadzieścia sześć dni temu wyruszył. Jego siostra jeszcze żyje tu i nieraz czytuje listy mojej żonie. To pan jest właścicielem przedsiębiorstwa „Blue M.”?

Cheyne kiwnął głową.

— Słowo daję... gdybym wiedział, byłbym prosto z miejsca pchnął *We're Here* do portu!

— Być może nie byłoby to tak dobre dla Harvey'a.

— Gdybym tylko był wiedział! Gdyby on tylko słówko jedno pisał o tej linii, wszystko bym zrozumiał! Nigdy nie będę polegał na mych sądach... nigdy! A tamte stateczki podobno są wcale niczego... tak mówi Phil Airheart.

— Cieszę się, że z tej strony mam rekomendację. Airheart jest teraz szyprem na *San Jose*. Otóż chciałem się dowiedzieć, czy pan mógłby mi na rok lub dwa wypożyczyć Dana,

a może by nam się udało z niego zrobić tęgiego marynarza. Czy oddałby go pan pod opiekę Airhearta?

— To przecie rzecz ryzykowna brać jeszcze niewykształconego chłopaka...

— Znam człowieka, który trudniejszej jeszcze rzeczy podjął się dla mnie.

— To co innego. Widzi pan, ja nie polecam Dana właśnie dlatego, że to chłopak z mojej krwi i kości. Wiem, że co innego być na Ławicach, a co innego na kliprze. Umie sterować... rzec mogę, że żaden chłopak tak nie potrafi... a resztę to już ma we krwi... ale pragnąłbym, żeby nauczył się czegoś więcej.

— Airheart już o tym pomyśli. Najpierw parę razy Dan przejedzie się jako chłopak okrętowy, a potem postaramy się wykierować go na coś lepszego. Zatem ułożmy się, że pan weźmie go w swe ręce przez zimę, a wczesną wiosną ja przyślę po niego. Wiem, że Ocean Spokojny jest daleko od...

— Phii! My, Troopowie, żywi czy umarli, tłukliśmy się nieraz po lądach i morzach...

— Ale chciałbym, żeby pan zrozumiał... i to właśnie mam na myśli... ilekroć pan będzie miał chęć się z nim widzieć, proszę mnie o tym zawiadomić, a ja postaram się go tu dostarczyć. Nie będzie kosztowało ani centa.

— Jeżeli pan łaskaw przejdź się kawałek drogi ze mną, pójdziemy do naszego domu porozmawiać z moją żoną. Tak szalenie pomyliłem się we wszystkich sądach, że wydaje mi się, jakby to wszystko, co słyszę, było nieprawdą.

Udali się do białego, z niebieskimi obwódkami na brzegach, domu Troopa.

Dom ten miał wartość ośmiu tysięcy dolarów. Wokół niego były korytka pełne kwitnących nasturcji, a dalej opatrzony żaluzjami salonik, który był prawdziwym muzeum gratów morskich. Siedziała tam kobieta milcząca i poważna, o mętnym spojrzeniu spotykanym u tych, którzy wpatrują się długi czas w morze, wyczekując powrotu osób ukochanych. Cheyne osobiście wyłożył jej całą sprawę, na co ona, choć z niejakim ociąganiem się, w końcu przystała.

— My tu, panie Cheyne, z samego tylko Gloucester tracimy corocznie stu ludzi — mówiła. — Stu chłopaków i ludzi dorosłych. Dlatego nienawidzę morza, jakby to była istota żywa i słuchem obdarzona. A te pańskie okręty, to chyba jadą prostą drogą... i prostą drogą wracają do domu?

— Tak, prostą, o ile im wiatr pozwala, a ja płacę gratyfikacje za dobrą jazdę. Herbata psuje się w smaku, gdy za długo przebywa na morzu.

— Gdy Dan był mały, często się bawił w skład towarów, i spodziewałam się, że kiedyś dojdzie do tego; ale odkąd nauczył się wiosłować i pływać łódką, wiedziałam, że moje nadzieje pewnikiem się nie spełnią.

— Te okręty są mocne, matko... budowane z żelaza i dobrze urządzone. Przypomnij sobie, co ci czytuje siostra Phila, gdy dostaje od niego listy.

— Nie mówię, że Phil opowiada łągarstwa, ale on lubi ryzyko, jak wielu tych, co jeżdżą po morzach. Jeżeli Dan będzie miał ochotę, panie Cheyne, to niech tam pójdzie... i niech będzie ze mną, co chce.

— Ona taki ma wstręt do morza — wyjaśnił Disko — a ja... ja doprawdy nie wiem, jak tu postąpić... chyba tylko panu podziękować.

— Mój ojciec... mój rodzony brat, najstarszy... dwaj siostrzeńcy... i mąż mojej siostry... — mówiła, podpierając głowę na dłoni. — Czy pan zrozumie kogoś, kto tyle przecierpiał?

Cheyne doznał ulgi, gdy Dan, przybywszy do domu, z niedającym się opisać zachwytem przyjął jego propozycję. W istocie propozycja ta była zadatkiem pewnej i prostej drogi do spełnienia wszelkich pragnień; jednakże Dan myślał przede wszystkim o komenderowaniu wartą na szerokich pokładach tudzież o przyglądaniu się odległym przystaniom.

Pani Cheyne rozmówiła się w cztery oczy z nieobliczalnym Manuelem w sprawie wyratowania Harvey'a. Portugalczyk, jak wnosić można było, wcale nie był łasy na pieniądze. Przyciśnięty do muru, oświadczył, że przyjąłby pięć dolarów, bo chce kupić jakąś drobnostkę swej dziewczynie.

— Jakże mam brać pieniądze, skoro jedzenie i palenie tak niewiele mnie kosztuje? Pani chce mi dać pieniądze, czy mi one potrzebne, czy też nie? Co-o? To niech mi pani da pieniądze, ale nie w ten sposób.

I przedstawił ją zatabaczonemu portugalskiemu księdzu, który wymienił długą listę ubogich wdów pozostawionych bez opieki. Pani Cheyne, jako surowa unitarianka, nie sympatyzowała z wyznaniem tego małego, ogorzałego i ruchliwego człowieczka, jednakże w końcu poczuła dla niego niezmierną cześć.

Manuel, jako wierny syn Kościoła, przyjął na siebie wszystkie błogosławieństwa zsyłane na jej głowę za tę szczodrobliwłość.

— To mi wystarczy — ozwał się. — Teraz pozyskałem sporo co najlepszych odpustów na sześć miesięcy.

I wyszedł, ażeby zakupić chusteczkę swojej wybrance i żalością napępiać serca innych dziewcząt.

Stryj Salters, zabrawszy z sobą Penna, udał się na cały kwartał na zachód, nie zostawiając adresu. Obawiał się, że te *milionery*, właściciele zbyt kownych wagonów prywatnych, mogą w sposób niewłaściwy zaopiekować się jego towarzyszem. Lepiej było udać się w odwiedzin do krewniaków w głębi lądu, dopóki wybrzeże było wolne od okrętów.

— Nigdy nie przyjmuj opieki bogatych ludzi, Penn — mówił w pociągu — bo w przeciwnym razie rozbiję ci tę szachownicę na głowie. Jeżeli znów kiedy zapomnisz o swoim nazwisku (a brzmi ono: Pensylwania Pratt), to pamiętaj, że jesteś pod opieką Saltersa Troopa i siedź w miejscu, póki nie przyjdę po ciebie. Nie postępuj za tymi, których oczy obrzękle są od tłustości, jak powiada Pismo Święte!

## ROZDZIAŁ X

Inaczej jednak przedstawiała się sprawa z małomównym kucharzem z *We're Here*. Przybył z całym dobytkiem w węzłku i bez ceremonii zakwaterował się w „Konstancji”. Na wynagrodzeniu, jak mówił, bynajmniej mu nie zależało, a spać mógł byle gdzie. Jego powinnością, jak mu objawiły sny wieszczce, było towarzyszyć Harvey'owi przez resztę żywota. Próbowano argumentów, a wreszcie i perswazji... jednakże między jednym Murzynem z Cape Breton a dwoma Murzynami z Alabamy zachodzi pewna różnica, więc argumenty i perswazy na nic się nie zdały. Kucharz i portier przedstawili całą sprawę Cheyne'owi. Milioner jedynie się roześmiał. Przewidywał, że prędzej czy później Harvey będzie potrzebował przybocznego służącego, a był przekonany, że jeden ochotnik jest tyle wart, co pięciu najemników... Niechże sobie więc ten człowiek tu zostanie: cóż to komu szkodzi, że sam siebie nazywa Mac Donaldem i klnie po celtycku. Wagon może powrócić do Bostonu, a gdy przybysz i tam nie zmieni swego zamiaru, to będzie go można zabrać i na zachód.

Wraz z „Konstancją”, do której w głębi serca pan Cheyne czuł szczerą odrazę, odjechały ostatnie ślady jego bogactwa — i oto bogacz mógł się teraz oddawać nader intensywnemu próżnowaniu. Gloucester było to nowe miasto w nowej krainie — a Cheyne zamierzał zamieszkać w nim, jak z dawna zakwaterował się we wszystkich miastach od Snohomish do San Diego — oczywiście mówimy tu tylko o świecie, do którego czuł przynależność. Interesy skupiały się tu na krzywej ulicy, która w połowie była przystanią, a w połowie składnicą okrętową; jako zawodowiec na stanowisku, Cheyne pragnął wywąchać, o jak wysoką stawkę można tu zagrać. Opowiadano, że na pięć pak z rybami, dostarczanych co niedzielę na śniadanie w Nowej Anglii, cztery pochodziły z Gloucester, na dowód czego oszołamiano go zawrotnymi cyframi: statystyką łodzi, przyborów, wymiarów przystani, łożonych kapitałów, solenia, pakowania, ubezpieczeń, płac, i zysków. Rozmawiał z właścicielami wielkich flotylli, których szyprówie byli prawie najemnikami, a których załogi składały się prawie wyłącznie ze Szwedów lub Portugalczyków. Potem konferował z Diskiem, który był jednym z niewielu szyprów rozporządzających własnym statkiem, i w wielkiej swej głowie porównywał podane mu cyfry. Z prostoduszną, pogodną ciekawością, cechującą człowieka zachodu, plątał się wśród lin i łańcuchów po okrętowych składnicach, zadając coraz to nowe pytania, aż w końcu na całym pobrzeżu zaczęto zachodzić w głowę: „Czego u licha, szuka tutaj ten człowiek?”. Włóczył się też po salach gmachu Wzajemnych Ubezpieczeń i żądał wyjaśnienia tajemniczych znaków wypisywanych co dzień kredą na czarnej tablicy; to przywiodło ku niemu sekretarzy wszystkich miejscowych towarzystw opieki nad sierotami i wdowami po rybakach. Zaczęli naprzykrzać mu się bezwstydną żebraniną, bo każdy z nich siłił się pobić stawkę

konkurencyjnej instytucji. Pan Cheyne skubał się w brodę i odsyłał ich wszystkich do swej małżonki.

Pani Cheyne zażywała odpoczynku niedaleko Eastern Point. Było to osobliwe przedsiębiorstwo, utrzymywane, jak się zdaje, przez samych stołowników. Były tam obrusy w czerwoną i białą szachownicę, a mieszkańcy, którzy snadź od lat wielu pozostawali z sobą w stosunkach zażyłej znajomości, wstawali o północy, by przyrządzić potrawkę z królika, jeżeli komuś nagle zachciało się jeść. Na drugi dzień swego pobytu tutaj pani Cheyne zdjęła z siebie i pochowała diamenty, zanim zeszła na śniadanie.

— To przemili ludzie! — zwierzała się mężowi. — Tak serdeczni i prości, choć prawie wszyscy pochodzą z Bostonu.

— To nie prostota, mamusi — odpowiedział pan Cheyne, spoglądając poprzez zwaly kamieni poza jabłoniemi, na których zawieszono były hamaki. — To coś innego... czegośmy jeszcze... czegośmy jeszcze nie osiągnęli.

— To niemożliwe — ozwała się spokojnie pani Cheyne. — Żadna z tutejszych kobiet nie ma sukni w cenie stu dolarów. Przecież my...

— Wiem o tym, moja droga. My i to mamy... mamy istotnie. Zdaje mi się, że to tylko taka moda tutaj na wschodzie... Jakże się czujesz?

— Tak mało widuję Harvey'a... on zawsze gdzieś chodzi z tobą... w każdym razie jestem już tak zdenerwowana jak przedtem.

— Co się mnie tyczy, to od śmierci Williego nigdy nie czułem się tak dobrze jak teraz. Aż dotąd nie zdawałem sobie należyte sprawy z tego, że mam syna. Harvey przekształcił się w dzielnego chłopaka. Czy mogę ci czym usłużyć, moja droga? Może poduszkę pod głowę? No dobrze, pójdziemy znów do przystani i rozejrzemy się wokoło.

Harvey był przez te dni istnym cieniem swego ojca. Chodzili wszędzie we dwójkę; Cheyne używał każdego stopnia schodów za pretekst, by kłaść rękę na kanciastych, twardej barkach chłopaka. Wtedy Harvey zauważył i zaczął podziwiać to, co go nigdy dotąd nie uderzyło, a mianowicie niezwykłą zdolność, z jaką ojciec wyciągał wnioski z różnych nowin zasłyszanych od ludzi na ulicy.

— Jakim sposobem tatuś potrafi wydobyć od nich wszystko, nie wyjawiając im swoich zamysłów? — zagadnął syn, gdy wyszli z warsztatu naprawczego takielażu w dokach.

— Swojego czasu miałem do czynienia z różnymi ludźmi, Harvey, a zdaje mi się, że jakoś można było wyrobić sobie o nich sąd. Znam się też cokolwiek na samym sobie.

Usiedli na brzegu przystani. Po chwili ojciec znów się odezwał:

— Z ust ludzi można prawie zawsze dowiedzieć się wszystkiego, gdy tak kieruje się rozmową, by mieć użytek dla siebie... potem uważają cię za jednego ze swoich.

— Zupełnie tak postępowali ze mną w przystani Wouvermana. Teraz jestem jednym z nich. Dysko wszystkim naopowiadał, że zapracowałem sobie rzetelnie na swoją płacę.

To mówiąc rozwarł dłonie i potarł je, jedną o drugą.

— Znów mi wydelikatniały — ozwał się ze smutkiem.

— Utrzymuj je w tym stanie jeszcze przez lat parę, dopóki nie ukończysz studiów. Będziesz miał jeszcze czas je zahartować.

— Ta-ak, przypuszczam — brzmiała odpowiedź niezdradzająca zachwyty.

— Zależy to od ciebie, Harvey'u. Jeżeli chcesz, możesz schronić się u boku mamusi i wywoływać z jej ust całe jeremiady na temat twoich nerwów, twojej nadwrażliwości i tym podobnych różności.

— Czy kiedykolwiek to robiłem? — spytał Harvey nieswojo.

Ojciec obrócił się na miejscu i wyciągnął rękę przed siebie.

— Przecież wiesz, że nie potrafię z ciebie nic zrobić, o ile nie będziesz pod moim bezpośrednim kierownictwem. Mogę tobą kierować, o ile będziesz sam, ale nie czuję się na siłach być wychowawcą jednocześnie twoim i mamusi. Niestety, żyjemy nazbyt krótko...

— Więc jeszcze życie nie zrobiło ze mnie prawdziwego człowieka... czy nie tak?

— Zdaje mi się, że stało się tak głównie z mojej winy; ale jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to dotychczas niezbyt byłeś zdalny do czegokolwiek. Co? Może nieprawda?

— Hmm! Dysko powiada... Powiedz mi, papo, co sądzisz... ile cię kosztowało moje utrzymanie od samego początku... przez cały czas aż do teraz?

Cheyne uśmiechnął się.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale ocenilibym to, w dolarach i centach, raczej na pięćdziesiąt niż czterdzieści tysięcy... może nawet na sześćdziesiąt. Młode pokolenie ma wielkie wymagania... potrzebuje tego i owego... wszystko to ich nuży, a potem... stary płaci rachunek...

Harvey zagwizdał, ale w głębi serca czuł pewne zadowolenie z tego, że jego wychowanie tyle kosztowało.

— I wszystko to uważasz za zmarnowany kapitał... nieprawdaż?

— Dajmy na to, że było tego tylko trzydzieści tysięcy, wówczas te trzydzieści dolarów, jakie dotąd zarobiłem, daje ledwie dziesięć centów na sto dolarów. To niewielki zysk.

To rzekłszy, Harvey poważnie pokiwał głową. Cheyne zaczął się śmiać tak serdecznie, że o mało co nie wpadł do wody.

— Dysko o wiele więcej dostał od Dana, jeszcze od czasu, gdy ten miał lat dziesięć, nie mówiąc już o tym, że zawsze pół roku spędza w szkole.

— Aha, więc na tym ci tak zależy!

— Nie. Nie zależy mi na niczym. Teraz właśnie nie jestem wcale sobą zachwycony... i basta... Powinienem być wypędzony na cztery wiatry.

— Nie mogę tego zrobić, mój stary.... gdybym w ten sposób chciał postąpić, sam bym pewno zasłużył na podobną karę.

— W takim razie zapamiętałbym to do końca życia... i *nigdy* bym ci tego nie darował — odrzekł Harvey, podparszy brodę zacisniętymi kulkami.

— A jakże. Tak samo i ja bym postąpił. Nie wierzysz?

— Wierzę. Wina jest po mojej stronie, nie po niczyjej innej. W każdym razie już coś się zrobiło, ażeby z tym skończyć.

Pan Cheyne wyciągnął z kieszeni kamizelki cygaro, odgryzł koniuszek i zaczął je palić. Ojciec i syn byli do siebie bardzo podobni. Usta pana Cheyne osłaniał zarost — poza tym Harvey miał po ojcu orli nos, głęboko osadzone czarne oczy i wąskie, wystające kości policzkowe. Gdyby jeszcze dodać nieco nalotu barwy brunatnej, byłiby wyglądali bardzo malowniczo, jak Indianie z powieści dla młodzieży.

— Odtąd, gdy ruszysz w dalszą drogę — ozwał się pan Cheyne — będę łożył na ciebie od sześciu do ośmiu tysięcy rocznie, dopóki nie dojdiesz do pełnoletności. No, a wtedy będziemy ci mogli nazwać mężczyzną. Wtedy będziesz mógł śmiało żyć na mój koszt... do wysokości czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy... nie licząc tego, co dostaniesz od matki... Będziesz miał kamerdynera, własny jacht albo też piękną stajnię, ...będziesz mógł chlubić się hodowlą wierzchowców lub grywać w karty ze swoją kompanią.

— Jak Lorry Tuck? — wtrącił Harvey.

— Tak... albo jak dwaj chłopcy De Vitre'a lub syn starego M'Quade. W Kalifornii ich pełno, a oto właśnie w tej chwili, jakby na zawołanie, pojawia się taki okaz należący do wschodniej części kontynentu.

Czarny, wypolerowany jacht parowy, pyszniący się mahoniową intarsją na pokładzie, niklowanymi okuciami, tudzież rufą malowaną w białe i pąsowe pasy, pędził z szumem w głąb przystani, powiewając proporczykiem o barwach jakiegoś nowojorskiego klubu. Dwaj młodzieńcy w kostiumach, uważanych przez nich samych za marynarskie, grali w karty koło szklanego dachu jadalni, a gromadka dam osłoniętych czerwonymi i błękitnymi parasolkami przyglądała się im wśród głośnych śmiechów.

— Nie chciałbym znaleźć się na tym stateczku, choćby w najmniejszą bryzę. Taką budowa psa warta! — ozwał się Harvey krytycznie, gdy jacht zaczął zwalniać celem zahaczenia się o boję.

— Mają przepyszną rozrywkę. Mogę ci dać to samo, Harvey'u, a nawet i dwa razy więcej. I cóż ty na to powiesz?

— O rety! Przecież w ten sposób nie spuszcza się łódki na wodę! — mówił Harvey wciąż zajęty jachtem. — Jeżeli bym nie umiał zarzucić cumy, lepiej byłoby mi zostać na lądzie... A cóż, gdybym tak się nie zgodził?

— Zostać na lądzie... czy też co innego?

— A na ten jacht i tę stajnię, i na utrzymanie się kosztem „starego”... i na to chowanie się do boku mamusi w razie jakiej przykrości? — odrzekł Harvey, mrugając oczyma.

— No, w takim razie zawrzyj ze mną umowę, mój synu.

— Dziesięć dolarów na miesiąc? — zagadnął Harvey, znów mrużąc oko.

— Ani centa więcej... dopóki nie zasłużysz na podwyżkę... a przez kilka lat i tego nie tkniesz.

— Wolę zacząć wcześniej, choćby od zmiatania (czy nie od tego zaczynają grube ryby?), i teraz już tknąć się czegoś niż...

— Wiem o tym... wszyscy miewamy to uczucie. Jednak sądzę, że stać nas jeszcze na najęcie zamiatacza. Sam zrobiłem ten błąd, że zacząłem zbyt wcześnie.

— Ta omyłka przyniosła ci trzydzieści milionów... nieprawdaż? Nie zawahałbym się tak ryzykować.

— Trochę straciłem, trochę zyskałem. Zaraz ci opowiem.

Pan Cheyne, skubiąc brodę, uśmiechnięty zapatrzył się w toń, po czym jął coś mówić, jakby nie zwracając uwagi na Harvey'a, który zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że oto ojciec opowiada mu dzieje swojego żywota. Opowiadanie to, wygłaszane cichym, spokojnym głosem, nieożywione żadnym gestem ani wyrazem twarzy, miało ciekawą treść, za którą kilkanaście pierwszorzędných pism z radością zapłaciłoby znaczniejszą sumę dolarów... Były to dzieje Nowego Zachodu, które dotąd jeszcze czekają swego dziejopisa.

Opowieść zaczynała się od przygód małego sieroty zostawionego na łasce losu w Teksasie; w ciągu dalszym snuła się fantastycznym torem przez mnóstwo różnych przemian i perypetii, przy czym za sceneryę służyły jej kolejno różne stany i terytoria Ameryki Północnej; od miast, które powstawały nagle w ciągu miesiąca i ginęły doszczętnie po upływie kwartału, aż do dzikich obozowisk, które obecnie są pracowicie brukowanymi miasteczkami. Obejmowała budowę trzech linii kolei żelaznych i umyślne zniszczenie czwartej. Wspominała o parowcach, osiedlach, lasach i rudnikach tudzież o ludziach wszelakiej narodowości, którzy je obsługiwali, wznosili, wyrąbywali lub wykopywali. Napomykała o zasobach olbrzymiego bogactwa przewalających się przed oczyma, które ich nie potrafiły dostrzec, albo też utraconych przez zwykły przypadek. A w całym tym opętanym wirze zdarzeń posuwał się — tu i ówdzie — czasami konno, częściej pieszo — niekiedy okrętem lub pociągiem — to bogacz, to nędzarz — to poborca, to restaurator, to dziennikarz, to maszynista, dobosz, agent, polityk, głodomór, szynkarz, właściciel kopalni, handlowiec, hodowca bydła lub włóczykij — pan Harvey Cheyne senior we własnej osobie, sprawny i spokojny poszukiwacz własnych celów oraz (jak się sam wyraził) chluba i podpora swego kraju.

Opowiadał mu o wierze w swą dobrą gwiazdę, która go nigdy nie opuszczała, nawet gdy znajdował się nad urwistym brzegiem rozpaczy — wierze pochodzącej ze znajomości ludzi i spraw ludzkich. Rozwodził się, jakby mówiąc z samym sobą, nad swoją niezwykłą odwagą i pomysłowością we wszelkich tarapatach. Było to w jego umyśle tak oczywiste, że wspominając o niej, nawet nie zmieniał głosu. Opisywał wypadki, w których bądź swoich wrogów wywiódł w pole, bądź też przebaczał im wspaniałomyślnie, zależnie od tego, czy oni sami wpierw zwodzili go, czy byli wyrozumiali w owe niefrasobliwe dni. Zwierzał się, jak zjednywał sobie, głaskał pochlebstwem lub nękał trwogą przeróżne miasta, spółki i syndykaty; jak przedzierał się wokół, w poprzek lub poniżej górskich wyżyn i czeluści, wlokąc za sobą — to prosto jak sznur, to znów jakby żelazną obręczą — tory żelaznej kolei, i jak w końcu siedział cicho niczym trusia, gdy wszelakie tałajstwo różnych grup społecznych darło na strzępy resztki jego dobrej sławy...

Harvey z zapartym tchem słuchał tej opowieści, przechyliwszy z lekka na bok głowę i utkwivszy oczy w twarzy ojca, na którą w zgęstniałym zmierzchu wieczornym rzucało czerwony blask palące się cygareto, oświecając poryte bruzdami policzki i ociążałe powieki. Zdawało mu się, że przygląda się lokomotywie pędzącej w mroku przez rozległą krajinę i znaczącej każdą milę czerwonym błyskiem rozwartych drzwiczek pieca; jednakże ta lokomotywa umiała mówić ludzkim głosem, a jej słowa wstrząsały i poruszały do głębi duszę chłopca. Na koniec pan Cheyne odrzucił niedopałek cygara — i siedzieli obaj w ciemności ponad mlaszczącą wodą.

— Nie opowiadałem tego jeszcze nigdy nikomu — dorzucił pan Cheyne.

Harvey odetchnął.

— Toż to chyba najwspanialsza rzecz, jaką świat oglądał! — odezwał się.

— Oto jest to, co *zdożyłem*. A teraz przechodzę do tego, czego jeszcze nie zdożyłem. Może tego nie pojmiesz, ale powiem ci szczerze, że nie chciałem, ażebyś dopiero w wieku tak późnym zaczął zdawać sobie z tego sprawę. Prawda, że umiem kierować ludźmi, i zdaje

mi się, że mam głowę na karku, jednakże... jednakże... nie mogę iść w zawody z ludźmi, którzy pobierali naukę! Ja zgarniałem tylko to, co mi się nawinięło po drodze, i zdaje się, że to wszystko ze mnie wyłazi.

— Nigdy tego nie zauważyłem — zachnął się syn.

— Jeszcze zauważysz, mój Harvey'u. Jeszcze zauważysz... gdy skończysz wyższą szkołę. Alboż ja tego nie wiem? Alboż ja nie znam tego wyrazu na twarzach, mówiącego, iż uważają mnie za... za „groszoroza”, jak oni tutaj to określają? Mogę ich pokruszyć na miazgę... tak... lecz nie mogę zająć ich tak, by im dopiec do żywego. Nie mogę powiedzieć, jakoby oni bardzo, bardzo mnie wyprzedzali, jednakże czuję, iż sam jestem bardzo, bardzo w tyle. Teraz ty znalazłeś się w szczęśliwym położeniu... znalazłeś sposobność pokazania, kim jesteś. Możesz chłonąć w siebie wszelką wiedzę, jaka jest wokoło, i będziesz żył z ludźmi, którzy robią to samo. Oni to będą czynić najwyżej dla kilku tysięcy rocznie; ty zaś pamiętaj, że czynisz to dla milionów. Nauczysz się na tyle prawa, by mieć pieczę nad swym własnym mieniem, gdy mnie już nie będzie na tym świecie i gdy będziesz musiał być solidny w stosunku do najwybitniejszych ludzi (z czasem mogą ci się przydać); nade wszystko zaś powinieneś uporać się ze zwykłą, pospolitą wiedzą książkową. Nic tak nie popłaca w naszym kraju jak ona, Harvey'u, i to z każdym rokiem więcej... zarówno w polityce jak w interesach. Przekonasz się o tym...

— Nie bardzo mi się uśmiecha taki obrót sprawy — odparł Harvey. — Cztery lata w uczelni! Wolałbym już wybrać jacht i kamerdynera!

— O nie, mój synu! — uparł się pan Cheyne. — Lokujesz swój kapitał tam, gdzie on przyniesie najlepsze zyski, a przypuszczam, że swego mienia nie znajdziesz uszczuplonym, gdy będziesz już gotów do jego objęcia. Rozważ to dobrze i jutro daj mi odpowiedź. Śpieszmy się! Spóźniliśmy się na kolację!

Ponieważ była to rozmowa o interesach, przeto Harvey nie miał potrzeby zwierzać się matce; pan Cheyne oczywiście podzielał to zapatrywanie. Jednakże pani Cheyne widziała, co się święci, i była tym zaniepokojona, a po trosze i zazdrosna. Oto jej synek teraz zniknął bez śladu, a na jego miejscu królował młodzian o dziarskiej twarzy, niezwykle mąłomówny, który jeżeli się kiedy odezwał, to po większej części tylko do ojca. Rozumiała, że tu wchodzi w grę interesy, a tym samym rzecz wykraczająca poza jej wiedzę. Jeżeli miała jakiegokolwiek wątpliwości, to rozwiały się one, gdy pan Cheyne udał się do Bostonu i przywiózł jej stamtąd nowy pierścienek z brylantem.

— Cóżście tam robili we dwójkę — zapytała z lekkim uśmiechem, obracając w świetle prezent.

— Rozmawialiśmy... tylko rozmawiali, mamusiu! Harvey'owi nic złego nie grozi.

Istotnie nie groziło. Chłopak zawarł umowę na własne swoje konto. Wyjaśnił z powagą, że koleje interesowały go równie mało jak tartaki, posiadłości ziemskie lub kopalnie. Do jednej rzeczy tęsknił w tej chwili, a mianowicie do tego, by mu powierzono kontrolę nad nowo nabytymi ojcowskimi żagłowcami. Jeżeli uzyskanie tego może być mu przyrzeczone w ciągu czasu, jaki, jego zdaniem, byłby uzasadniony i stosowny, on ze swej strony gwarantował pilność i trzeźwość rozsądku w ciągu czterech lub pięciu lat spędzonych w wyższej uczelni. W czasie wakacji miano mu pozwalać na całkowity dostęp do wszystkich szczegółów mających związek z linią okrętową (co do której zadał ojcu nie mniej jak 2000 pytań) — począwszy od najtajniejszych papierów ojcowskich, przechowywanych w głębi szafy, a skończywszy na holowniku w zatoce San Francisco.

— To już wiele — rzekł pan Cheyne w końcu. — Przed ukończeniem wyższej uczelni pewno jeszcze ze dwadzieścia razy odmienisz swój zamiar; lecz jeżeli utrzymasz go i jeżeli nie zaniechasz go przed dwudziestym trzecim rokiem życia, ja ci ułatwię całą tę sprawę. Cóż ty na to, Harvey'u?

— Nic... Nigdy nie opłaci się rozbijać prosperującego przedsiębiorstwa. Bądź co bądź w świecie za wiele jest konkurencji, a Disko powiada, że „krewniacy muszą trzymać się razem”. To jest, jak on powiada, jedna z przyczyn, że oni robią tak dalekie wyprawy. Aha, wszyscy moi towarzysze z *We're Here* wyjeżdżają w poniedziałek do Georges! Chyba nie pozostaną dłużni na lądzie, jak sądzisz?

— No, sądzę, że i my powinniśmy wyjechać. Zostawiłem swoje interesy na łasce Bożej... pomiędzy dwoma oceanami... teraz czas znów powiązać rozluźnione końce. Prawdę

powiedziawszy, to już mi obmierza ta robota; takich wakacji jak teraz nie miałem od dwudziestu lat.

— Nie *możemy* wyjechać, nie pożegnawszy Dyska — odrzekł Harvey — a w poniedziałek jest dzień wspominek. Zostaniemy przynajmniej na tej uroczystości.

— Cóż to za jakieś wspominki? Opowiadają o nich wszędzie po całej traktierni — rzekł pan Cheyne miękko, bo i on się nie kwapił przerywać sobie dni błogich wczasów.

— O ile mogę się domyślić, jest to coś w rodzaju obrzędu ze śpiewkami i tańcami, urządzanego dla letników. Dysko, jak sam powiada, nie bardzo rzecz tę pochwała, bo urządza się wtedy zbiórkę na wdowy i sieroty. Dysko jest zawsze we wszystkim oryginalny. Czy nie zauważyłeś tego, papo?

— No... tak... Trochę... Miejscami... A zatem jest to miejscowe widowisko?

— Jest to umowa, jeszcze z lata. Wyczytuje się nazwiska towarzyszy utopionych lub zaginionych bez wieści od czasu ostatniej wyprawy; potem są przemówienia, deklamacje itd. Potem, jak powiada Dysko, sekretarze towarzystw dobroczynności wdzierają się chyłkiem i walczą o łup.

— Aha, więc tak! — ozwał się pan Cheyne. — Zostaniemy na tym „dniu wspominkowym”, a po południu wyjedziemy.

— Chyba pójdę do Dyska i nakłonię go, ażeby ściągnął załogę przed odjazdem. Powiniennem trzymać się wraz z nimi.

— A jakże, jakże! — ozwał się Cheyne. — Ja jestem tylko biednym skromnym letnikiem, a ty...

— Rybakiem z Ławic... Rewakiem całą gębą! — zawołał Harvey, stając na platformie tramwaju, a pan Cheyne poszedł dalej pełen różowych marzeń o przyszłości.

Dysko nie miał przekonania co do obchodów publicznych, gdzie odwoływano się do ofiarności społeczeństwa. Atoli Harvey począł narzekać, że dzień ów straci dla niego cały urok, jeżeli okrętницы z *We're Here* nie będą obecni. Wówczas Dysko postawił warunki: oto, powiada, słyszał (rzecz doprawdy zdumiewająca, jak tu na pobrzeżu wszyscy wzajemnie wiedzieli o sprawkach swoich bliźnich!), otóż słyszał, że jakaś aktorka z Filadelfii miała brać udział w popisach, przeto bał się, czy ona tam przypadkiem nie zechce deklamować *Wyprawy szypra Iresona*. Dysko osobiście miał z aktorkami tak małą styczność jak z letnikami; jednakże co słuszne, to słuszne, a chociaż raz w życiu (tu Dan zachichotał) on, stary Troop, omylił się w swych sądach, to jednak tym razem było inaczej. Wobec tego Harvey powrócił do East Gloucester i stracił tam pół dnia, tłumacząc kapryśnej aktorce cieszącej się królewskim rozgłosem na dwóch wybrzeżach morskich, istotę omyłki, jakiej zamierzała się dopuścić. Aktorka w końcu przyznała, że słuszność była całkowicie po stronie Dyska...

Pan Cheyne z doświadczenia wiedział, co to będzie; jednakże wszelkie pogwarki publiczne były najulubieńszą strawą duchową tego człowieka. Widział tramwaje pędzące na zachód w skwarze parnego poranka, pełne kobiet w lekkich sukienkach oraz mężczyzn niedawno oderwanych od bostońskich pulpitów biurowych i oceniających blade lica kapelusznymi słomkowymi; widział całe zatory rowerów poza gmachem pocztowym; widział szwendanie się ruchliwych urzędników pozdrawiających się wzajemnie; widział powolne chybotanie się i lopotanie wielkich flag w zgęstniałym powietrzu; widział też i ważną osobistość zwilżającą chodnik za pomocą węża pneumatycznego.

— Mamusi! — odezwał się nagle — czy nie przypominasz sobie jak to... po spaleniu Seattle zaczęto znów krzątać się po ulicach?

Pani Cheyne skinęła i krytycznym wzrokiem spojrzała na krętą ulicę. Podobnie jak mąż, była świadoma tych zgromadzeń ludowych, tak częstych na całym zachodzie, i porównywała je z sobą. Rybacy zaczęli mieszać się z tłumem koło bram hali miejskiej. Byli tam Portugalczycy, wśród których widać było i kobiety przeważnie z gołą głową lub w szalach; byli tam bystroocy mieszkańcy Nowej Szkocji i osiedleńcy z Prowincji Nadmorskich; byli Francuzi, Włosi, Szwedzi i Duńczycy wraz z załogami pobrzeżnych szonerów — a wśród nich wszędzie kobiety w żałobie, które pozdrawiały się wzajem z odcieniem pewnej dumy w swym smutku, gdyż było to ich wielkie święto. Byli też i duchowni wielu wyznań — pastorowie, księża. Byli też właściciele linii szonerów, wielcy udziałowcy spółek akcyjnych oraz różni ludzie pomniejsi, których nieliczne statki aż po same czubki masztów dawno już były w dłużniczym zastawie; nie brakło bankierów



i agentów morskich towarzystw ubezpieczeniowych; trafiali się kapitanowie holowników i batów; wreszcie barwnym, rozbitym tłumem snuli się takłownicy, naprawiacze, załadowcy, solarze, korabnicy i bednarze.

Płynęli tak wzdłuż rzędu krzesel ożywionych różnobarwnymi strojami letników. Jeden z urzędników miejskich krążył wkoło, rzucając wszędzie baczny okiem i pocąc się rześsiście, aż w końcu cały jaśniał blaskiem nieskazitelnej dumy obywatelskiej. Pan Cheyne związał z nim przed paroma dniami parominutową znajomość i to wystarczyło aż nadto do całkowitego, obopólnego porozumienia.

— No, panie Cheyne, co też pan sobie myśli o naszym mieście?... Tak, proszę pani, może pani usiąść, gdzie najdogodniej... Przypuszczam, że i tam u was na zachodzie bywają takie obchody?

— Tak, ale nasze miasta nie mogą poszczycić się tak długim istnieniem.

— To prawda. Szkoda, że pana nie było na widowiskach urządzanych w dwóchsetną pięćdziesiątą rocznicę założenia naszego grodu. Powiadam panu, panie Cheyne, że stare miasto wyrobiło sobie dobrą sławę.

— Słyszałem o tym. Jest to nawet rzecz przynosząca dochód. Czemuż to jednak miasto wasze nie posiada porządnego hotelu?

— ...O tam, tam, na lewo, Pedro! Jest tam jeszcze dużo miejsca dla ciebie i twojej gromadki... No, ja wciąż im o tym mówię, panie Cheyne. Wchodzą tu w grę wielkie sumy pieniężne, ale przypuszczam, że to pana nazbyt nie wzruszy. Potrzebujemy...

W tejże chwili na jego ramię osłonięte przestronną marynarką spadła jakaś ciężka ręka i oto znalazł się w objęciach szypra jednego z portlandzkich statków przybrzeżnych.

— Cóż to, u pioruna, takie to wy sprawujecie rządy nad miastem, gdy wszyscy przyzwoici ludzie są na morzu? He? Miasto wyschnięte na kość, a zaduch w nim większy, niż był wtedy, gdym stąd wyjeżdżał. Moglibyście przynajmniej wystarać się o jakiś wyszynk lżejszych trunków.

— Zdaje się, że jednak to nie przeszkodziło ci posilić się dziś dostatecznie, Carsenie. Usiądź przy drzwiach i rozważ swoje argumenty, zanim powrócę.

— Cóż mi przyjdzie z argumentów?... W Miquelon jest szampan po osiemnaście dolarów... a...

I zawadiacki szyper zatoczył się w stronę wyznaczonego mu miejsca, bo dźwięki preludium organowego zmusiły go do milczenia.

— Oto mamy i nowe organy — z dumą odezwał się urzędnik do Cheyne'a. — Kosztowały nas cztery tysiące dolarów... A tam stoi gromadka sierot, gotowa do rozpoczęcia śpiewu. To moja żona je uczyła śpiewać. Do widzenia, panie Cheyne, wzywają mnie na estradę.

Wysokie, czyste i szczerze głosy dziecięce przyciszyły ostatni gwar ludzi zajmujących swoje miejsca.

— O wszystkie dzieła rąk bożych, błogostawcie Pana! Chwalcie Go i uwielbiajcie na wieki wieków!

Kobiety zalegające znaczną część hali wychylały się naprzód, chcąc przyjrzeć się śpiewającym, w miarę jak powracające wersety pieśni napełniały powietrze. Pani Cheyne wraz z kilkoma innymi sąsiadkami wzruszyła się do łez; dotychczas nie wyobrażała sobie nawet, że w świecie jest tyle wdów, toteż teraz odruchowo szukała Harvey'a. Ów znalazł byłą drużynę z *We're Here* w tylnych rzędach słuchaczy i stał, jak mu się należało, pomiędzy Diskiem a Danem. Stryj Salters, który zeszłej nocy powrócił wraz z Pennem z Pamlico Sound, przyjął go podejrzliwie.

— Czy jeszcze twoi rodzice nie odjechali? — burknął. — Co tutaj porabiasz, młokosie?

— *Morskie głębie i batwany, błogostawcie Pana! Chwalcie go i uwielbiajcie na wieki wieków!*

— Czyż on nie ma prawa być z nami? — mówił Dan. — Był z nami na morzu.

— Nie tak był wtedy ubrany! — warknął Salters.

— Zamknij buzię, Salters — ozwał się Disko. — Znów się w tobie żółć porusza. Zostań tu, gdzie jesteś, Harvey.

Następnie powstał i zaczął przemawiać przedstawiciel władz miejskich, witając w Gloucester gości z szerokiego świata i mimochodem wskazując, czym miasto wyróżniło się nad resztę świata. Potem mówił o morskich skarbach miasta i wspominał o cenie, jaką trzeba okupywać coroczny połów. Zebrani (powiada!) wkrótce posłyszają nazwiska osób drogiej im a nieżyjących... jest ich 117 (wdowy rozwarły szerzej źrenice i zaczęły spoglądać jedna na drugą). Gloucester nie może się pochwalić potężnymi fabrykami lub faktoriarni; synowie tego miasta zdobywają sobie zarobek, jaki daje im morze... a wszyscy wiedzą, że ani Georges, ani Ławice nie są pastwiskiem dla bydła. Najszczytniejszym obowiązkiem, jaki mogą wypełnić ludzie znajdujący się na lądzie, jest przyjście z pomocą wdowom i sierotom. Po kilku jeszcze uwagach ogólnych mówca skorzystał ze sposobności, by w imieniu miasta podziękować tym, którzy przejęci duchem społecznym zgodzili się brać udział w obchodzie.

— Nie cierpię tych żebraczych kawałów — sarknął Disko. — Daje ona ludziom niepiękne wyobrażenie o nas.

— Gdyby ludzi nie byli trzymani krótko, gdy jest po temu sposobność — odrzekł Salters — to zgodnie z naturą rzeczy musieliby narażać się na wstyd. Weź to sobie za przestrożę, młokosie. Bogactwa trwać będą tylko parę miesięcy, jeżeli będziesz je trwonil na zbytki...

— Ale gdy się utraci wszystko... wszystko... — ozwał się Penn — cóż wtedy można począć? Pewnego razu — (modre oczy wpatrywały się coraz to w inne punkty, jak gdyby szukając punktu oparcia) pewnego razu czytałem... zdaje mi się, że w jakiejś książce... o statku, którego załoga zatonała... oprócz jednego... który mi mówił...

— Sza! — przerwał mu Salters. — Czytaj nieco mniej, a zajmuj się więcej rzeczami praktycznymi, to łatwiej ci będzie się utrzymać, Penn...

Harvey wtłoczony pomiędzy rybaków odczuwał jakiś pełnący, przewlekły, w uszach dzwoniący dreszcz, który zaczynał się na karku, a kończył się w podeszwie stóp. Robiło mu się jakoś zimno, choć dzień naprawdę był duszny.

— Czy to jest ta aktorka z Filadelfii? — zapytał Disko Troop, spoglądając spode łba na estradę. — A czy załatwiłeś tę sprawę ze starym Iresonem, Harvey? Teraz już znasz powody.

Jednakże śpiewaczka popisywała się nie *Wyprawą Iresona*, tylko poematem o porcie rybackim, zwanym Brixham, oraz o flotyli trolowników, którzy wracali do domu w noc burzliwą, gdy tymczasem kobiety podtrzymywały światło sygnalizacyjne na brzegu zatoki, rzucając w płomienie ogniska wszystko, co znalazły pod ręką:

Zabrały kocyk starej babulce —  
Zębami przyszło jej dzwonić!  
Wzięły kołyskę małemu dziecku —  
Nie mogło im tego wzbronić...

— Fiu! — ozwał się Dan, wyzierając spoza ramienia Długiego Dżeka. — To ci było wspaniałe światło! Choć też musiało i sporo kosztować!

— To ci dopiero sobacza dola — odrzekł Galiwajczyk. — Złe oświetlenie portu, mój Danny!

Nie wiedząc — do chwili owej —  
Czy zapalają jasną sobótkę  
Czy tylko stos pogrzebowy...

Cudowny głos artystki chwycił wszystkich za serce: a gdy ją opowiadać, jak zsięzione burzą drużyny marynarskie były wyrzucane na brzeg — pospołu żywi i umarli — i jak przynoszono zwłoki do płomieni ogniska, pytając: „Dziecię, czy to twój ojciec?” lub „Kobieto, czy to twój mąż?” — słychać było ciężkie westchnienia we wszystkich ławach.

A kiedy który statek z Brixhamu  
Burz groźne zwalcza zapędy,  
Niech blask miłości świeci na żaglach

I towarzyszy nam wszędy!

Nie było hucznych oklasków, gdy artystka skończyła recytację utworu. Kobiety szukały chusteczek, a wielu mężczyzn błyszczącymi oczyma wpatrywało się w sufit.

— Hm! — ozwał się stryj Salters — gdybyś taką rzecz chciał słyszeć w jakim teatrze, kosztowało by cię to dolara... a może i dwa. Niektórych ludzi, jak przypuszczam, stać na to. Wydaje mi się czymś ogromnie... Ale, na miłość boską, skądże tu wypłynął kapitan Bart Edwardes?

— Nie powstrzymujcie go — ozwał się z tyłu jakiś człowiek z Eastport. — On jest poetą i powinien wygłosić swój utwór. Zresztą pochodzi z naszych stron.

Nie powiedział tego, że kapitan Bart Edwardes przez pięć lat z rządu ubiegał się o to, by pozwolono mu wygłosić utwór własnej kompozycji na gloucesterskich „wspominkach”. Komitet uroczystości, znudzony już i udręczony tą natarczywością, uczynił narzeczcie zadość jego pragnieniu. Prostoduszność i niezmierna radość staruszka, stojącego w swej najlepszej, odświętnej odzieży na oczach wszystkich, zjednała mu serca słuchaczy, jeszcze zanim zdołał otworzyć usta. Bez szemrania wysłuchano trzydziestu siedmiu niewytwornych, jakby siekierą rąbanych zwrotek, opisujących z najdrobniejszymi szczegółami rozbite się szonera *Joan Hasken* podczas orkanu pod Georges w 1867 r.; a kiedy już poeta dobrnął do końca, rozległ się ku jego czci, jakby z jednego gardła dobyty, gromki okrzyk.

Jakiś przewidujący reporter bostoński wysunął się z tłumu, ażeby zdobyć kopię poematu oraz wywiad z autorem — tak iż ziemia cała nie mogła więcej ofiarować kapitanowi Edwardesowi, byłemu wielorybnikowi, cieśli okrętowemu, mistrzowi rybołówstwa i pocięciu, w siedemdziesiątą trzecią rocznicę jego żywota.

— No, to jest, co się nazywa, rozrzewniające! — ozwał się człowiek z Eastport. — Byłem na miejscu wypadku i mogę zaświadczyć, że nic tam nie zostało pominięte.

— Jeżeli ten oto Dan nie potrafi czegoś podobnego napisać od ręki... w godzinkę przed śniadaniem, to warto go oćwiczyć — ozwał się stryj Salters, wynosząc w górę honor stanu Massachusetts. — Jednakże gotów jestem przyznać, że jak na Maine, jest to poważny literat... W każdym razie...

— Widzi mi się, że stryj Salters nie przeżyje obecnej wyprawy. Oto pierwszy komplement, jaki spotkał mnie z jego ust! — zadrwił Dan. — Co to jest, Harve? Taki jesteś niemrawy i jakbyś pozieleniał na twarzy. Czy nie jesteś chory?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — odparł Harvey. — Zdaje mi się, jakby mnie coś rozsądzało we wnętrzu... czuję jakiś szum i dreszcz.

— Niestrawność? Fiu! To źle! Tylko doczekamy się jeszcze odczytywania nazwisk, a potem wyjdziemy.

Wdowy — prawie wszystkie niedawno owdowiały — prostowały się sztywno jak ludzie idący na rozstrzelanie, gdyż wiedziały, co teraz nadchodzi. Dziewczęta spędzające tu wakacje ubrane w czerwone i niebieskie bluzeczki, przestały się śmiać półgębkiem z przedziwnego poematu kapitana Edwardesa i rozglądały się, czemu na sali tak wszystko ucichło. Rybacy stłoczyli się ku przodowi, gdy urzędnik miejski, który niedawno rozmawiał z panem Cheyne, wyszedł posuwistym krokiem na estradę i zaczął odczytywać listę całorocznych strat, kolejno, według miesięcy. Zeszły wrzesień przyniósł przeważnie ofiary w cudzoziemcach i ludziach wolnego stanu, jednakowoż głos czytającego brzmiał nader donośnie w ciszy wielkiej sali:

9 września. Szoner *Florie Anderson* zginął koło Georges, wraz z całą wymienioną tu załogą:

Reuben Pittman, kapitan, lat 30, kawaler, Main Street, City.

Emil Olsen, lat 19, kawaler, 329 Hammond Street, City; rodem z Danii.

Oskar Stanberg, kawaler, lat 25, Szwecja.

Karol Stanberg, kawaler, lat 28, Main Street, City.

Pedro, przypuszczalnie rodem z Madery, kawaler, gospoda Keene'a, City.

Józef Welsh, alias Józef Wright, St. John's, Nowa Funlandia...

— Nie... Augusty... Main! — zawołał czyjś głos z głębi sali.

— Do służby okrętowej zaciągnął się z St. John's — odrzekł czytający, zaglądając do skryptu.

— Wiem o tym. Ale przynależność ma do Augusty. To mój siostrzeniec. Urzędnik zrobił ołówkiem poprawkę na marginesie listy i ciągnął dalej:

Z tego samego szonera: Charlie Ritchie, Liverpool, Nowa Szkocja, lat 33, kawaler.

Albert May, 257 Regers Street, City, lat 27, kawaler.

27 sierpnia. Orvin Dollaid, lat 30, żonaty, utonął razem z członem koło Eastern Point.

Ten strzał ugodził w cel: jedna z wdów porwała się z miejsca, zaciskając to znów rozprostowując pięści. Pani Cheyne, która dotąd z rozwartymi oczyma przysłuchiwała się odczytywaniu listy, rzuciła głowę do góry i wydała zdławiony jęk. Matka Dana, siedząca o parę krzeseł w prawo, zobaczywszy to i posłyszawszy, ruszyła się co żywo w jej stronę. Czytanie trwało w dalszym ciągu. Gdy doszli do katastrof styczniowych i lutowych, ciosy padały gęsto jeden za drugim i coraz to inna wdowa dawała znać o sobie głębokim, syczącym westchnieniem.

14 lutego. Szoner *Harry Randolph* pozbawiony masztu w drodze z Nowej Funlandii do domu. Aza Music, żonaty, 32 Main Street, City, pochłonięty przez morze.

23 lutego. Szoner *Gilbert Hope*; zginął bez wieści wraz z łodzią Robert Beavon, lat 29, żonaty, rodem z Pubnico, Nowa Szkocja.

Jednakże żona tego człowieka była tu obecna. Posłyszano ciche kwilenie jak gdyby zranionego zwierzątka. Kwilenie to naraz ucichło i jakaś młoda kobieta, zataczając się, wybiegła z hali. Aż dotąd żywiła rozpaczliwą nadzieję, gdyż bywało, że ludzie porwani prądem morskim wraz z łodzią zostali cudownie wyratowani przez większe żaglowce... a oto teraz nie miała już najmniejszych złudzeń... Harvey widział, jak policjant na chodniku wołał o dorożkę dla niej.

— Do stacji taksa wynosi pięćdziesiąt centów — zaczął dorożkarz, ale policjant podniósł rękę, co zaraz zmieniło tok rozmowy — Ja właśnie tam jadę. Proszę wejść. Przypatrz no się, Alfie; nie będziesz na przyszy raz mnie zaczepiał, żem nie zapalił latarni. A co?

Boczne drzwi zamknęły się, gasząc smugę jasnego blasku słonecznego. Czy Harvey'a zwróciły się znów w stronę czytającego i jego niekończącej się listy.

16 kwietnia. Szoner *Mamie Douglas* zginął na Ławicach wraz z całą załogą.

Edward Canton, lat 43, kapitan, żonaty. City.

D. Hawkins alias Williams, lat 34, żonaty, Shelboune, Nowa Szkocja.

G. W. Clay, Murzyn, lat 28, City.

I tak dalej, i tak dalej. Harvey'a w gardle zaczęło coś dławić coraz bardziej, a żołądek przypominał mu ów dzień, w którym chłopak spadł z okrętu.

10 maja. Szoner *We're Here...*

Harvey'owi krew pulsowała we wszystkich żyłach.

Otto Svenson, lat 20, kawaler, rodem z City, spadł z okrętu.

Znów ozwał się cichy, rozdzierający jęk gdzieś w głębi sali.

— Ona tu nie powinna była przychodzić. Nie powinna była przychodzić — mówił Długi Dżek, bełkocąc żalośliwie.

— Nie przejmuj się, Harve — mruknął Dan.

Tyle tylko Harvey dosłyszał... potem już wszystko stało się ciemnością usianą płomienistymi kołami. Dysko pochylił się w przód i coś tam przemówił do swojej żony, która siedziała obok pani Cheyne, obejmując ją jednym ramieniem, drugim zaś przytrzymując jej drgające, wyszarpujące się dłonie, pokryte mnóstwem pierścieni.

— Proszę pochylić głowę w dół... o tak, zupełnie w dół! — szeptała — za minutę to przejdzie.

— Nie mo-o-gę! Nie potrafię! O, dajcie mi... — jęczała pani Cheyne, sama nie wiedząc, co mówi.

— Pani musi to zrobić! — powtarzała pani Troop. — Syn pani zemdłał. Zdarza się to u niektórych, gdy dorastają. Czy pani pragnie się nim zaopiekować? Możemy wyjść tą stroną... całkiem spokojnie. Pani pójdzie za mną. Phi, moja droga pani, zdaje się, że obie jesteśmy kobietami... i musimy się opiekować naszymi chłopami. Proszę iść za mną!

Cała załoga *We're Here* ruszyła ochotnie, jako eskorta, przez środek tłumu, aż w końcu złożono Harvey'a, niezmiernie bladego i półprzytomnego na ławie przedpokoju.

— Ależ podobny do swej mamy! — były to jedyne słowa pani Troop, gdy matka pochyliła się nad synem.

— Jakże mogłeś przypuszczać, iż on potrafi znieść coś podobnego? — zawołała pani Cheyne w oburzeniu na swego męża, który w ogóle nie odezwał się ani słówkiem. — To było straszne... straszne! Nie powinniśmy byli przychodzić. To potworne i niegodziwe! T... to zupełnie niewłaściwe! Czemu... czemuż oni nie mogą tego wszystkiego pozostawić w spokoju... w aktach, gdzie to wszystko należy. Czy czujesz się już lepiej, kochanie?

Harvey czuł się szczerze zawstydzony.

— O tak, mam wrażenie, że już mi dobrze — przemówił, z trudem zrywając się na nogi i siłąc się na uśmiech. — Musiałem przed śniadaniem zjeść coś takiego, co mi zaszkodziło.

— Może kawa — ozwał się pan Cheyne, którego twarz była niewzruszona, jakby wykuta z brązu. — Nie pójdziemy już z powrotem.

— Zdaje mi się, że nieźle byłoby zejść do przystani — rzekł Disko. — To niedaleko stąd... tuż obok Portugalczyków... a świeże powietrze doda sił pani Cheyne.

Harvey oznajmił, że nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Jednakże gdy zobaczył *We're Here* stojący — po świeżo odbytym remoncie — przy nabrzeżu Wouwermana, wówczas wszelka obojętność przysła wobec dziwnego stanu dumy i smutku. Inni ludzie — letnicy i tym podobna zbieranina — pływali sobie dla zabawy łódkami lub z brekwaterów spoglądali na morze; ale Harvey teraz rozumiał te rzeczy od *wewnątrz* — a było tych rzeczy więcej, niż mógł myślą ogarnąć. Mimo wszystko, o mało co nie siadł na ziemi i nie rozplakał się z powodu odjazdu małego szonera. Pani Cheyne nie krępowała się niczym, tylko jęczała za każdym krokiem i dziwy niestworzone opowiadała pani Troop, która „cackała się z nią” — dopóty dopóki Dan, z którym od szóstego roku życia nikt się nie „cackał”, począł głośno gwizdać.

Tak więc cała załoga (Harvey czuł się tak, jakby był najstarszym w świecie marynarzem) zesła na stary szoner pomiędzy podniszczone już rybackie łodzie. Harvey odwiązał sztorcumę od cumownicy, a oni jęli manewrować statkiem, prowadząc go wzdłuż bulwaru. Każdy chciał tak wiele naraz powiedzieć, że ostatecznie nikt niczego ważnego nie rzekł. Harvey prosił Dana, ażeby pilnował skórzni stryja Saltersa i rybackiej dragi Penna, a Długi Dżek zalecał Harvey'owi, by nauka sztuki żeglarskiej, jaką odebrał, nie poszła w las; jednakże żarty te utrzymane były w karbach obecnością dwóch kobiet, a zresztą trudno dowcipkować, gdy pas zielonej wody coraz to bardziej oddzielał serdecznych przyjaciół.

— Kliwer i fok w górę! — huknął Disko, biegnąc do steru, bo już wiatr poruszał statek. — Do widzenia, Harve! Będę dużo myślał o tobie i twoich rodzicach!

Niebawem statek tak się oddalił, iż już nie było słyhać żadnego głosu. Wszyscy czworo usiedli na krawędzi i przyglądali się mu. Pani Cheyne wciąż jeszcze płakała.

— Cicho, cicho, moja droga pani — mówiła pani Troopowa; — przecież obie jesteśmy kobietami. Chyba to, że się pani wybeczy, nie przyniesie ulgi pani sercu. Panu Bogu wiadomo, że nigdy taki płacz nie przyniósł nic dobrego, ale Pan Bóg wie także, że miałam też o co płakać!...

\*

W parę lat później, na drugim końcu Ameryki zdarzyło się, iż wśród oślizgłej morskiej doki, krętą uliczką ujętą w dwa rzędy przepysznych domostw — drewnianych, ale

naśladowujących kamienice — szedł jakiś młodzieniec. Naprzeciw niego, właśnie gdy stał koło bramy z kutego żelaza, wyjechał konno — a koń wart był co najmniej tysiąc dolarów — drugi młodzieniec. I oto, jak obaj ozwali się do siebie:

— Hallo, Dan!

— Hallo, Harve!

— Cóż tam u ciebie słyhać? Jak ci się powodzi?

— A, tak sobie. Jestem już, że tak powiem, stworzeniem, które nazywają pomocnikiem bosmana... ot po prostu bosmańczykiem. A ty już się uporał z tą twoją uczelnią?

— Odbyłem znaczną część drogi. Powiadam ci, że Leland Stanford Junior to nie stary *We're Here*, jednakże wkrótce wezmę się do pracy.

— Masz na myśli nasze okręty?

— Właśnie, że tak. Poczekaj no tylko, jak ci wpakuję nóż w bok, Dan. Gdy obejmę rządy, mam zamiar dać się we znaki całej starej linii.

— E, jakoś wytrzymam! — rzekł Dan, szczerząc zęby poufale, a gdy Harvey zsiadł z konia i zapytał przyjaciela, czy wejdzie do domu, ten dodał: — Przecież dlatego tu zapuściłem kotwicę! Ale powiedz no mi, czy gdzie w tych stronach nie ma naszego doktora?

Rozległ się cichy, ale triumfu pełen chichot. Z mgły wynurzył się eks-kucharz załogi *We're Here*, by ująć wierzchowca za uzdę. Pocziwiec nie pozwalał nikomu się wyręczać w trosce o wszelkie potrzeby Harvey'a.

— Ależ tu mgła jak na Ławicach, prawda, doktorze? — zagadnął go Dan przychylnie.

Jednakże czarny Celt, obdarzony dwojakim zmysłem wzroku, zdawał się niezdolny do dania jakiegokolwiek odpowiedzi, dopóki nie pochwycił Dana za ramię i po raz dwudziesty nie zakrakał mu w ucho starym prorocstwem:

— Pan — sluga... Zwierzchnik — podwładny... Pamiętasz, Dan Troop, co ci mówiłem na pokładzie *We're Here*?

— No, nie będę przeczył, że jak dotąd; całkowicie się to sprawdza — przyznał Dan.

— Ale *We're Here* był sprawnym stateczkiem i bądź co bądź zawdzięczam mu wiele... jemu i tatkowi.

— Ja również — dodał Harvey Cheyne.

## SŁOWNIK WYRAZÓW ŻEGLARSKICH I RYBACKICH

Bakier, bakork — lewy bok statku

Bliza — latarnia morska

Bukszpir — przedłużenie bukszprytu czyli skośnego masztu na przodzie okrętu, służące do rozpinania kliwów (żagli klinowych)

Bum — podbieg — drążek żaglowy

Buksy — nieprzemakalne spodnie rybackie

Depka — wąski pas głębokiej wody między mieliznami

Doka — gęsta mgła na wodzie

Dolban — krawędź burty łodzi, gdzie osadza się dulki wiosel

Fansznur — tryska — sznur do podciągnięcia bandery

Fokmaszt — maszt przedni, fokżagiel

Galarda — wzniesienie na przodzie okrętu mieszczące kwatery załogi okrętowej. Kasztel przedni.

Galion — rzeźba zdobiąca przód okrętu

Gary — liny do manipulowania żaglami (też brosy)

Gawełek — rączka koła sterowego

Gorcyl — lina do podciągania żagla na reję

Grotmaszt — maszt środkowy okrętu (analogicznie: grotżagiel)

Gwiżdziel — pływająca syrena, ostrzegająca statki

Hak — ławica piaskowa

Halza — lina do naprężania dolnego wiatrowego rogu żagla

Helmat — rękojeść steru

Jata — nadbudówka na pokładzie statku

Kabestan — pionowa winda kotwiczna

Kambuza — kuchnia okrętowa

Kluza — otwór, przez który przechodzi łańcuch kotwicy  
Komięga — gruchot — statek nienadający się do pływania  
Kwatera — część górnego pokładu  
Lej — strona niezwrócona do wiatru  
Lek — wyrwa w burcie statku  
Mamka — mgła na pokładzie  
Maszoperia — spółka rybacka  
Naktuz — szafka na busolę  
Opława — część burty wystająca nad wodę  
Paczyna — wielkie wiosło bez okucia  
Paruch — płachta, płótno żaglowe  
Płuto, płucisko — pław połączony z kotwą lub siecią  
Podbitka — daszek nad kajutą  
Przelewa — gwałtowna fala odbijająca się od burty i wdzierająca się na pokład  
Rejda, motława — miejsce osłaniające przycumowane statki  
Rewa — ławica piaskowa w morzu  
Ruchawa, ruchawka, rolinga — fala rozbijająca się na mieliźnie  
Stryj — wiatr na wodzie  
Szląg — dolne wiązanie części masztu  
Sztaba — przód okrętu  
Szlak — lina do umocowania masztu (na nim: sztakżagiel)  
Sztymbork — prawy bok statku  
Talki — bloki w olinowaniu statku  
Toczenice — rodzaj wielkich fal na rewach  
Trola — rodzaj niewodu czy wędy rybackiej  
Waruga — dyżur okrętowy  
Wesoły statek — statek o sztabie mocno zadartej do góry  
Wręga — żebro okrętu  
Wronka, topżagiel — żagiel szczytowy  
Wytycznia — konstrukcja drewniana lub żelazna wskazująca okrętom drogę lub ostrzegająca je o niebezpieczeństwie  
Zaglówek — górna część pokładu w sztabie statku  
Zydwester — nieprzemakalny kapelusz marynarski  
Żyźnik — majtek wypompowujący lub wybierający wodę morską nagromadzoną na statku

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kapitanowie-zuchy>

Tekst opracowany na podstawie: Rudyard Kipling, *Kapitanowie zuchy*, tłum. J. Birkenmajer, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1995

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0348-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).